KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 12/98 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

Z. JORDAN :
FILOZOFIA WYROCZNI I DEKRETU

. CZAPSKI : **TUMULT I WIDMA**

SPIS RZECZY

ARCHIWUM POLITYCZNE

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

KRONIKA KULTURALNA

KSIĄŻKI



KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-Decembre 1955

INSTYTUT  LITERACKI

PRZYPOMINAMY O ODNOWIENIU PRENUMERATY NA ROK 1956

DALSZE WPŁATY NA DOM „KULTURY"

W.A. Zbyszewski, Monachium (Niemcy), ponownie	5.000 fr.
Henryk Kniołek, San Francisco, California, USA	3.500 "
T.I. Leżon w imieniu Klubu Sportowego „Polonia" w Melbourne, Vic. (Australia)	4.000 "
Jan K. Jakimowicz, La Guaira (Venezuela)	2.500 "
Liceum Żeńskie w Stowell Park ,Anglia)	3.000 "
Tadeusz Sztunke, Caracas (Venezuela)	1.000 "
Maria Wasung, Genewa (Szwajcaria), zamiast życzeń świątecznych	1.000 "

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Wyprawa kijowska

WYNIKI ANKIETY

Z okazji 35-ej rocznicy wyprawy kijowskiej redakcja ,,Kultury'' zwróciła się do czytelników z propozycją wzięcia udziału w ankiecie odpowiadającej na dwa pytania:

1. Czy sądzi pan(i), że wyprawa kijowska i jej cel polityczny były uzasadnione i dlaczego?

2. Jakie wnioski wyciąga pan(i) z swej oceny tego epizodu historii?

Rocznicy wyprawy kijowskiej od dawna widocznie nie wspominano, bo pytania nasze zastały czytelników nieoczekiwanie zajętych zapewne innymi myślami i mało skłonnych do tego rodzaju rozważań. Niektórzy wyrazili nawet zdziwienie, że w tej chwili właśnie wracamy pamięcią do tamtych czasów. Z 18-tu otrzymanych odpowiedzi jedna tylko zdradza większy namysł; pozostałe są raczej odruchami pamięci, echem sporów, jakie wyprawa kijowska wywołała niegdyś w opinii publicznej kraju. Echa te są oczywiście dalekie, przytłumione, po upływie tak długiego czasu można się było jednak spodziewać większej pogody w ocenie tych odległych już od nas wypadków. Brak jej wynika być może stąd, że w ankiecie wzięli udział — jak można się domyślać — przeważnie ludzie starsi, dawni uczestnicy lub świadkowie wypadków. Czas, jaki upłynął od 1920, i liczba nowych doświadczeń znalazły oczywiście wyraz w ich odpowiedziach, lecz raczej ubocznie i niejasno.

Redakcja ,,Kultury'' żywiła nieśmiałą nadzieję, że w ankiecie zechcą wziąć udział przebywający na emigracji wybitni protagoniści ówczesnych wypadków i dyskusji. Głos ich byłby dla nas lekcją bądź stałości sądów, bądź też pogody i równowagi, jakie daje oddalenie. Nikt z nich jednak nie zabrał głosu.

W odpowiedziach uczestników brak więc głosów, których autorytet mógłby przeciwstawiać się liczbie. Wzięli w niej udział przedstawiciele różnych zawodów, pochodzący z różnych części

kraju. Głosy ich reprezentują w pewnym stopniu średnią opinię emigrantów.

Liczba ich jest zbyt skromna, aby z ankiety można było wysnuwać wnioski natury statystycznej. Wynika z niej jednak jasno, że dziś jak dawniej wyprawa kijowska spotyka się z nieprzychylnym sądem większej części Polaków. Na pierwsze pytanie ankiety dziesięciu uczestników ankiety odpowiedziało przecząco; pięciu uważa cele wyprawy za uzasadnione; trzech wreszcie zajmuje stanowisko pośrednie.

Kilku uczestników wyraziło życzenie, aby nazwisk ich nie ujawniać w druku; jeden podpisał się pseudonimem. Życzeniom ich stanie się zadość.



Wszyscy krytycy wyprawy, uważający podjęcie jej za nieuzasadnione, podkreślają przede wszystkim jej niepowodzenie, dowodzące że wyprawa była źle przygotowana, podjęta niedostatecznymi siłami, w ówczesnych warunkach ,,beznadziejna'' i przez to samo nieuzasadniona. Ten tok myśli zdaje się skrywać w sobie jakąś niewypowiedzianą przesłankę w rodzaju koncepcji heglowskiej, że bieg historii jest rozumny i w konsekwencji wszystkie poczynania idące na wspak wielkiemu nurtowi dziejów są w jakiś sposób sprzeczne z rozumem. Wnioskowanie takie nastręcza różne wątpliwości. Na pierwszy rzut oka już widać, że nie wszystkie dobrze umotywowane decyzje chodzą w glorii powodzenia. Nawet tak katastrofalna decyzja jak zawieszenie wypłat może i powinna być dobrze uzasadniona, jeżeli decydujący się na ten krok chce uniknąć grubszych przykrości. Nie będziemy się jednak o to spierali. Bardziej interesująca wydaje się nam jednomyślność, z jaką krytycy wyprawy kijowskiej przyjmują w swych sądach kryterium powodzenia. U Polaków, potomków kilku pokoleń kosynierów, powstańców i partyzantów, jest to zjawisko nowe, które notujemy jako uboczny wynik ankiety. Można by dopatrywać się w nim skutków długiego szeregu klęsk lub pobytu wśród ludów Zachodu i przyswojenia sobie ich sposobu patrzenia na wypadki rozgrywające się w wschodniej części Europy, ale zagadnienie to przekracza ramy niniejszego sprawozdania.

Drugim najczęściej wysuwanym przez krytyków argumentem jest, że wyprawa kijowska była przedsięwzięciem ryzykownym i zbędnym, bo w drodze pertraktacji można było uzyskać od Rosji warunki korzystniejsze jeszcze od tych, jakie przyniósł traktat ryski. Jeden z uczestników ankiety oskarża nawet Piłsudskiego o złośliwe ukrywanie przed społeczeństwem pomyślnych perspektyw, jakie nastręczały układy z Moskwą. Ponieważ do pertraktacji w Borysowie nie doszło, sądy o ich domniemanym pomyślnym wyniku mogą być równie dobrze słuszne jak mylne. Przeciw nim przemawia nietrwałość wszystkich umów podpisanych dotąd przez Rosję sowiecką. Mniemanie, że wypra-

wa kijowska ,,ściągnęła na Polskę najazd bolszewicki'', że była krokiem ryzykownym, że natomiast układy lub nawet powstrzymanie się od wszelkiej inicjatywy były drogą bezpieczniejszą, jest wśród uczestników ankiety tak rozpowszechnione, że znajdujemy je nie tylko u krytyków ale także u niektórych apologetów wyprawy. Wiara w trwałość traktatów i skuteczność taktyki układów, rozmów i przeczekiwania była dotąd najczęstszą reakcją ludów Europy Zachodniej na zagrożenie przez mocarstwa totalitarne. Tę samą postawę wobec groźby wojny znajdujemy u większej części uczestników ankiety.



Znaczna część rozważań krytyków wyprawy kijowskiej dotyczy zagadnienia czy niepodległości Ukrainy była celem osiągalnym i pożądanym.

Kilku z nich uzasadnia pogląd, że wyprawa kijowska nie mogła przynieść Ukrainie niepodległości. Stosunki polsko-ukraińskie były ich zdaniem zbyt obciążone pamięcią wiekowych konfliktów społecznych, religijnych i politycznych, a wreszcie niedawnych walk o Lwów, aby pojawienie się polskich sił zbrojnych za Zbruczem mogło wywołać entuzjazm ludności i zmobilizować ją do walki o niepodległość. Autorzy tych wywodów podnoszą, że ruch niepodległościowy ukraiński osiągnął wówczas największe nasilenie w Galicji Wschodniej, gdzie skierowany był przeciw Polsce. ,,To bardzo komplikowało — pisze jeden z nich — rolę Polski jako oswobodzicielki Ukrainy''.

Z argumentów tych zdawałoby się wynikać, że jedną z głównych przyczyn niepowodzenia wyprawy kijowskiej był układ, którym Petlura odstępował Polsce Galicję Wschodnią, pozbawiając w ten sposób ruch niepodległościowy ukraiński najbardziej czynnych elementów, żaden jednak z uczestników ankiety tego poglądu jasno nie wypowiada.

Część krytyków wyprawy sądzi, że niepodległość Ukrainy była w ogóle niepożądana. Aby Polska mogła znaleźć w niej czynnego sojusznika, musiałaby odstąpić jej Galicję Wschodnią. W przeciwnym razie aspiracje niepodległościowe Ukraińców galicyjskich musiałyby popychać Ukrainę do sojuszu z Niemcami. Niepodległość Ukrainy prowadziłaby, ich zdaniem, prędzej lub później do utraty Galicji Wschodniej. Jeden z autorów wypowiada nawet pogląd, że wyprawa kijowska była korzystna jedynie dla Niemiec i, razem z ruchem niepodległościowym ukraińskim, była dziełem inspiracji niemieckiej.

Rozważania te wydają się nam dziś nieco anachroniczne, bo brak niepodległej Ukrainy nie przeszkodził sojuszowi Związku Sowieckiego z Niemcami ani nie uchronił Polski od utraty całych kresów wschodnich. Widzimy więc w nich jedynie echa dawnych, dziś przebrzmiałych argumentów sławnego niegdyś sporu.

Bardziej interesujące wydają się inne refleksje krytyków wyprawy. Kilku z nich sądzi, że pomoc polska dla wyzwalającej się Ukrainy, aby być skuteczną, nie mogła się ograniczyć do jednorazowej improwizacji wojskowej, lecz musiałaby być akcją ciągłą, posiadającą trwałe oparcie w opinii publicznej polskiej. Piłsudski nie szukał dla niej takiego oparcia, i wyprawa kijowska była niespodzianką zarówno dla Rosji jak i dla opinii polskiej. Dzięki tym okolicznościom wyprawa ta była słomianym ogniem bez dalszego ciągu. Pozostały po niej niewielki ,,kapitał przyjaźni ukraińskiej został lekkomyślnie roztrwoniony'', pisze jeden z krytyków wyprawy i dodaje: ,,Nikt nie potrafiłby pogmatwać bardziej stosunków między obu narodami, jak to zrobił wódz wyprawy kijowskiej i późniejsi mniejsi wodzowie''.

Wielu uczestników ankiety wysuwa wreszcie argument, że popieranie ruchu niepodległościowego ukraińskiego, godząc w żywotne interesy Rosji, utrudniałoby wszelkie porozumienie z tą ostatnią. I w tym miejscu myśl krytyków wyprawy zbliża się uderzająco do myśli miarodajnych dziś polityków Zachodu.

◆

Krytycy wyprawy wzmiankują również jej niepomyślne skutki pośrednie. Zajęta wojną na Wschodzie, Polska nie mogła ich zdaniem bronić skutecznie swych interesów na granicy zachodniej. ,,W okresie rozpaczliwego odwrotu i klęski na froncie Polska musiała się zrzec plebiscytu na Śląsku Cieszyńskim i straciła kilka polskich powiatów, co zatruło stosunki polsko-czeskie; zawarła a potem naruszyła umowę graniczną z Litwą, co zatruło stosunki polsko-litewskie; przegrała zupełnie plebiscyt w Prusach Wschodnich oraz została zmuszona na konferencji w Spa do daleko idących ustępstw ze swych praw w Gdańsku'' — pisze jeden z czytelników.

Inni zwracają uwagę na niekorzystne wrażenie, jakie wyprawa kijowska zrobiła poza granicami Rzeczypospolitej. Jej niepomyślny przebieg pozwolił Niemcom mówić o Polsce jako o *Saisonstaat*. ,,Opinia rosyjska... przyjęła wyprawę kijowską jako akt agresji odbudowanego państwa polskiego, nawiązujący do wypraw na Moskwę w XVII wieku i popierania ,,samozwańców''... Wyprawa wznieciła na nowo przygaszone przez rewolucję uczucia antypolskie i scementowała przeciw nam nacjonalizm rosyjski i bolszewizm'', pisze inny uczestnik ankiety. Inny jeszcze pisze: ,,Na Zachodzie wyprawa kijowska przyniosła Polsce posądzenia o imperializm''.

◆

Wnioski wysuwane przez krytyków wyprawy są niejednolite. Wpływ 35-ciu lat, które upłynęły od tamtych wypadków, daje się odczuć wyraźniej w odpowiedziach na drugie pytanie ankiety.

Krytycy uważający niepodległość Ukrainy za ewentualność niepożądaną wnoszą stąd konsekwentnie, że ,,nie powinniśmy ani teraz ani w przyszłości tracić czasu na budowanie państwa ukraińskiego''.

Jeden z nich uważa nawet samą ankietę ,,Kultury'' za ,,niepokojący objaw nastrojów nurtujących zespół redakcyjny'' i przejaw tendencji politycznych potępionych przez polską opinię publiczną. Inny pisze : ,,Wysuwanie sprawy ukraińskiej odwraca uwagę Polaków od własnych spraw i głównego celu, jakim jest odzyskanie wolności''.

Głosy te wśród krytyków wyprawy są jednak nieliczne. Bądź wspólny los obu narodów, bądź też inne przyczyny sprawiły, że przeciwnicy wyprawy zdradzają dziś większe niż przed 30 laty zainteresowanie sprawami ukraińskimi.

Jeden z nich pisze :

,,Sądzę, że obecnie mało będzie Polaków, którzy by wątpili czy Ukraińcy są w stanie zbudować własne państwo. Tym, co w to nie wierzą, trzeba przypomnieć, że przed 1914 świat nie przewidywał powstania niepodległej Łotwy czy Estonii, a jednak te malutkie państwa powstały i rozwijały się pomyślnie przez lat dwadzieścia... Znikł wreszcie typ Polaka, który kwestionował istnienie narodu ukraińskiego i zgadzał się co najwyżej mówić o Rusinach. Ukraińcy wybijają się coraz bardziej jako odrębna, samodzielna siła, a ich ofiarność w walce o wolność budzić musi podziw i szacunek''.

Inny, krytycznie skąd inąd nastrojony były uczestnik wyprawy kijowskiej, proponuje w swych wnioskach nawiązanie przyjaznych stosunków, chociażby na emigracji, z Ukraińcami i opracowanie z nimi wspólnego programu współżycia obu narodów.

Nawet anonimowy autor odpowiedzi potępiającej wyprawę kijowską jako dzieło inspiracji niemieckiej mówi w życzliwych wyrazach o dążeniu Ukrainy do niepodległości i kończy swe wywody, nieco nieoczekiwanie, życzeniem, aby redakcja ,,Kultury'' poświęcała więcej miejsca omówieniom emigracyjnych publikacji ukraińskich.

Inny wreszcie zaleca w swych wnioskach nawiązywanie kontaktów z Ukraińcami i badanie spraw polsko-ukraińskich w perspektywie przyszłej federacji ludów Europy.

Zagadnienia federacyjne występują ubocznie w dwóch innych jeszcze odpowiedziach. Autor jednej z nich odrzuca wszelki federalizm jako koncepcję przechodzącą granicę zdrowej polityki narodowej. Drugi, mając na myśli federację środkowo-wschodniej Europy, sądzi, że Polska, w 1920 jak i obecnie, jest zbyt słaba, aby stać się ośrodkiem takiej federacji.

Streściwszy opinie krytyków, przechodzimy do opinii mniejszości, to jest tych uczestników ankiety, których zdaniem wyprawa kijowska była uzasadniona.



Sądy ujemne o wypadkach historycznych, umotywowane skutkami tych ostatnich, cierpią na pewną krótkość oddechu. Skutki bowiem wypadków są ich najszybciej przemijającym aspektem. Z biegiem czasu stają się mianowicie coraz mniej uchwytne i po upływie nawet 35 lat nikt np. nie potrafi jasno odróżnić, co w obecnej sytuacji mogłoby uchodzić za skutek wyprawy kijowskiej. Stąd sądy ujemne o wypadkach historycznych zagrożone są szybką utratą aktualności. Apologeci wyprawy mieli więc w pewnym sensie lepszy start; ale i ich odpowiedzi budzą wiele wątpliwości.

Jeden z nich zaczyna np. od słów: ,,Wyprawa kijowska była przedsięwzięciem zbyt wielkim, zbyt genialnym, aby je mogli zrozumieć ludzie mierni''. Zdanie takie byłoby bardziej na miejscu w krytyce niż w apologii sławnej wyprawy. Jest bowem jasne, że żadnego narodu nie można zmobilizować dla celów przekraczających zdolność rozumienia większości obywateli. Dlatego wszystkie wielkie wysiłki zbiorowe ludów cechowała od czasów Peryklesa prostota i, powiedzmy, mierność koncepcji. ,,Genialność'' przedsięwzięcia i jego niedostępność dla umysłów miernych — gdyby taka opinia w stosunku do wyprawy kijowskiej była słuszna — byłaby jego piętą achillesową i pierwszą przyczyną nieuniknionej klęski.

Mniemaniu krytyków wyprawy, że rokowania w Borysowie byłyby przyniosły pokój na najkorzystniejszych warunkach, apologeci przeciwstawiają mniemanie wręcz przeciwne. Jak już zauważyliśmy wyżej, żadne z tych zdań nie ma za sobą argumentu ex eventu. Za zdaniem apologetów przemawia autorytet Piłsudskiego, który rozporządzał materiałem informacyjnym większym niż jego polscy oponenci. O ówczesnych intencjach Kremla mogłyby poinformować bezsprzecznie tylko jego archiwa. Jedne i drugie źródła pozostają nieznane. Nie wiemy również o żadnej próbie zbadania dostępnych dziś źródeł niemieckich, mogących oświetlić ówczesną sytuację. Lenin, jak wiadomo, zwierzał się na te tematy rozmówcom niemieckim. Ale to jest inna sprawa. Żaden z uczestników ankiety nie powołuje się zresztą na nowe lektury lub dokumenty.

Inne argumenty uzasadniające wyprawę kijowską wychodzą przeważnie z założenia, że na wojnie taktyka obronna nie wróży zwycięstwa. Przytaczamy je tu w sformułowaniu jednego z uczestników ankiety:

,,Wyprawa kijowska przenosiła wojnę z terenów własnych na tereny obce, narzucała wrogowi niewygodny dlań czas bitwy, gdyż wojna domowa w Rosji nie była zakończona, jak niezakończona była również koncentracja wojsk sowieckich do planowanej ofensywy na Polskę. W wojnie z Polską Rosja wysuwała wreszcie atrakcyjne hasła komunistyczne. Chcąc wygrać wojnę, Polska musiała zdobyć się na hasło bardziej atrakcyjne. Hasłem takim była wolność narodów ujarzmionych przez Rosję. Jemu też zawdzięczamy między innymi, że Rosja zgodziła się w końcu na pokój... Nie został osiągnięty drugi cel wyprawy: stwo-

rzenie niepodległej Ukrainy. Pierwszy natomiast, mianowicie przeszkodzenie koncentracji i zniszczenie poważnych sił wroga, został osiągnięty. Gdyby nie zwycięstwo pod Kijowem, niemożliwe byłoby następne zwycięstwo nad Wisłą".

Dziś jak przed trzydziestoma laty niepodległość Ukrainy jest głównym przedmiotem rozważań krytyków wyprawy, gdy u jej apologetów cel ten figuruje raczej jako jeden z elementów taktycznych przedsięwzięcia. Cytowany wyżej autor mówi też o nim tylko jako o próbie zrobienia sojuszników z niedawnych wrogów i zużytkowania nacjonalizmu ukraińskiego jako jednego z czynników polityki polskiej.

◆

W zakończeniu, dziękując czytelnikom, którzy zechcieli wziąć udział w naszej ankiecie, zatrzymamy się raz jeszcze nad jej wynikiem ogólnym. Odnosimy zeń wrażenie, że rozpoczęta na ten temat w 1920 dyskusja nie posunęła się wiele naprzód. Krytycy i apologeci wyprawy kijowskiej zdają się stać nadal na zajętych przed trzydziestu pięciu laty pozycjach. Paru zaledwie uczestników ankiety zeszło z nich, aby zająć stanowisko pośrednie, uwzględniające argumenty obu stron.

Do analizy krytycznej tych pozycji nie przybyły wprawdzie żadne dokumenty nowe, od których zazwyczaj zaczynają się wszystkie rewizje historii. Zmieniła się jednak perspektywa, w jakiej widzimy wypadki 1920. Patrzący wstecz ogląda je dziś na tle większych procesów historycznych, posiadających już w tej chwili określony kształt. Dlatego przypuszczaliśmy, że i wyprawa kijowska może ukazać się nam obecnie w nowym świetle.

Jednym z tych wielkich procesów jest odbywający się obecnie odwrót od Polski jagiellońskiej do Polski piastowskiej. Przebywszy raz drogę od Piastów do Jagiellonów, Polska posuwa się od lat już tą samą drogą w kierunku odwrotnym. Nie chodzi tu o przesunięcia terytorialne. Towarzyszy im od dawna już głęboki proces wewnętrzny, obejmujący przemiany pojęć, przesunięcia społeczne i gospodarcze. Na tle tych zmian pozycje krytyków i apologetów wyprawy kijowskiej, a także i wyprawa sama, zyskują pewien nowy sens, nieuchwytny dla Polaków dwudziestolecia. Uczestnicy wyprawy kijowskiej byli ostatnimi Polakami, którym dane było oglądać ziemie Polski jagiellońskiej.

Innym wielkim procesem historycznym rozwijającym się w naszych oczach jest ustalanie się nowej proporcji sił między Wschodem i Zachodem. Obecność wojsk sowieckich w Wejmarze i Erfurcie nie jest wcale nowością, za jaką mogłaby uchodzić. Już podczas pierwszej wojny światowej, w myśl układów między ówczesnymi przeciwnikami Niemiec, Rosja miała w 1917 odegrać rolę walca posuwającego się na Zachód w głąb Niemiec. Gdyby plan ten został wykonany, wojska rosyjskie znala-

złyby się w środku Niemiec jesienią 1917. Obecność więc wojsk rosyjskich w Erfurcie była przewidywana i aprobowana przez ówczesną opinię konserwatywną Zachodu. W trzy lata później, przy innym wyniku bitwy pod Warszawą, wojska rosyjskie znalazłyby się w niedługim czasie nie tylko w Erfurcie, ale także w zagłębiu Ruhry. Możliwości takie były wówczas mniej lub więcej akceptowane przez opinię lewicową Zachodu, który przyglądał się w milczeniu nadchodzącym wypadkom. Po dwóch próbach wojska rosyjskie znalazły się istotnie w Erfurcie latem 1945. Na tle całości tych wypadków staje się bardziej zrozumiałe, dlaczego Mołotow w Genewie poczuł się dotknięty, gdy spostrzegł, że ministrowie mocarstw zachodnich proponują mu *na serio* ewakuację Niemiec. W perspektywie kształtującego się powoli nowego układu sił między Wschodem i Zachodem wypadki 1920 ukazują się w nowych, niewidocznych dawniej proporcjach.

Do nasuwających się stąd refleksji mamy nadzieję powrócić jeszcze, razem z czytelnikami, którzy zechcieli nam w tych wspólnych wspominkach towarzyszyć, za lat pięć.

P. HOSTOWIEC

Filozofia wyroczni i dekretu

Ci, którzy uważają, iż jednym z istotnych zadań filozofii jest badanie sensu, wykrywanie racji i uzasadnianie naszych poglądów o prawdzie i fałszu, świecie zewnętrznym i cudzych umysłach, ludzkiej woli, miejscu człowieka w świecie i podobnych sprawach, skłaniać się mogą do przekonania, że filozofia tak rozumiana przestała w Polsce istnieć. Powiedzą oni, że materializm dialektyczny i historyczny jest filozofią wyroczni i dekretu. Twierdzeń poręczonych autorytetem jednego z klasyków marksizmu nie wolno kwestionować, wszystko co niezgodne z ich wypowiedziami jest błędem i fałszem. Pitagorejskie „on sam to powiedział'' rozstrzyga nieodwołalnie spory i dyskusje.

Nie tylko nikt nie może poddawać w wątpliwość dialektyczno-materialistycznych założeń, lecz trzeba również przyjąć, milcząco lub jawnie, iż świat składa się z jednej tylko substancji — materii, która jest wcześniejsza od zjawisk życia i świadomości; że zjawiska życia i świadomości są pewnymi stanami („jakościami'') materii poddanymi specyficznym prawom, niesprowadzalnym do praw rządzących materią nieorganiczną; że wszelka zmiana podlega prawom dialektyki, które odwzorowują najogólniejsze prawidłowości zjawisk naturalnych i społecznych, historii i myślenia; że świat jest zasadniczo całkowicie poznawalny; że język, wrażenia, pojęcia, prawa nauk szczegółowych są „odbiciem'' rzeczywistości. Nie jest to pełna lista tez jakie należy przyjąć. Trudno byłoby wskazać sprawy, o jakich filozofowi w Polsce wolno myśleć samodzielnie. Nie może on przyjąć postawy badacza, który wzbrania się uznać, co nie jest w stanie wykazać się należytym uzasadnieniem. Wolno mu tylko stwierdzać stanowczo co było stwierdzone uprzednio przez jednego z klasyków marksizmu i tego bronić, per fas et nefas, jak to czyni pozbawiony skrupułów adwokat w sądzie. Ta obrona jest w gruncie rzeczy niepotrzebna, ponieważ prawdziwość twierdzeń materializmu dialektycznego nie jest od wyroku sądu rozumu zależna. Kto twierdzi, iż Bóg istnieje i dopatruje się dowodu swej wiary w rozumowaniu opartym na założeniu, iż

nie istnieją ciągi pozbawione pierwszego wyrazu, ten nie odrzuci swej wiary na tej zasadzie, iż jego założenie okazało się fałszywe. Podobnie zachowa się wyznawca dialektycznego materializmu, jeżeli upadnie wywód popierający jego twierdzenia. Z drugiej strony, wywód tezy te uzasadniający nie wzmacnia ich prawomocności. Czego rozumowanie nie może obalić, tego rozumowaniem nie jesteśmy w stanie uzasadnić. Taki stan rzeczy wyklucza jednak filozoficzne myślenie i oznacza śmierć filozofii.

Kto powyższą opinię podziela może na jej uzasadnienie wskazać szereg niepokojących faktów, jakie poniżej będzie należało szczegółowiej omówić. Błędem byłoby jednak utożsamiać oficjalną doktrynę z filozofią w Polsce. Oprócz wyznawców dialektycznego i historycznego materializmu — dialektyków, jak dla krótkości będziemy ich określać — w Polsce żyją i działają filozofowie innego autoramentu, obrońcy postawy badawczej, precyzji i jasności myślenia, obiektywizmu i metodologicznej ścisłości. Do tej grupy należą niemal wszyscy żyjący w kraju myśliciele okresu między dwiema wojnami i wokół nich skupia się wielu adeptów nauk filozoficznych młodszego pokolenia.

Wielce dla nauki polskiej zasłużony Stanisław Michalski pisał w przedmowie do pierwszego i ostatniego powojennego tomu ,,Nauki Polskiej'' (1947): ,,Polska dziś jeszcze znajduje się jakby na polu bitwy — o swój byt jako narodu kulturalnego, o wartość swego twórczego dorobku duchowego jaki będzie mogła wkładać do skarbnicy wspólnej wszystkim narodom cywilizowanym''. A we wstępie do przeglądu potrzeb poszczególnych nauk St. Michalski dodał: ,,Wolność nauki i jej byt materialny trzeba otoczyć szczególną opieką — dopóki nie będzie za późno, dopóki nie wymrą ci, którzy dziś jeszcze w warunkach spokoju, zapewnionego bytu i kontaktu z wszechświatowym nurtem nauki mogą wykształcić krajowi swoich następców''.

To wezwanie nie pozostało bez posłuchu, a tym którzy za nim poszli zawdzięczamy, iż myśl filozoficzna w Polsce, chociaż zepchnięta na boczne tory, żyje jako żywa tradycja i potrzeba umysłu, jako ów duch filozofii sokratycznej, który od chwili gdy zabłysnął w starożytnej Grecji nigdy nie przestał ludzkości nawiedzać i niepokoić. Wyrocznia delficka nazwała Sokratesa najmądrzejszym z ludzi, ponieważ był on świadom swej niewiedzy i był zawsze gotów prawdy na nowo szukać. Gdy rozpoczynał dyskusję o tym, czym jest cnota lub wiedza, nigdy nie wiedział, dokąd go rozważania doprowadzą i szedł krok za krokiem za tym co po pełnym i wszechstronnym rozważeniu uznał za uzasadnione, w zgodzie z innymi przekonaniami i samym sobą. Albowiem i tego nakazu był Sokrates pierwszym i konsekwentnym obrońcą. *Wydaje mi się, mężu dzielny* — mówił Sokrates w platońskim ,,Gorgiaszu'' — *że wolałbym, niech by tam raczej lira była niestrojna i fałszywie brzmiała, niech by tam raczej chór któremu bym przewodził lub większość ludzi*

ze mną się nie zgadzała, aniżeli ja sam, jedną jednostką będąc, miał nosić w sobie rozdźwięk wewnętrzny i sprzeczne myśli wygłaszać.

OCZYMA DIALEKTYKA

W artykule ,,Dziesięć lat walki o zwycięstwo filozofii marksistowskiej w Polsce Ludowej'' (Myśl Filozoficzna, 3. 1954) Adam Schaff pisze, iż najważniejszym wydarzeniem lat 1944-1954 było zasadnicze przesunięcie sił. ,,*Filozofia marksistowska, która zarówno organizacyjnie, jak również pod względem swych wpływów naukowych zajmowała bardzo słabe pozycje na początku okresu, stała się obecnie kierunkiem dominującym w polskiej filozofii... Filozofia burżuazyjna zaś, która na początku okresu zajmowała pozycję dominującą, a w organizacji życia pedagogicznego i naukowego — wręcz monopolistyczną, organizacyjnie w zasadzie przestała istnieć, a jeśli idzie o jej znaczenie ideologiczne, znajduje się w defensywie''*. Punktem przełomowym omawianej ewolucji był koniec 1948 roku. Nie jest to data ukazania się dzieła stanowiącego epokę w rozwoju marksistowskiej filozofii, jakie wywarło przemożny wpływ na umysły. Nie jest to więc data intelektualnego przełomu, jakim dla fenomenologa był rok 1900 — rok publikacji I tomu ,,Logische Untersuchungen'' Husserla, dla wyznawcy angielskiej filozofii analitycznej — rok 1903, w którym ukazała się rozprawa G.E. Moore'a ,,Refutation of Idealism'', dla logicznego neopozytywisty — rok 1922 uświetniony przez ,,Tractatus Logico-Philosophicus'' Wittgensteina. Schaff traktując politykę, a nie umysł ludzki, za siłę napędową rozwoju filozofii uważa rok 1948 za datę przełomu, ponieważ wówczas ,,*ukształtowała się demokracja ludowa jako odmiana dyktatury proletariatu''*.

Do 1948 roku można było obserwować samorzutne i owocne wysiłki zmierzające do odbudowy nauczania filozofii na wyższych uczelniach, pobudzenia dyskusji i twórczości filozoficznej. Odżyły ,,stare'' kierunki, towarzystwa i czasopisma filozoficzne. Wznowiono wydawanie ,,Przeglądu Filozoficznego'', ,,Kwartalnika Filozoficznego'', ,,Ruchu Filozoficznego'' i ,,Studia Philosophica''. Podręczniki i dzieła oryginalne, jak np. ,,Elementy teorii poznania, logiki formalnej i metodologii nauk'' Kotarbińskiego i ,,Logika Teoretyczna'' Zawirskiego, jakich nie można było wydać na nowo, ukazały się jako skrypty. Wyszło nowe wydanie ,,Historii Filozofii'' Tatarkiewicza, uzupełnione po wojnie tomem III; nowe podręczniki logiki o różnym przeznaczeniu — ,,Logika Matematyczna'' A. Mostowskiego (Warszawa-Wrocław 1948), ,,Elementy Logiki Formalnej'' A. Wiegnera (Poznań 1948), ,,Logika'' T. Czeżowskiego (Warszawa 1949), ,,Kurs logiki dla prawników'' T. Kotarbińskiego (jako skrypt w 1947, później w formie książkowej, dostępnej w 1955 roku w trzeciw kolejnym wydaniu); nowe wprowadzenia do nauk filozoficznych — ,,Główne zasady nauk filozoficznych''

Czeżowskiego, ,,Propedeutyka filozofii'' (Warszawa-Wrocław 1948) oraz ,,Zagadnienia i kierunki filozofii'' K. Ajdukiewicza (Warszawa 1949). Filozofię marksistowską reprezentowała wówczas — prócz broszur o propagandowym charakterze — jedynie książka Schaffa ,,Wstęp do teorii marksizmu'' (Warszawa 1948), o której istnieniu autor wolałby dzisiaj zapewne zapomnieć.

Przełom polityczny 1948 roku ograniczył tę samorzutną działalność i stał się początkiem likwidacji filozofii na drodze administracyjnej. ,,Przegląd Filozoficzny'', założony przez Władysława Weryhę w 1898 roku, ,,Ruch Filozoficzny'' powołany do życia w 1911 roku we Lwowie i ,,Kwartalnik Filozoficzny'' ukazujący się od 1922 roku w Krakowie przestały wychodzić. Katedry socjologiczne zostały przekształcone na katedry historii myśli społecznej, katedry historii filozofii — na katedry historii filozofii i myśli społecznej, katedry ,,burżuazyjnej filozofii'' — na katedry logiki, poddanej ideologicznej kwarantannie. Pełne studia filozoficzne ostały się tylko na jednej uczelni — na uniwersytecie warszawskim, gdzie z wyjątkiem logiki wykłada się jedynie filozofię dialektyczną (1). Roman Ingarden, który w latach powojennych mógł jeszcze wydać dwutomowe dzieło ,,Spór o istnienie świata'' (Kraków, PAU, 1947-1948), musiał porzucić swe właściwe zainteresowania. Od historii filozofii odejść musiał Władysław Tatarkiewicz, historyk niezwykłej wiedzy, wykwintny pisarz i uczony na miarę europejską. Filozofowie o logicznym wykształceniu znaleźli schronienie w nauczaniu logiki, której katedry istnieją na wszystkich wyższych uczelniach. Zagadnienia teorii poznania, metodologii szczegółowej i epistemologii, wraz z całą tradycyjną problematyką filozoficzną, oddane zostały pod kompetencję katedr materializmu dialektycznego. Katedry materializmu historycznego objęły wyłączną pieczę nad socjologią, etyką, estetyką, teorią nauk humanistycznych i historycznych.

,,Przegląd Filozoficzny'' i ,,Kwartalnik Filozoficzny'', które dawały możliwość wypowiadania się filozofom wszystkich kierunków i orientacji, byle by wypowiedzi stały na właściwym poziomie naukowym, ustąpiły miejsca ,,Myśli Filozoficznej'', założonej pod koniec 1951 roku, ukazującej się przez pierwsze trzy lata jako kwartalnik a od początku 1955 roku sześć razy w roku. ,,Myśl Filozoficzną'' powołano do życia jako centralne czasopismo filozoficzne w Polsce i jako ,,placówkę wyraźnie marksistowską''. W tym podwójnym charakterze ,,Myśli Filozoficznej'' nie można porównywać z czasopismami określonego kierunku filozoficznego, jakim było ,,Erkentniss'', ,,Jahrbuch für Philosophie und Phaenomenologische Forschung'' lub ,,Journal of Unified Science''. Te specjalne czasopisma służyły rozwojowi jednego tylko kierunku filozoficznego, lecz nie rości-

(1) Wykładowców katedr ,,przedmiotów ideologicznych'' kształci nadto Instytut Nauk Społecznych przy KC PZPR.

ły sobie pretensji do wyłączności, a przeto mogły i rzeczywiście przyczyniały się do rozwoju filozofii w ogólności. „Myśl Filozoficzna" ma służyć pogłębianiu teoretycznej i metodologicznej problematyki dialektycznego i historycznego materializmu i należy jej życzyć powodzenia w tym niezwykle naglącym przedsięwzięciu. „Myśl Filozoficzna" rości sobie jednak jednocześnie prawo do roli monopolistycznej, do dyktatorialnej kontroli nad filozofią i funkcji najwyższego sędziego w sporach filozoficznych. Utożsamiła ona filozofię z hodowanym pod ochroną przywileju dialektycznym i historycznym materializmem, który w tej nienaturalnej atmosferze degeneruje się i karłowacieje na równi ze swymi ofiarami. „*Trzeba pozwolić na dogłębną, nieskrępowaną dyskusję podstaw poglądu na świat* — pisał ostrzegawczo Kotarbiński w „Płomieniach" w 1948 roku. — *W oparach samochwalstwa marnieje jakość idei. A cóż dopiero, jeżeli dla jedności, ciągłości i powszechności systemu zaczyna się utrwalać nawet fałszywe jego elementy... Albo gdy się nie apeluje do krytycznego sądu odbiorcy, lecz raczej usposabia go tak, aby ufnie przyjmował katechizm uproszczony. Dobre to dla masowości propagandy, chybione w zastosowaniu do ludzi myślących".*

Rozstrzyganie zagadnień filozoficznych na drodze orakularnych sentencji i nieodwołalnych decyzji „Myśl Filozoficzna" uważa za swe przyrodzone i nienaruszalne prawo. Nie zamierzamy otwierać furtki dla wroga, brzmiał komentarz „Myśli Filozoficznej" do wyżej cytowanej wypowiedzi Kotarbińskiego. „*W odniesieniu do filozofii możemy powiedzieć"*, pisał Schaff w pierwszym numerze tego czasopisma, „*że po pojawieniu się marksizmu wszystkie kierunki przeciwne materializmowi i dialektyce, niezależnie od form ich maskowania, należą do kapitalistycznej nadbudowy reprezentując obiektywnie burżuazyjną reakcję"*. W związku z tym stara filozofia nie może po zwycięstwie nowej bazy wejść w skład powołanej przez nią do życia nadbudowy — „*na odwrót, musi zostać przezwyciężona"*. O szczególnych sposobach tego przezwyciężania wiele będzie do powiedzenia na właściwym miejscu. Bój ideologiczny, który w „Myśli Filozoficznej" zajął miejsce rozumowania, dyskusji, wymiany opinii, wydany został fenomenologii, neorealizmowi, neotomizmowi, logicznemu pozytywizmowi, angielskiej szkole analitycznej, pragmatyzmowi, egzystencjalizmowi. Miała to być krytyka twórcza, która przezwyciężając błędy przeciwnika nie gubi jego cennych osiągnięć. W praktyce krytyka „Myśli Filozoficznej" jest w najlepszym razie mową prokuratora oskarżającego o wykroczenia przeciw prawom, jakie nie mają do podsądnego zastosowania, najczęściej jednak przechodzi ona w argument ad personam i dla doraźnego wygrania sporu zohydza przeciwnika szermując niewybrednymi osądami bez rzeczowego związku ze sprawą i krytykowanym poglądem. Są to elaboraty bezceremonialne, pisał Kotarbiński, w proteście przeciw formie, tenorowi i metodom wyroku wydanego na Twardowskiego, po-

sługujące się chwytami używanymi w ,,niewybrednych kłótniach dla oddania uczuć lekceważenia, pogardy i szyderstwa'' (Myśl Filozoficzna, 4. 1952, s. 357).

Zawartość ,,Myśli Filozoficznej'' nie odbiega od jej tonu i znalazła trafne samookreślenie w sprawozdaniu komitetu redakcyjnego złożonym po półtorarocznej działalności. Zerwaliśmy z ,,pseudoobiektywizmem'' przedwojennych czasopism, czytamy w tym sprawozdaniu. ,,Myśl Filozoficzna'' dążyła do tego, aby *,,oświetlać na swych łamach bojowe i ważne problemy życia ideologicznego, aktywnie zwalczać pozostałości idealizmu w naszej nauce, gromić wroga, burżuazyjną ideologię,aby okazać na swoim odcinku pomoc w wielkim dziele budownictwa socjalistycznego''* (Myśl Filozoficzna, 1. 1953, s. 350). Skupiając swą uwagę na ideologicznej propagandzie, złorzeczeniach przeciwników, przechwałkach własnej mądrości (w porównaniu z dialektyką, oświadczył Bierut wobec uczestników I. Kongresu Nauki, wszystko jest ,,łatwizną''), problemach politycznych totalitarnego państwa i popularnej historii myśli społecznej sprowadzonej do stereotypowych haseł i ocen, ,,Myśl Filozoficzna'' nie zawiera i nie uprawia tego, co jej nazwa sugeruje. Miejsce jej jest wśród czasopism zajmujących się propagowaniem jakiejś doktryny i publicystyką społeczno-polityczną, do czego kwalifikuje ją również wspomniany ton, styl i sposób rozumowania przeważającej części ogłaszanych przez nią artykułów. ,,Myśl Filozoficzna'', twierdził Kotarbiński z okazji wspomnianego sprawozdania, pozostawia miejsce na czasopismo filozoficzne o charakterze naukowym. Wprawdzie redakcja ,,Myśli Filozoficznej'' i wielu autorów, wywodził dalej Kotarbiński, *,,zdają się rozumować według sylogizmu: to, co piszemy, jest marksistowskie; marksizm jest jedyną naukową filozofią; więc to, co piszemy, jest jedynie naukowe''*, jednak ten refren ,,brzmi jak przechwałka'', gdy się go porówna z ,,subtelnością i wykształceniem'' wielu przeciwników marksizmu.

OSIĄGNIĘCIA FILOZOFII DIALEKTYCZNEJ

Administracyjne zarządzenia zapewniły dialektykom dominującą pozycję na wyższych uczelniach, oddały w ich ręce kontrolę nad filozoficznymi publikacjami i uczyniły oficjalnie przedstawicielami myśli filozoficznej w Polsce. Dekret nie mógł jednak zapewnić dialektykom pozycji intelektualnej, niezależnej od administracyjnej hierarchii, ugruntowanej na osiągnięciach, wiedzy i umiejętnościach. Dialektycy tej intelektualnej dominującej pozycji nie zajmują i w skrytości ducha zapewne nawet do niej nie pretendują. Kazimierz Twardowski, obwołany przez dialektyków ,,filozoficznym obskurantem'', jest nadal powszechnie uznanym ojcem polskiej nowoczesnej filozofii. Jan Łukasiewicz, inny ,,fideista'' i ,,obskurant'' według oficjalnej oceny, otoczony jest sławą ,,najznakomitszego w chwili obecnej znawcy ra-

chunku zdań" i wywiera nadal potężny wpływ na orientację filozoficzną. Ajdukiewicz i Kotarbiński cieszą się opinią najwybitniejszych żyjących w Polsce myślicieli. Pozycja Tatarkiewicza któremu nawet dialektyczna krytyka zaoszczędziła obelg, pozostała nienaruszona, chociaż nie znalazło się dla niego miejsca — podobnie jak dla Ingardena — w Komitecie Filozoficznym PAN. W świetle ich dotychczasowych osiągnięć sytuacja dialektyków, z których tylko jeden ma jakiś filozoficzny dorobek, o wątpliwej zresztą oryginalności, jest nie do pozazdroszczenia i słusznie budzi ich zaniepokojenie. Ustępują oni nie tylko mistrzom, lecz i uczniom mistrzów polskiej filozofii, a wrzawa jaką dialektycy wokół siebie podnoszą faktu tego nie odmieni, jak nie przeciwważy dorobku polskiej filozofii dialektyczna propagandowa publicystyka, na domiar złego naśladowcza, korzystająca z cudzych, pośledniej miary wzorów.

W cytowanym wyżej artykule ,,Dziesięć lat walki o zwycięstwo filozofii marksistowskiej" Schaff przeprowadza bilans osiągnięć dialektyków w zakresie materializmu dialektycznego i historycznego, historii filozofii i logiki (2). W omówieniu tego bilansu pominiemy na razie logikę, którą z wielu względów należy zająć się oddzielnie.

Materializm dialektyczny, stwierdza Schaff, jest ,,u nas dyscypliną słabą". Z tą opinią nie można się nie zgodzić. Oprócz publikacji Schaffa ,,Z zagadnień marksistowskiej teorii prawdy" (Warszawa 1951), w znacznej części polemicznej a nie systematycznej, materializm dialektyczny nie może się wykazać żadnym oryginalnym przyczynkiem. Braki własnej twórczości wypełnia wzmożona akcja wydawnicza tłumaczeń dzieł Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina — wśród tych przekładów znajdują się pozycje cenne, które warto było przyswoić polskiemu piśmiennictwu — oraz dzieł filozoficznych sowieckich. Zagadnienia teoriopoznawcze i epistemologiczne (teorii nauk) leżą odłogiem. Nikt nie kwapi się, by rozwinąć teorię ,,odbicia" panaceum, rozwiązań problemów teoriopoznawczych — realności przedmiotów zewnętrznych, poznawalności świata, sprawdzianów prawdy. Wystarczy tę teorię wspomnieć, by przeciąć każdą dyskusję z zakresu tych problemów. Jest to jednak publiczną tajemnicą, żenującą dla bardziej samodzielnie myślących dialektyków, iż teoria ,,odbicia", znana częściej pod nazwą naiwnego realizmu, jest obarczona śmiertelnymi ułomnościami, widocznymi dla początkującego adepta nauk filozoficznych, a swą moc

(2) W Polsce ustala się zwyczaj wyodrębniania trzech działów nauk filozoficznych: materializmu dialektycznego i historycznego (obejmującego teorię poznania, epistemalogię, metodologię szczegółową, socjologię, etykę, estetykę, teorię nauk humanistycznych i historycznych), historii filozofii i myśli społecznej oraz logiki. Te trzy sekcje istnieją w Komitecie Filozoficznym PAN, a na ich czele stoją odpowiednio Marek Fritzhand, Bronisław Baczko i K. Ajdukiewicz. Zarówno Fritzhand, jak i Baczko nie zaznaczyli się dotąd niczym w naukach filozoficznych, których rozwojem mają kierować.

magiczną zawdzięcza tylko autorytetowi Engelsa i Lenina, którzy się za nią opowiedzieli. Nikt nie tknął filozoficznych zagadnień logiki i matematyki, fizyki i biologii. W okresie między dwiema wojnami w tej dziedzinie panowała żywa aktywność, której świadectwem są książki i rozprawy Zawirskiego, Metallmana, Białobrzeskiego, Mehlberga, Sztejnbarg, Dąmbskiej, Wiegnera, Wundheilera i Poznańskiego. Dzisiaj prace z tego zakresu publikowane w Polsce są bądź przekładami z rosyjskiego, bądź sprawozdaniami z badań matematyków, fizyków i biologów sowieckich. Wyjątek stanowią artykuły Infelda i Szczeniowskiego, lecz te do materializmu dialektycznego nie należą. Schaff konkluduje tę część swego artykułu stwierdzeniem, iż wśród dialektyków istnieje słabe zainteresowanie klasyczną problematyką filozoficzną, co stwarza *,,sytuację wręcz niebezpieczną dla dalszego rozwoju filozofii marksistowskiej''.*

Materializm historyczny nie ma nawet takich osiągnięć jak materializm dialektyczny, lecz burzy z pasją wszystko, co zastał. Socjologia ,,burżuazyjna'' została ,,przezwyciężona'' przez sumaryczne potępienie i zamknięcie dróg do jej gruntownego poznania, socjologia ,,marksistowska'' dotąd nie istnieje. Podobnie ,,rozbita'' została ,,burżuazyjna'' etyka, która ,,hamowała rozwój etyki w Polsce'', lecz na jej miejsce nic innego nie powstało (3). Estetyka uprawiana jest okazjonalnie jako gałęź polityki kulturalnej, jako system nakazów i zakazów emanujących od przywódców partii. Metodologia nauk humanistycznych i historycznych leży nietknięta i w zapomnieniu(*). Materializm historyczny uprawiany w Polsce jest pewną formą uwznioślonej propagandy, biegłością udzielania dźwięcznych pochwał i wygłaszania grzmiących potępień, dyscypliną stroniącą od faktów i służebną — na usługach egzegezy ,,ogromnego ładunku twórczej myśli naukowej'' w *,,uchwałach partyjnych, przemówie-*

---

(3) W latach powojennych ukazało się szereg prac z zakresu zagadnień etyki i moralności — M. Ossowskiej ,,Podstawy nauki o moralności'' (Warszawa 1947) A. Krzyżanowskiego; ,,Chrześcijańska moralność polityczna'' (Warszawa-Kraków 1948) W. Tatarkiewicza ,,O szczęściu'' (Kraków 1947), rozprawy Czeżowskiego, Kotarbińskiego i J. Landego w ,,Przeglądzie Filozoficznym'' i ,,Kwartalniku Filozoficznym''. Ta oryginalna twórczość ustała wraz ze zdobyciem hegemonii przez filozofię dialektyczną.

(*) Już w czasie przeprowadzania korekty autor tych słów zapoznał się z nową książką A. Schaffa ,,Obiektywny charakter praw historii'' (Warszawa, 1955), którą w tym kontekście należałoby się zająć. Zasługuje ona jednak na obszerniejsze omówienie ze względu na wagę zagadnienia. Z tej także przyczyny czyta się ją z zaciekawieniem i zamyka z rozczarowaniem. Również w tej książce Schaff ogranicza się do bezkrytycznego referatu dobrze znanych poglądów na historię swych mistrzów, by potem wywodzić, iż wszystko inne jest idealistyczną mistyfikacją i taką lub inną burżuazyjną reakcją na marksizm. Erudycja autora ,,Obiektywnego charakteru praw historii'' zasługiwała na lepsze i owocniejsze dla rozwoju badań nad naukami historycznymi zużytkowanie.

niach przywódców partii oraz publicystyce partyjnej" (słowa Schaffa). Typowy przyczynek z tego zakresu jest najczęściej powtarzaniem tego, co było już wielokrotnie, lepiej i zwięźlej, powiedziane przez klasyków marksizmu, lub okolicznościowym artykułem o tym, co potrzeby partii dyktują, elaboratem beztroskim o sens i ład, nużącym i rozwlekłym, ubożuchnym w treść i nikomu niepotrzebnym. O tych elaboratach pisał niedawno jeden z dialektycznych egzegetów w samokrytycznym momencie, iż ich osobliwością jest ,,zabójcza sztampa", ,,wytarte, ciągle te same frazy", których czytanie staje się ,,istną umysłową udręką" (Nowa Kultura, 16. 1. 1955). O historycznych dialektykach powiedzieć można słowami Nietzschego, iż drogę do faktów zawalają im słowa i czego się dotkną potykają się o skamieniałe, przedawnione słowa.

Historia filozofii powszechnej ma być od nowa napisana, lecz prócz ustalenia zasad, na jakich ma być oparta, postęp prac w tej dziedzinie dotąd się nie zaznaczył. Po doświadczeniach J. Aleksandrowa jest to delikatne i niebezpieczne zadanie. W ogólności — przyznają to i dialektycy — brak jest zainteresowania historią filozofii powszechnej, a nieco żywsza działalność w zakresie historii filozofii polskiej grzeszy niedomaganiami ogólnego wykształcenia filozoficznego autorów oraz ,,jednostronnością" i ,,zaściankowością" opracowań (Myśl Filozoficzna, 1, 1955, s. 282).

Dla umysłu nieuprzedzonego zasady dialektycznej historii filozofii sprawiają wrażenie premedytowanej obelgi w stosunku do ludzkiej inteligencji. Nie ma to być historia filozofii pisana z określonego punktu widzenia dla uwypuklenia wzrostu i ewolucji pewnej filozoficznej perspektywy świata, jakaś nieporównanie udoskonalona ,,Historia materializmu" F. A. Langego lub jakaś monumentalna ,,History of Western Philosophy" Bertranda Russella, obrazująca nie tylko związki między ideami filozoficznymi i społecznymi, lecz i ukazująca, iż w ,,ostatecznej instancji" stosunki gospodarcze i społeczne wyznaczają rozwój idei filozoficznych. Podobna próba, dotąd nigdy jeszcze niepodjęta na przestrzeni stu lat dzielących nas od sformułowania podstawowej tezy — a raczej hipotezy — historycznego materializmu, byłaby niezwykle ciekawym eksperymentem. Zasady metodologiczne, jakie mają kierować w pisaniu dialektycznej historii filozofii niczego podobnego nie proponują, lecz nawiązują do hegeliańskiej koncepcji filozofii i jej historii. Jak niegdyś heglizm, tak obecnie marksizm ma być systemem, który wchłonął wszystkie osiągnięcia poprzedzającej go filozofii, stanowił punkt dojścia i kres jej rozwoju.

Zasady, o jakich mowa, stwierdzają, iż historia filozofii, która nie uświadamia sobie swojej roli w walce politycznej, stacza się nieuchronnie do poziomu jałowego kronikarstwa i inwentarza archiwalnych zabytków. Każda filozofia wyraża światopogląd określonych klas i zawsze bierze udział w utrwalaniu

lub obalaniu istniejących stosunków produkcji. Marksistowska zasada partyjności filozofii, odkrycie walki klas na terenie filozofii jako ,,obiektywnej prawidłowości historycznej'', jest przeto naczelną regułą metodologiczną dialektycznych badań nad historią filozofii. W rzeczywistości rozwój filozofii posiada dwa okresy: ,,*do Marksa i od Marksa... Podręcznik historii i filozofii... musi przedstawić rozwój filozofii takim, jakim on był i jest w rzeczywistości: jako historię narodzin, powstania i rozwoju materialistycznego światopoglądu''*. W filozofii przedmarksowskiej wolno rozróżniać między postępowymi i reakcyjnymi systemami, dostrzegać proces stopniowego ,,*wyzwalania się myśli filozoficznej z ograniczeń narzuconych jej przez sytuację klasową i poziom nauki''*. Od Marksa sprawa inaczej się przedstawia. W okresie kiedy działa już rozwinięta filozofia naukowego socjalizmu, zasada, o której była mowa, ,,*przesądza z góry ocenę burżuazyjnych doktryn jako reakcyjnych, antynaukowych i hamujących postęp myśli filozoficznej, którego jedynym nosicielem jest w tym czasie ideologia klasy robotniczej''* (Myśl Filozoficzna 4, 1952, s. 249 n.; 4, 1954, s. 78 n.).

W przeciwieństwie do innych nauk filozoficznych nowego porządku historia filozofii może sę poszczycić pewnymi realnymi osiągnięciami. Nie dotyczą one historiografii, a akcji wydawniczej, skupionej w zakresie tekstów polskich do trzech okresów — Odrodzenia, Oświecenia i XIX wieku. Wydano nową edycję ,,O obrotach sfer niebieskich'', dzieła Frycza Modrzewskiego w wersji łacińskiej i polskiej, pisma Kołłątaja, Staszica, Jana i Jędrzeja Śniadeckich, F.S. Jezierskiego, Lelewela, Dembowskiego, Kamieńskiego, Worcela, Krępowieckiego. Biblioteka Klasyków Filozofii wydaje tłumaczenia dzieł wielkich myślicieli filozofii światowej i obejmuje prócz wznowień wydawnictw przedwojennych — ,,Uzasadnienie metafizyki moralności'' Kanta, ,,Etyki'' Spinozy, ,,Człowieka-Maszyny'' La Mettrie, tłumaczenia nowe: ,,Logikę'' Condillaca według przekładu Znoski z 1802 roku, ,,Wykłady o istocie religii'' Feuerbacha, ,,Wstęp do Encyklopedii'' d'Alemberta, ,,Wstęp do nauk przyrodniczych'' Herschela, ,,Lewiatana'' Hobbesa (4). Poza B.K.F. ukazały się liczne przekłady dzieł filozoficznych i z pogranicza filozofii: ,,Polityka'' Arystotelesa, ,,Moralia'' Plutarcha pisma Cycerona, dialogi i pisma filozoficzne św. Augustyna, ,,Nowa Atlantyda'' Bacona, ,,Państwo słońca'' Campanelli, ,,Traktat o dwóch systemach'' Galileusza, pisma Woltera i Diderota, ,,Zasady praw'' Mably, ,,Sprzysiężenie równych'' Buonarotti, dzieła wybrane Dobrolubowa, Bielińskiego i Czernyszewskiego. Te tytuły i nazwiska nie wyczerpują wszystkich przekładów, lecz obrazują ich rozmaitość i liczbę.

---

(4) Cz. Znamierowskiemu, tłumaczowi ,,Lewiatana'', zawdzięczamy przed wojną przekład ,,Principia Ethica'' Moore'a, a po wojnie I tomu ,,Traktatu o naturze ludzkiej'' Hume'a (PAU, 1951).

POLEMIKI I POTĘPIENIA

Wśród ważnych osiągnięć filozofii marksistowskiej w okresie minionego dziesięciolecia Schaff wymienia krytykę i przezwyciężenie filozofii ,,burżuazyjnej''. To zadanie sprowadzało się w Polsce do ,,rozbicia'' trzech kierunków — neotomizmu, fenomenologii i szkoły warszawskiej. Ostatniego z tych trzech przeciwników uznano za najgroźniejszego, ponieważ ,,formalnie hołduje rygorom ścisłości naukowej'' i dysponuje największymi wpływami w kołach uniwersyteckich. Jest on wreszcie ,,wybitnie kosmopolityczny'', bałwochwalczy w stosunku do filozofii ,,burżuazyjnej'' Zachodu. Rozprawa ze szkołą warszawską jest obecnie zakończona, rozprawa z neotomizmem toczy się nadal na szerokim froncie. O fenomenologii zapomniano. Ingarden zabity został jako filozof milczeniem i obojętnością, a fenomenologia wobec ,,notorycznie idealistycznego i reakcyjnego charakteru tej doktryny'' nie wymagała ,,analizy rzeczowej''.

Atak na szkołę warszawską skoncentrowany był kolejno na Kotarbińskim, Ajdukiewiczu i Twardowskim. Zapowiadane rozprawy z Leśniewskim, Łukasiewiczem i Tarskim nie doszły dotąd do skutku. Równolegle z tą kampanią szła rozprawa ze ,,starą historią filozofii'' — z Tatarkiewiczem, oraz z ,,idealistyczną socjologią'' Znanieckiego, którymi w tym kontekście zajmować się nie będziemy. Założeniem kampanii przeciw szkole warszawskiej było przekonanie, iż w jej wyniku przedstawiciele szkoły zechcą ,,całkowicie włączyć się do budowy nowej rzeczywistości''. Rozważenie ich pozycji w świetle zasad materializmu dialektycznego i historycznego miało być ,,pomocą'' w dokonaniu tego ostatecznego kroku. Te nadzieje nie urzeczywistniły się. Ani Kotarbiński, ani Ajdukiewicz nie wyrzekli się swych poglądów filozoficznych, by przejść na pozycje dialektyczne. W podsumowaniu Schaff był zmuszony przyznać, iż są oni ,,nieugięci'', iż Kotarbiński ,,podtrzymuje stare poglądy'', a Ajdukiewicz ,,nie potrafił zrobić ani jednego realnego kroku naprzód''. Pozostali oni dłużnikami dialektyki, gdyż kto się sam ze swymi błędami samokrytycznie nie rozprawi ten pozostaje jej dłużnikiem (Myśl Filozoficzna 2, 1952, s. 337; 3, 1953, s. 201, 208).

Każda z trzech rozpraw ze szkołą warszawską miała nieco odmienny charakter. Artykuł Henryka Hollanda o Twardowskim był niesmaczną napaścią. Nie krytykował on poglądów przeciwnika według przyjętych reguł poprawnego myślenia, lecz stosownie do rady udzielonej przez Lenina wymierzał przeciwnikowi ,,policzek'', jak przystało na ,,wyschłe od martwej scholastyki mumie'' (Materialism and Empirio-Criticism, s. 356 przekładu angielskiego). Kto pominął ten styl prostacki i bezceremonialny, nie znalazł w wywodach autora o ,,obskuranckim nurcie'' w filozofii Twardowskiego rzeczowego uzasadnienia oceny wypowiadanej w słowach nabrzmiałych pogardą i lek-

ceważeniem. Kto bowiem uważnie prześledził wywód Hollanda, iż np. według Twardowskiego „człowiek nie myśli przy pomocy mózgu", kto dostrzegł bezsilne szamotanie się krytyka z rozróżnianiem przez Twardowskiego przedmiotów intencjonalnych i realnych, kategorii przedmiotów i kategorii rzeczy, ten jeden tylko wniosek mógł z tej uważnej lektury wyciągnąć. Wniosek ten zaś stwierdzał, iż Holland przystąpił do swego zadania ze zbyt ubogim aparatem pojęć, gotów potępić to, czego przy pomocy tego aparatu sformułować nie mógł, a w konsekwencji zamiast poglądów Twardowskiego gromił swe własne o tych poglądach wyobrażenie. Twardowski na tym nie ucierpiał, a imię jego otaczane jest nadal czcią należną wielkiemu nauczycielowi i uznaniem dla dzieła jego życia, z którego wyrosła szkoła filozoficzna „celująca... w analizie myślenia". O tym uczą się i dzisiaj młodzi z uniwersyteckich podręczników zatwierdzonych oficjalnym imprimatur.

Rozprawa z Kotarbińskim skończyła się też smutno dla krytyka. Przyznać trzeba, iż Baczko, który był jej autorem, w odróżnieniu od Hollanda nie urągał i nie lżył swego przeciwnika, chociaż często ubolewał, ostrzegał i groził. Ubolewał, że pansomatyzm, to znaczy pogląd według którego realnie istnieją tylko rzeczy, przedmioty rozciągłe i bezwładne, wśród nich zaś i przedmioty myślące i przeżywające, jest „metafizycznym materializmem", jaki dzięki dialektyce mógłby się od „metafizyki" uwolnić. Ubolewał, że to, co dialektyka dufnie podaje za absolutną prawdę, Kotarbiński traktuje jako hipotezę, hipotezę w jego mniemaniu wysoce prawdopodobną, lecz niesprawdzalną we właściwym tego słowa znaczeniu. Nade wszystko jednak Baczko miotał gromy, iż Kotarbiński rozbraja swe własne stanowisko w stosunku do uroszczeń wszelkiego rodzaju obskurantów. Czyni to zaś dlatego, ponieważ z poglądów Kotarbińskiego, reisty w semantyce, radykalnego realisty w teorii poznania, materialisty w ontologii, ktoś mógłby rzekomo wyprowadzić wnioski, iż badania rzeczywistości sprowadzają się do badania języka, iż radykalny realizm nie wyklucza idealizmu, a pansomatyzm dopuszcza „konwencjonalizm" i inne grzechy ontologiczne. Tak uczynić można, jeżeli pójdzie się w ślady Baczki i uzna „hipotezę" „konwencję" i „poczucie słuszności" za terminy równoznaczne. Gdy przyjmie się, że słońce jest księżycem, a księżyc słońcem, wówczas okaże się natychmiast, iż promienie księżyca mogą przepalić głowę. „*To nie jest rzeczowa, naukowa, filozoficzna argumentacja*". Na zarzut zaś krytyka, iż w zmienionych warunkach nie zmienił swych poglądów społecznych i o strukturze bytu, Kotarbiński to ma do powiedzenia. „*Trudno z tego robić kwestię*" — że nie zmienił poglądów o naturze rzeczy — „*jeśli się nie podało nowych, nieznanych przedtem prawd z dziedziny dociekań nad strukturą bytu. Śmiałby się olbrzymi i tajemniczy wszechświat, gdyby usłyszał, że mamy jego podobiznę przystosować do kłopotów i swarów mrówek ludzkich w takim czy innym mrowisku*". Jeśli zaś chodzi

o poglądy społeczne, to trudno w jego mniemaniu pogodzić socjalizm z szacunkiem dla ludzi-chorągiewek. „*W obliczu perturbacji dziejowych można się zachować na wzór wskazówki barometru, zmieniającej położenie w miarę zmiany ciśnienia, a można też zachować się na wzór igły magnesowej, wskazującej stały kierunek niezależnie od okoliczności*" (Myśl Filozoficzna 2, 1952, s. 315 n.).

Dialektyczna analiza poglądów Ajdukiewicza, której podjął się Schaff, jest z wielu względów najbardziej pouczająca. Ukazuje ona nieporadność dialektycznego krytyka, gdy zabiera się do dyskusji żywych zagadnień filozoficznych, porzuca bezpieczne schronienie orakularnych stwierdzeń i wyrzekając się nietykalności, jaką w zagadnieniach „rozwiązanych" przez klasyków marksizmu zapewnia mu z dzieł ich cytata, liczyć musi na własne siły. Odwet wówczas bierze zanik zdolności samodzielnego myślenia, występuje w całej okazałości nieumiejętność filozoficznej analizy spraw, jakich klasycy marksizmu w swych aforyzmach i nakazach nie uwzględnili. Gdy rozumowanie dialektyka stać ma na własnych nogach, okazuje się wówczas nieodmiennie, iż nóg nie posiada. Niepodparte uświęconym autorytetem jest nieporadne i gubi się w paralogizmach i ekwiwokacjach.

Wśród różnorodnych zagadnień, jakimi Ajdukiewicz się zajmował, problemy związane z zastosowaniem logiki, semantyki i składni języka do tradycyjnych sporów w teorii poznania stanowiły przedmiot jego niesłabnącego zainteresowania. Ta metoda bardzo się Schaffowi nie podoba. Nie podoba mu się metoda, ponieważ semantyka Ajdukiewicza jest podobno „jawnie idealistyczna" i niezgodna z zaleceniami Stalina. Nie podoba mu się pomysł zastosowania semantyki do sporu między idealizmem a realizmem w teorii poznania, ponieważ Lenin spór ten już definitywnie rozwiązał, a Ajdukiewicz rozbraja realizm atakując idealizm z „idealistycznych pozycji". W tym wywodzie Schaff dochodzi do swych konkluzji poprzez szereg jaskrawych deformacji krytykowanych poglądów i błędów logicznych elementarnej natury. Gdy twierdzimy, że niektóre ptaki są wróblami, nie można z tej przesłanki wyprowadzić konkluzji, że również orzeł jest wróblem. Jeżeli jednak w powyższym przykładzie zastąpimy „niektóre" przez „każdy", wówczas szybko się okaże, że wróbel i orzeł to te same ptaki. W ten właśnie sposób Schaff uzasadnia swe oskarżenie, iż według Ajdukiewicza można uprawiać teorię poznania jako analizę języka i sprowadzić podstawowe problemy filozoficzne do tej analizy. Schaff celował w Ajdukiewicza, a ugodził w Carnapa, który swego czasu głosił podobne poglądy, poddane przez Ajdukiewicza przed wielu laty dobrze znanej i skutecznej krytyce. W szczególności Schaff miesza semantykę, która zajmując się logicznym znaczeniem wyrażeń nie może „zgubić" rzeczywistości, gdyż wyrażenia badane odnoszą się do rzeczy, mianowicie tych, jakie te wyrażenia oznaczają lub dotyczą, z logiczną składnią języka. Zdania z zakresu składni języka dotyczą brzmienia lub kształtu napisanych

wyrażeń oraz stosunków między nimi ze względu na ich brzmienie i kształt. Z tej przyczyny o zdaniach składni języka można by powiedzieć, iż ,,gubią'' rzeczywistość. Nie są one bowiem na zdania o rzeczach przekładalne, ani też nie implikują istnienia rzeczy innych niż brzmienia i kształty napisane. Pod tym względem semantyka i składnia języka różnią się między sobą w sposób zasadniczy i ich pomylenie musi prowadzić do fałszywych wniosków, w jakich Schaff nieopatrznie się uplątał.

W argumentacji Schaffa napotykamy niezliczone zniekształcenia krytykowanych poglądów. Tak np. gdy teza radykalnego konwencjonalizmu, kiedyś przez Ajdukiewicza wyznawanego, głosiła, iż wraz z aparaturą pojęciową zmienia się obraz świata, tzn. ogół sądów dających się zbudować z pojęć właściwych tej aparaturze, które uznajemy na podstawie reguł językowych i danych doświadczenia, Schaff referuje ją jako twierdzenie, iż według konwencjonalisty wraz ze zmianą aparatury pojęciowej zmienia się świat, to znaczy ogół obiektywnych korelatów wspomnianych sądów. ,,*Powstrzymać się od uznania jakichś zdań za prawdziwe lub fałszywe*'' to dla Schaffa to samo, co ,,*zmienić wartościowanie zdań z punktu widzenia prawdy i fałszu*''. Gdy Ajdukiewicz z powodu trudności nastręczanych przez definicję ,,zdania prawdziwego'' wstrzymuje się od wprowadzenia pojęcia ,,zdania prawdziwego'', Schaff wkłada mu w usta tezę, iż ,,odrzuca możliwość wypowiadania się o rzeczywistości''. ,,Zdanie, które gotowi jesteśmy uznać'', wywodzi Ajdukiewicz, to rzecz różna niż ,,zdanie prawdziwe'', lecz to ostrzeżenie nie wstrzymuje Schaffa, by z uporem głosić, iż według Ajdukiewicza ,,prawdą jest maligna wariata'', gdyż wariat jest gotów orzec o swej malignie, że jest prawdziwa.

Z poglądów przeciwnika przedstawionych w ,,formie zniekształconej... niekiedy wprost karykaturalnie'', Schaff wyciąga wnioski, jakimi Ajdukiewicz obciąża, wśród nich zaś i takie, jakie Ajdukiewicz explicite odrzucił, ponieważ — według Schaffa — ,,naprawdę'' rzeczy mają się inaczej. ,,*Stosując taką metodę polemiki*'', odpowiadał Ajdukiewicz, ,,*łatwo doprowadzić tezę przeciwnika przefasonowaną na potrzeby krytyka, do absurdu. Nie jest to metoda polemiki konstruktywnej, która z dyskusji robi narzędzie wspólnego wysiłku autora i jego krytyka zmierzającego do poznania prawdy*''. Sofiści greccy postawieni przez platońskiego Sokratesa w analogicznej sytuacji wielce się żżymali i wypominali Sokratesowi, iż ,,łapie za słówka''. Schaff znalazł podobną drogę ucieczki. Odmówił dalszego prowadzenia dyskusji, gdyż Ajdukiewicz ,,*skostniał na idealistycznych pozycjach*'', ,,*ogranicza się do szczegółów i pomija problemy zasadnicze*'', czyni bezcelową dalszą wymianę opinii. Ten odwrót osłaniał tonem protekcjonalnym, jaki przybiera nauczyciel w stosunku do ucznia, mistrz do terminatora, znający prawdę do niepoprawnie błądzącego amatora.

DIALEKTYK W AKCJI

W postępowaniu dialektyka usiłującego wykazać słuszność własnych i błędność cudzych poglądów można wykryć pewne ustalone i wypróbowane kanony argumentacji. Pierwszy z nich nazwiemy metodą Lenina. Lenin postawił sobie zadanie uratowania rewolucyjnego marksizmu zagrożonego, jak sądził, przez rewizjonistyczną herezję. Z tej przyczyny porównywanie twierdzeń, jakie odrzucał, z tekstami Marksa i Engelsa stało się dla niego sposobem dochodzenia prawdy. Co było zgodne z odpowiednio dobranym tekstem z pism Marksa i Engelsa, to było prawdziwe, co niezgodne — to było fałszywe. Tak w ,,Państwie i rewolucji'' nie znajdziemy rozważania faktów, jakie mogłyby rzucić światło na istotę społeczeństwa, państwa i władzy w państwie. Lenin nie zajmował się tymi faktami, lecz tym tylko, co inni marksiści na ten temat powiedzieli. Z nich wybierał tezy z własnym przekonaniem niezgodne i wykazywał krok za krokiem, iż głoszą one co innego niż Marks i Engels za słuszne uważali lub co leżało w ich intencji. Lenin stał się mistrzem tej metody i wraz z wprawą rosło w nim przekonanie o jej uniwersalnym zastosowaniu. Interpretacja tekstów jako metoda obrony i ustalania ortodoksyjnej doktryny zamieniała się w metodę dochodzenia prawdy we wszelkich możliwych sprawach bez konieczności badania faktów, jakich ta prawda dotyczy. Lenin, interpretator przemieniał się we własnych oczach w badacza i filozofa, a jego wielka wiara w Marksa przenosiła się na wszystko, co przy pomocy Marksa uzasadniał i zbijał. Gdyby Marks i Engels byli w błędzie, prawda przestałaby istnieć. Dopóki istnieją ich dzieła — prawda jest niewzruszona i zwycięska. Sam widok tekstów, które do tylu spraw dają się zastosować, zmusza głos wątpienia do milczenia i każe przeciwnikom zamilknąć.

Co Lenin czynił w stosunku do pism Marksa i Engelsa, to Stalin praktykował w stosunku do pism Lenina w ten sam sposób i z tym samym efektem, a od Stalina praktykę tę przejęli dialektycy ze wzmożoną wiarą w jej skuteczność. Wzrosła liczba tekstów stanowiących źródło i sprawdzian prawdy. Wzrosła także umiejętność ich interpretacji. Współczesna egzegeza pozwala dostrzec twierdzenie Godela w jednym z fragmentów ,,Zeszytów Filozoficznych'' Lenina i odrzucenie przez Engelsa konsekwencji II prawa termodynamiki, prawa ,,śmierci cieplnej'', w oparciu o zasady dialektyki (Myśl Filozoficzna 1, 1952, s. 200; 3, 1955, s. 127).

Semantyka Kotarbińskiego jest idealistyczna, gdyż neguje engelsowsko-leninowską teorię ,,odbicia'' (Myśl Filozoficzna 2, 1952, s. 333), semantyka Ajdukiewicza jest idealistyczna, gdyż ,,absolutyzuje język'', bada język niezależnie od jego historycznego rozwoju, związku ze społeczeństwem, narodem, działalnością ludzką. Tego zaś czynić nie wolno — vide ,,Mark-

sizm a zagadnienia językoznawstwa''. Nie chodzi o finezje i subtelności, nie chodzi nawet o to, czy dane dictum ma rzeczywiście w określonym wypadku zastosowanie, czy jakiś konkretny zakaz lub nakaz naprawdę z tego dictum jakoś wyprowadzić się daje (wątpić trzeba, czy Stalin wiedział w ogóle o istnieniu logicznej semantyki i logicznej składni języka, tym mniej zaś o użytku, jaki z nich czynił Ajdukiewicz i Carnap oraz różnicach istniejących między nimi). Sam cytat i powołanie się na jedno z nazwisk o ustalonym doktrynalnym autorytecie załatwia automatycznie wszystko. Fizyk sowiecki Fock w artykule drukowanym w ,,Myśli Filozoficznej'' nie widzi potrzeby wykazywania bezpodstawności filozoficznych interpretacji czasu i przestrzeni Einsteina. ,,Najlepszym ich obaleniem'', stwierdza on krótko i stanowczo, ,,będzie zestawienie ich z prostymi i jasnymi wypowiedziami na ten temat klasyków marksizmu'' (4, 1953, s. 182). Cytat z klasyków marksizmu jest jakimś ,,okrzykiem triumfu'', archimedesowym ,,heureka, heureka'', po czym jednak nie następuje dowód, że ciało zanurzone w wodzie traci tyle na ciężarze, ile waży woda przez to ciało wyparta. Cytat zastępuje rozumowanie i od potrzeby rozumowania uwalnia. Słowa Marksa, że w ,,praktyce musi człowiek dowieść prawdziwości swego myślenia'', obalają idealizm i uzasadniają realizm w teorii poznania, słowa Lenina, iż dialektyczna droga poznania prawdy wiedzie ,,od żywego spostrzegania do abstrakcyjnego myślenia i od niego do praktyki'' zastępuje zastanawianie się nad abstrakcją, sporem o universalia, pojęciem prawdy i jej sprawdzianami.

Ta metoda sprawia, iż dialektyk nie czyni z zasady wysiłku zrozumienia argumentów, jakie inni na poparcie swych poglądów przytaczają. Jego filipiki przeciw idealizmowi w teorii poznania do znużenia powtarzają, co inni dawno już powiedzieli, mianowicie, że życie codzienne i zdrowy rozsądek przekonywują nas silnie o realnym istnieniu przedmiotów zewnętrznych. Lecz sporu między idealistami a realizmem ten argument nie rozstrzyga. W pewnym sensie Berkeley, a na pewno Hume liczyli się z faktem, iż ten kto odrzuciłby realne istnienie przedmiotów zewnętrznych nie byłby w stanie zawsze i wszędzie postępować konsekwentnie i zgodnie z tym przekonaniem. Także i on zachowywałby się jak olbrzymia większość ludzkości przekonanej o tym, co idealista zaprzecza, a filozof sceptyczny podaje w wątpliwość w chwilach filozoficznego wątpienia. Meritum sporu sprowadza się do tego, iż w uzasadnieniu wątpienia o realnym istnieniu świata zewnętrznego nie umiemy wykryć błędów rozumowania. Jak wywodził Diderot przed dwustu niemal laty, paradoks idealizmu na tym polega, iż będąc doktryną przeczącą zdrowemu rozsądkowi idealizm może się odwołać do pozornie poprawnego i niezbitego uzasadnienia swych twierdzeń. Tego paradoksu nie rozwiązują komunały o ,,produkcji i praktyce''. Każdemu wolno odwrócić się plecami do zagadnień filozoficznych i traktować je jako absurdy, niewarte chwili czasu

i zastanowienia. Na nasze szczęście lub nieszczęście nie jesteśmy jednak wówczas filozofami. Spory filozoficzne możemy naświetlić, wyjaśnić i ewentualnie rozwiązać jedynie filozoficzną analizą i argumentacją. Dowód przy pomocy cytatu zubożył słownictwo i aparat pojęciowy dialektyka, uczynił go ślepym na problemy filozoficzne, pozbawił zdolności zrozumienia argumentów przeciwnika i oduczył podstawowych zasad poprawnego myślenia. Przecież pierwsza i najważniejsza z tych zasad nakazuje, by przed przystąpieniem do rozwiązywania danego problemu dokładnie zrozumieć o co w tym problemie chodzi.

Drugim kanonem dialektycznym jest metoda ,,falsyfikacji przez inkryminowanie motywów''. Dialektycy wierzą, iż zawsze umieją wyjaśnić, w jaki sposób dochodzimy do naszych przekonań, a gdy to wiedzą — umieją również natychmiast rozstrzygnąć, czy przekonania te są prawdziwe lub fałszywe. Filozofia należy do nadbudowy, która jest odbiciem i umocnieniem bazy, nadbudowa tak samo ,,obsługuje społeczeństwo dostarczając mu idei'', jak ,,baza obsługuje społeczeństwo pod względem ekonomicznym''. Gdy dialektycy twierdzą, iż umieją wyjaśnić w jaki sposób i dlaczego dany filozof głosi takie właśnie a nie inne poglądy, nie twierdzą oni wówczas, że wiedzą to szczegółowo i konkretnie, lecz ogólnie, w oparciu o pewną prawidłowość. Stwierdzając tę ogólną prawidłowość mówią, że tak jest i że inaczej być nie może, bez rozpatrzenia czy tak jest w istocie i czy fakty uzasadniają tę spekulację. Protagoras, Hume, J.S. Mill opowiadali się za fenomenalizmem i byli usposobieni obojętnie lub wrogo w stosunku do religii, lecz Lenin potępił fenomenalizm jako filozofię reakcji, gdyż ponoć wiedzie niechybnie do ,,fideizmu''. To, co niezgodne z dialektycznym materializmem jest ex definitione ,,burżuazyjną reakcją''. Jest nią neopozytywizm i fenomenologia, ,,idealistyczna semantyka'' szkoły warszawskiej i ,,idealizm fizyczny'' współczesnych fizyków, odwracających się od dialektyki na skutek ,,ideologicznej zależności od kapitalistycznej nadbudowy''. W teorii mówi się o tym, iż filozofia ma ,,pewne własne prawidłowości'', różni myśliciele ,,nawiązują do siebie'' i rozwijają myśli zawarte u swych poprzedników. Lecz w praktyce traktuje się idee jak palimpsest lub figury gry tajemnej, a filozofa jak marionetkę pociąganą za sznurek przez hipostazowane siły ,,reakcji'', ,,kapitalizmu'', ,,imperializmu'', które na wzór bogów ,,Iliady'' i ,,Odyssei'' wtrącają się do najbardziej trywialnych spraw ludzkich i wciskają do najbardziej ukrytych zakamarków ludzkiego umysłu. Istnienie tych tajemnych związków musimy uznać bez dalszego pytania. Żaden dialektyk nie zadał sobie dotąd trudu, by prześledzić gruntownie choćby jedną tylko z tych ,,tysiącznych nici'', które rzekomo łączą filozofię z bazą ekonomiczną i walką klasową toczoną w społeczeństwie. Tak uproszczony do niedorzeczności historyczny materializm Engels określał jako ,,cudaczną gmatwaninę'' i ,,abstrakcyjny, niedorzeczny frazes'', który historyczny materializm sprowadza do roli środka uwalniającego

od obowiązku studiowania historii. Ta właśnie tendencja wśród wyznawców Marksa pobudziła Engelsa do zadeklarowania, iż ,,Marks nie był marksistą''.

Ślepa wiara w ,,frazes'', w jego moc magiczną unicestwiania poglądów, jakich logicznie i ściśle obalić się nie umie, ma opłakane następstwa. Filozoficzna dyskusja przekształca się w inkryminację motywów, argumentowanie — w przezwiska i wyzwiska, chłostanie przeciwnika ironią, unicestwianie go lekceważeniem i pogardą. Lenin był w tych metodach niezrównanym mistrzem i dialektycy w Polsce korzystają z jego wzorów i przykładów. ,,Myśl Filozoficzna'' dysponuje obfitym i soczystym słownictwem — ,,osły w czarnych kapeluszach'', ,,tępota kołtuńska'', ,,umysł obskuranta'', ,,niewiarygodna bzdura'', ,kłamliwa i reakcyjna konstrukcja''. Twardowski jest ,,karłem'' i ,,fideistą zalatującym zakrystią'', Znaniecki uprawia ,,grę szulerską'', James jest ,,handlarzem amerykańskim'', Dewey — ,,imperialistycznym agitatorem'', Russell — ,,apologetą agresji'', neopozytywiści — ,,obskurantami służącymi imperialistycznej reakcji''.

Gdy rozumowanie sprowadza się do cytowania i egzegezy tekstu, krytyka — do szyderstwa, dyskwalifikacji motywów i zwykłego wyzwiska, uczestnik sporu bierze rozbrat z filozofią. Staje się ona kłótnią niegodną szanującego się człowieka, nawet jeżeli się ją uprawia pod nazwą jedynego prawdziwie naukowego światopoglądu, a w przezwiskach upatruje się ,,bojowość'' i ,,pryncypialną ostrość'' (5).

SYTUACJA LOGIKI

Gdy Schaff ogłosił ,,Wstęp do teorii marksizmu'' wydawało się, iż dni logiki są policzone i logika formalna będzie musiała ustąpić miejsca ,,logice dialektycznej'' — ,,logice sprzeczności''. Od tego losu ocaliła logikę rozprawa Stalina ,,Marksizm a zagadnienia językoznawstwa''. Z tej bowiem rozprawy dialektycy wyciągnęli wniosek, iż tak, jak język, logika nie należy do nadbudowy, nie zmienia się stosownie do zmian zachodzących w bazie, a przeto może wejść bez ,,przezwyciężenia'' i ,,rozbicia'' po zwycięstwie nowej bazy do powołanej przez nią do życia nadbudowy. Dialektycy odnaleźli dumę w światowych osiągnięciach polskich logików w okresie przedwojennego dwudziestolecia, które byłoby większe jeszcze gdyby, jak twierdzili,

(5) *,,Analiza wykazała* — pisze Schaff, któremu wyżej scharakteryzowany słownik jeszcze nie wystarcza — *że nasz front filozoficzny cierpi jeszcze ciągle na brak dostatecznej bojowości i ostrości, na 'obiektywizm'. Jest to choroba nierozłącznie związana z oderwaniem od polityki, czego rezultatem jest popadanie w ton 'akademicki'. Efektywna walka na froncie ideologicznym wymaga bojowości i pryncypialnej ostrości, z jednoznacznym unikaniem wszelkich lewackich przegięć''* (Myśl Filozoficzna 3, 1954, s. 31).

,,błędne poglądy filozoficzne... nie hamowały rozwoju logiki i ujemnie nań nie wpływały'' (6). Logika, zapewnił Schaff uczestników Konferencji Logików w grudniu 1952 roku, oparta na filozofii marksistowskiej, cieszyć się będzie pełnym poparciem państwa i będzie mogła kontynuować swe ,,chlubne tradycje'' (Studia Logica II, s. 252).

Zmiana stosunków dialektyków polskich do logiki nie była następstwem samodzielnych przemyśleń w ich własnym gronie. Sprawę tę rozstrzygnęła Akademia Nauk Z.S.S.R. stwierdzając autorytatywnie, iż logika formalna ma ogólnolnoludzki a nie klasowy charakter. Jest ona ta sama dla różnych klas i narodów. Nie ma dwóch logik formalnych, podobnie jak nie ma dwóch arytmetyk i gramatyk, starej — ,,metafizycznej'' i nowej — ,,dialektycznej''. Dialektyka stanowi część składową marksizmu, logika natomiast częścią składową marksizmu nie jest. Jest ona jednak marksiście potrzebna, gdyż kto gwałci prawa logiki myśli źle i działa chaotycznie. ,,Udialektycznienie'' logiki formalnej, czego np. Schaff się domagał we ,,Wstępie do teorii marksizmu'', musi się skończyć ,,strywializowaniem'' marksizmu oraz poderwaniem racji bytu logiki formalnej, a ostatecznie — jej likwidacją. Nie można bowiem ,,udialektyzować'' logiki formalnej bez jednoczesnego unicestwienia jej jako logiki. Dialektyczna logika formalna to ,,najzupełniejsza niedorzeczność''. Marksistowski program na gruncie logiki formalnej sprowadza się do dwóch postulatów: wyrugowania z niej ,,scholastyki i idealizmu'' oraz zbliżenia logiki formalnej do praktyki i życia.

Los logiki w Polsce jest jednak obecnie z innej strony zagrożony. Decyzją odpowiednich ministerstw nauczanie logiki w najwyższych klasach szkół ogólnokształcących ma niebawem ustać całkowicie, a na wyższych uczelniach proces ten przybrał jeszcze żywsze tempo. Na niektórych wydziałach poniechano już wykładów z logiki, na innych włączono je do przedmiotów nieobowiązkowych. W sprawie tej toczy się w kraju ożywiona dyskusja, w której zarówno logicy jak dialektycy biorą czynny udział tworząc wspólny front w obronie nauczania logiki i szerzenia kultury logicznej.

Zawieszenie broni między logikami i dialektykami nie było jedynie wynikiem pracy Stalina i decyzji podjętych przez Akademię Nauk Z.S.S.R. Wzmocniło je ustępstwo, jakiego dialektycy polscy dokonali, wyrzekając się twierdzenia, iż logiczna zasada sprzeczności nie obowiązuje powszechnie i że trzeba odrzucić jej ontologiczne sformułowanie. Twierdzili oni uprzednio,

(6) ,,Myśl Filozoficzna'' 1-2, 1951, s. 40. W trzy lata później Schaff nadal z ubolewaniem podkreślał, iż w logice ,,*prób ideologicznego przestawienia dotąd nie obserwujemy*'' i ostrzegał, iż przyszłość jej zależy od tego, czy logika ,,*potrafi się wyzwolić spod nacisku burżuazyjnej filozofii, czy potrafi twórczo zastosować w swej dziedzinie filozofię marksistowską*'' (Myśl Filozoficzna 3, 1954, s. 29-30).

iż stosownie do jednego z praw dialektyki rzeczy zmieniając się posiadają z konieczności cechy kontradyktoryczne, zarazem przysługuje im pewna właściwość i nie przysługuje pod tym samym względem i w tym samym czasie. Tak więc za Zenonem z Elei głosili, iż lecąca strzała jednocześnie porusza się i znajduje się w spoczynku, a przeto ruch — jak to i Hegel głosił — jest ,,wcieloną sprzecznością''. Podobnych przykładów sprzeczności wymieniali wiele. Twierdzili więc np. iż według nowoczesnej fizyki materia zarazem posiada i nie posiada masy, foton jest jednocześnie cząsteczką i falą. Z zawieszenia ważności ontologicznej zasady sprzeczności wynikało, iż dwa sądy sprzeczne mogą być zarazem prawdziwe, mianowicie gdy ,,stanowią odbicie rzeczywistości zawierającej w sobie przeciwieństwa'' (Schaff, Wstęp do teorii marksizmu, s. 113, 117). Dialektyk był przeto zmuszony twierdzić, iż logiczna zasada sprzeczności nie zawsze obowiązuje, iż to, co odrzucamy w oparciu o tę zasadę w jednym wypadku, to w innym musimy przyjąć na podstawie niezgodności z tą zasadą. Chaos i dowolność rządzi naszym myśleniem.

Poza wyznawcami Hegla i Engelsa wśród filozofów panowała jednomyślność poglądów co do tego, iż przypisywanie rzeczywistości logicznie sprzecznego charakteru polega bądź na nieznajomości faktów, bądź na słownym nieporozumieniu. Zniknie ,,sprzeczność'' w ruchu kołowym, rachunku nieskończonościowym i cząsteczce materii (przykłady Engelsa i Schaffa), jeżeli tylko fakty poprawnie zinterpretujemy. Nie uzasadnia także twierdzenia o ,,sprzeczności'' w naturze rzeczy fakt istnienia elektryczności dodatniej i ujemnej, dwóch biegunów magnesu, niezgodności interesów klasowych, procesów życia, walki o byt itp. Przeciwstawne siły, tendencje, dążenia, pragnienie i motywy nie są sprzecznościami logicznymi i można uznawać istnienie pierwszych i odrzucić istnienie drugich. Logika i dialektyka stanowią zbiory twierdzeń bez wspólnych elementów, a takie zbiory mogą być zarazem prawdziwe. O tym logicy zdołali przekonać polskich dialektyków. Ustami Schaffa stwierdzili oni niedawno, iż dialektyka nie wymaga wyrzeczenia się logicznej zasady sprzeczności, oraz że o niezgodnych tendencjach, zmieniających się i poruszających się rzeczach można mówić w sposób niesprzeczny. Nie ma przeto także konfliktu między logiką formalną i dialektyką i istnieć one mogą obok siebie bez naruszenia dzielących ich granic (Myśl Filozoficzna 4, 1955, s. 143 n.).

Logika w Polsce dzielić się zaczyna na logikę filozoficzną i logikę matematyczną. Nie jest to podział rozłączny, oparty na odrębności przedmiotu i metody, lecz wyrastający ze względów natury praktycznej i rozdziału zadań. Uważa się, że logika matematyczna kształtuje się dzisiaj w odrębną gałąź nauki o charakterze matematycznym i wykracza poza problematykę logiki ogólnej i filozoficznej. Wymaga ona od osób twórczo ją uprawiających biegłej znajomości matematycznej techniki, matematycznego sposobu myślenia, szerokiej znajomości wiedzy mate-

matycznej, w szczególności w zakresie nauki o jej podstawach. Z drugiej strony rozszerza się problematyka logiki filozoficznej i zadania jakie sobie logicy obecnie stawiają obejmują zagadnienia, które przed wojną leżały na peryferiach ich czynnego zainteresowania. Do tych zagadnień należą np. badania nad strukturą statystycznego wnioskowania i metod statystycznych, teorią prawdopodobieństwa i jej zastosowaniami, błędami logicznymi spotykanymi w rzeczywistych rozumowaniach na terenie nauki i w życiu praktycznym. Obie gałęzie logiki ściśle z sobą współpracują i dzielą wspólny organ, nieperiodyczne wydawnictwo — ,,Studia Logica'' (7), którego dotąd ukazały się trzy tomy (T. I — 1953, T. II — 1955, T. III — 1955).

Szeregi logików rosną i praca na polu logiki po okresie przymusowego zastoju bić zaczyna żywszym tętnem. Do uprzednio wspomnianych podręczników Czeżowskiego, Kotarbińskiego, Mostowskiego i Wiegnera doszły ,,Zarys Logiki'' Ajdukiewicza (Warszawa 1953) i ,,Elementy logiki formalnej'' Henryka Greniewskiego (Warszawa 1955). Trzy tomy ,,Studia Logica'' wypełniają cenne prace z zakresu logiki matematycznej i filozoficznej (J. Reichbacha, J. Słupeckiego, J. Kalinowskiego, S. Łuszczewskiej-Romahnowej, H. Rasiowej, H. Greniewskiego, J. Łosia, K. Ajdukiewicza, J. Kotarbińskiej, A. Grzegorczyka, M. Przełęckiego, M. Kokoszyńskiej). W Instytucie Matematycznym w Warszawie prowadzone są pod kierunkiem Mostowskiego interesujące badania nad podstawami matematyki. W logice filozoficznej toczyła się żywa dyskusja nad klasyfikacją rozumowań i definicjami, jaka doprowadziła do nowych ustaleń. Stanisław Jaśkowski, Jerzy Słupecki i Jerzy Łoś ogłosili szereg prac z zakresu logiki wielowartościowej, rachunku zdań i aksjomatyzacji logiki tradycyjnej (w latach 1946-1948). J. Słupecki i Andrzej Grzegorczyk probują odtworzyć system Leśniewskiego, którego rękopisy spłonęły w Warszawie. Odżyło zainteresowanie historią logiki łącznie z badaniami nad dziejami logiki w Polsce (A. Krokiewicz, A. Korcik, K. Leśniak, S. Ziemski).

Twórczość logiczna na obczyźnie ma jednak większy rozmach i większe osiągnięcia, wśród których prace Jana Łukasiewicza ,,Aristotle's Syllogistic from the Standpoint of Modern Formal Logic'' (Oxford 1951) i ,,A System of Modal Logic'' (Journal of Computing Systems, vol. 1, N° 3) oraz I.M. Bocheńskiego ,,Ancient Formal Logic'' (Amsterdam 1951) wymienić należy na pierwszym miejscu. Do tych dzieł obu wspomnianych uczonych należy dodać ich inne liczne prace, jak i opublikowane i nieopublikowane badania B. Sobocińskiego i C. Lejew-

(7) Redaktorem ,,Studia Logica'' jest K. Ajdukiewicz, a w komitecie redakcyjnym zasiadają również Kotarbiński, Mostowski i Greniewski. Prace z zakresu logiki matematycznej zamieszczają także Fundamenta Mathematicae, jednak w tym czasopiśmie ukazują się wyłącznie prace związane ściśle z problematyką matematyczną.

skiego. To porównanie nie ma na celu pomniejszenia wysiłków logików w kraju. Logicy w kraju muszą sobie wywalczać modus vivendi i prawo do życia. Ich swoboda badawcza jest skrępowana, uprawianie logiki jest sprowadzone do techniki poprawnego rozumowania i utrzymane w ciasnych ramach od lat trwającej ideologicznej kwarantanny. Koegzystencja z dialektyką stworzyła dla logiki trudną sytuację, w której najpierw nie było wiadomo, czy materializm dialektyczny zechce w ogóle korzystać z logiki i badań logicznych. Obecnie logicy żyją w cieniu zagrożenia, iż mogą być skazani na wymarcie. Możliwości publikacji są ograniczone. Teka redaktora „Studia Logica" podobno „pęcznieje od obfitości prac" czekających na druk, jakie przy obecnym tempie ukazywania się tego wydawnictwa nie prędko ujrzą światło dzienne. Podczas gdy dialektycy mogą ogłaszać wszystko, co napiszą, logika cierpi od ograniczeń, jakie nie pozwalają rozwinąć jej skrzydeł. Jak niedawny przykład jednak okazał, milczenie filozofów nie zawsze oznacza, iż zaprzestali pracy i nie mają nowych osiągnięć w rękopisie (8).

Zamierzenia logików na przyszłość były przedmiotem dyskusji na II Konferencji Logików, która odbyła się w Warszawie we wrześniu 1954 roku. Na tej konferencji logicy zakreślili, podobnie jak to czynią inne nauki, „plan problemowy" swych prac na lata 1955-1957. Na plan ten składają się badania nad logiką formalną z materialistycznego punktu widzenia, przez co należy rozumieć „problem stosunku przedmiotu logiki formalnej do rzeczywistości badanej przez nauki przyrodnicze i społeczne". Jednym z aspektów tego zagadnienia jest sprawdzalność zdań oznajmujących do zdań o indywiduach najniższego typu, co z kolei wymaga interpretacji pojęcia indywiduum najniższego rzędu oraz wyjaśnienia stosunku abstrakcji do rzeczywistości. Innym aspektem jest problem stosunku logiki rozumianej jako nauki o twierdzeniach do logiki interpretowanej ontologicznie. Ten zespół zagadnień dotyczy sprawy określanej w terminologii dalektycznej jako „eliminacja idealizmu z logiki". W ramach planu przeprowadzone mają być badania opisowo-analityczne nad logiczną strukturą nauk szczegółowych. Na plan pierwszy wysunięto tu studia nad strukturą wnioskowań statystycznych i metod statystycznych w ogólności oraz analizą podstaw teorii prawdopodobieństwa w jej różnych odmianach. Zacieśnienie współpracy między logikami a językoznawcami oraz sprawy związane z nauczaniem i szerzeniem kultury logicznej tworzą dwa dalsze punkty programu. Pod hasłem zbliżenia logiki do życia mają być podjęte prace nad rejestracją i klasyfikacją błędów logicznych, sofizmatów i paralogizmów, spotykanych w ży-

---

(8) W „Proceedings of the XI International Congress of Philosophy", kongresu odbytego w Brukseli w 1953 roku, ukazały się artykuły Czeżowskiego, H. Elzenberga i Tatarkiewicza, o czym „Myśl Filozoficzna" pisała z oburzeniem.

ciu codziennym i nauce, oraz rozważenie warunków formalnych tak zwanej dobrej roboty w zastosowaniu do pracy naukowej (9). Jest to nowa, interesująca i pożyteczna inicjatywa w polskiej logice. Badania z historii logiki, światowej i polskiej, oraz badania nad sposobami budowania definicji, rzeczywistymi formami rozumowania i wszelkimi zabiegami poznawczymi w naukach szczegółowych, zwłaszcza fizykalnych i biologicznych, dopełniają programu badań na najbliższe lata (Sprawozdania z czynności i prac PAN, 1/55, s. 38 n.).

Trudno jest przewidzieć, czy jakiś nowy dekret lub dialektyczne odkrycie nie utrudni realizacji tych zamierzeń i nie stanie na drodze rozwoju badań logicznych w Polsce. Cokolwiek się zdarzy, jedna rzecz nie ulega wątpliwości. Logicy utrzymali w stanie żywym i nienaruszonym tradycję i ducha filozofii. Przekazali go gronu młodszych od siebie i obudzili w nich pragnienie bezinteresownego szukania prawdy. Logicy zapewnili trwałość i żywotność filozoficznych imponderabiliów — umysłowej integralności, wysokich wymagań jasności i precyzji myślenia, obiektywizmu i naukowych metod rozpatrywania zagadnień. Dwie konferencje logików dostarczyły wzoru i przykładu filozoficznej dyskusji i debaty, w której znalazło się miejsce na różnicę poglądów, spokojne i racjonalne ich rozważenie, szacunek dla przeciwnika, współuczestnika wysiłków w dochodzeniu prawdy. Dopóki ten duch żyje, nie ma rzeczy bezpowrotnie straconych. Albowiem kto go zaznał i odczuł w jakiejkolwiek mierze, ten nieodmiennie pójdzie za radą i wezwaniem, jakie daje swym licznym uczniom i czytelnikom senior filozofów w kraju, głęboki myśliciel, niezrównany nauczyciel i mąż niezłomnej odwagi — Tadeusz Kotarbiński. „*Probujmy podważyć w dociekaniu wszystko, gdyż w ten tylko sposób można wykryć to, co się podważyć nie da. To, co się ostoi, będzie prawdą wspólnie uznaną i niechaj ona się okaże jedynym w sporze zwycięzcą*".

Zbigniew JORDAN

(9) Tych spraw dotyczy „Traktat o dobrej robocie" Kotarbińskiego, który niedawno ukazał się drukiem.

Tumult i widma

Wyjeżdżając z Paryża wkleiłem sobie do dziennika artykuł z ,,Figaro'' — ,,Tumulte'', André George'a. Takie jest w nim zdanie: ,,Nie wiem jaki abbé za Ludwika XIII wyraził już obawę, że łatwość transportu powozem spowoduje ,,dekadencję literatury przez rozproszenie umysłów''. Moje własne obawy więcej, stwierdzenia, rozproszenia umysłów (mojego umysłu) z nadmiernej ruchliwości istniały więc i u anonimowego ,,labusia'', już trzysta lat temu. Pocieszam się, że bywali przecie ludzie, którzy wielką ilość przebytych kilometrów, pieszo, statkiem, pociągiem, czy samolotem (od Św. Pawła do St. Exupery) potrafili przemienić na narzędzie *ku przezwyciężeniu* ,,rozproszenia umysłów''. ,,Życie wewnętrzne wzrasta w siłę gdy rodzi się w walce przeciw temu co mu zagraża'' — czytam w tymże ,,Tumulte''.

Podróż to także próba ucieczki przed widmami, które nie używając nowoczesnej lokomocji jakoby zawsze spóźniają się, dając trochę wytchnienia na nowym miejscu.

8. 5. 1955. — Wyjazd z Paryża o zmierzchu. Przez szyby wagonu, w mgle niebieskiej, coraz bardziej szarej, ucieka mrowie domków podmiejskich i kępy świeżej zieleni, ciemnej o tej godzinie; nagle wśród nich wyrasta i ginie potężna bryła o dziwacznych grubych i niskich kominach-wieżach, o pochyłych nawierzchniach i przęsłach (mosty zwodzone?), fabryka-forteca. Czerwona kula słońca w tle na niebie krwawo-pomarańczowym, żółtym, zielonym, przeciętym pasmami chmur ciężkiego fioletu.

9 *maja*. — Ranek. Avignon-Marsylia. Niewola wspomnień. Oliwki rosochate i siwe, morze ciche i niebieskie na tle bladego nieba, rok temu odpoznałem ten pejzaż nie taki sam, ale *ten sam*, po prawie trzydziestu latach. Te oliwki na równinie za Avignon, rzadkie cyprysy i dalekie pasmo wzgórz, potem Estaque'' (,,Co pan robił w 70-ym roku, podczas wojny? — ,,Malowałem pejzaże w Estaque'' — odpowiedział Cézanne). Na zawsze ten pejzaż wrył mi się w pamięć od czasu gdy go zoba-

czyłem po raz pierwszy z Kapistami. Byliśmy wszyscy fanatykami Cézanne'a i Van Gogha — ich ziemia.

Riwiera. Ta słodycz natkana hotelami. Góry różowe i liliowe, spływające do morza turkusowego, cichego jak oliwa, białe łódeczki i żagle. Jakże długo nie byłem w zgodzie z tym pejzażem, jakby szczęśliwym nie na miarę ludzką. Szczęście z pocztówki. Przez lata nie byłem w stanie tego pejzażu „zobaczyć", pomimo dobrej woli nie mogłem go malować, a gdy malowałem w tamtych okolicach — odwracałem się od morza. Malowałem brzydkie domy z potężnymi na ścianach afiszami, drewutnie, warzywne ogrody w zapuszczonych kątach. Rok temu ten świat nagle zobaczyłem, ale w tej samej chwili stracił swoją słodycz nierealną, stał się świetny, brutalny, czasem tragiczny, czy zwycięsko promienny. Ludzie patrzący na moje płótna stamtąd nieraz gorszyli się wspominając te okolice w jedynej im dostępnej formie — kolorowej pocztówki, szczęścia rozsyłanego na cały świat przez jakoby zawsze szczęśliwych turystów.

Cannes. Statek tylko co nadszedł z Genui. Kołysze się na fali wielkie, białe cacko z czerwonym pasem na kominie a zielonym tam, gdzie dotyka fal: „Julio Caesare". Nie umiem podróżować statkiem. Nie lubię statków, nawet najlepszych. Te przedługie korytarze, schody, wszędzie dziwny zapach (lakier? smary?), ciasnota kabin — najgorszy nędzarz na ziemi mieszka przestronniej, nieznaczne kołysanie okrętu nawet gdy stoi — lekkie nudności z samego strachu przed morską chorobą. Normalna gorączka przygotowań, nerwy. Gdzie skrzynie? Gdzie które walizy? Pośpiech by wybrać „lepszy" leżak, choć wszystkie takie same, lepszy stół w jadalni, choć wszystkie tak samo wygodne. Nastrój w masie prędzej świąteczny, triumfalny, dla niejednego to zmiana całego życia — marzenie. Ale większość to ludzie interesu, podróż dla nich zwyczajna. Widzę tylko jedną kobietę płaczącą.

Ruszamy pod wieczór. Płyniemy do zupełnego zmroku wzdłuż łańcucha łagodnych wzgórz Alpes Maritimes, oliwkowych, blado-liliowych i tych najdalszych, niebieskich na tle gładkiego, cytrynowego nieba.

Pierwszy obiad. Niezliczone potrawy, menu na potężnej glansowanej karcie, uwijająca się służba. Luksus. Siedzę z parą już starych ludzi: obywatele argentyńscy, Żydzi z Żółkwi, mówią jeszcze po polsku. Pani wyraża radość, że spotkała rodaka. Wracają z pierwszej wielkiej, wypoczynkowej podróży po dwudziestu czterech latach ciężkiej pracy w Buenos Aires. Mówią o Włoszech, Szwajcarii, Francji, o cenach przeróżnych, cieszą się wszystkim, bez cienia agresywności czy przechwałki. Miło mi jest być z nimi w ten pierwszy wieczór wśród obcych. Tłum głośny, podniecony. Salony pełne, tworzą się grupy, słychać hiszpański, portugalski, włoski i angielski. Raz tylko słyszę parę słów po francusku. Ten tłum wydaje mi się na pierwszy rzut oka szpetny i nie do zniesienia obcy. Przeważają podsta-

rzali mężczyźni, to wyschli, to za tłuści, kobiety o potężnych ustrojonych kadłubach z wymyślnymi kolczykami-wisiorkami u kwadratowych twarzy.

9 *maja*. — Jadę w kabinie z Włochem. Starannie opalony, jeszcze przystojny, wysportowany pomimo nienajmłodszego wieku i błyszczącej jak kula bilardowa łysiny; okazuje się typowym człowiekiem „moderne", który już się zorganizował (nie ma jak tempo). Prosi, bym był nieobecny w kabinie między siódmą a ósmą. Zachwycony, że zrozumiałem, proponuje mi łamaną francuzczyzną malusieńkie tubki włoskiego shampoing — może jest przedstawicielem tego produktu, a może wprost używa go jako łapówki za moją przypuszczalną dyskrecję, produktu, który z powodu łysiny jest mu niepotrzebny. Do tego oznajmia, że jest prezesem arcywytwornego towarzystwa na jednej z plaż argentyńskich. Proponuje mi zorganizowanie wystawy. Dowiaduję się, że był w Stalingradzie jako żołnierz w czasie wojny, ale nie daje się wprowadzić w żadną o tamtych czasach rozmowę, ucina ją momentalnie, wykreślił wspomnienia przykre i jest pełen radości życia. Nawet zmarszczek ma na twarzy nie wiele. („Jak pani świetnie wygląda" — powiedział ktoś już bardzo niemłodej a ciągle pięknej księżnie T.., która zawsze mieszkała we Florencji. „Bo nie miałam w życiu żadnych zmartwień!" — odpowiedziała z odruchową szczerością. Ta księżna pochowała na cmentarzu, w tejże Florencji, sześcioro dzieci).

Statek stanął na parę godzin w Barcelonie. Trzy godziny upalne w gorącym i pełnym kurzu mieście. Skrzypiące tramwaje, tłum na pierwszy rzut oka tak podobny do tłumów w Marsylii... Człowiek jeżeli jest z Bogiem musiałby błogosławić świat, gdzie jest sam, bez bliskich, nawet bez rzeczy złączonych z milionem wspomnień i przywiązań (tak uczy „Naśladowanie"), ale wtedy właśnie przestaje istnieć, jest lekki, próżny, bez wieku i bez sensu, bo *mówi* o Bogu, a nie *żyje* Nim. (Ośmioletni G. w Krakowie. Na obiad przyszedł biskup Sapieha. „Idź dziecko do salonu" — mówi matka, która nie zdążyła się jeszcze przebrać przed obiadem — „posiedź z wujem, żeby nie był sam". Malec idzie niechętnie: „Wujaszku czy Pan Bóg jest *wszędzie?"* „Ależ naturalnie, moje dziecko". „I tu w salonie?" „Naturalnie". „To niech wujaszek zostaje z Bogiem" — i chłopczyk wraca do zabawek).

W Barcelonie. Zachodzę do kościoła w ciężkim stylu Herrery. Przy paru ołtarzach — dzień powszedni — tłum modlących się. Na ścianach parę fresków w stylu okropnego, fałszywego modernizmu. Na jednym z bocznych ołtarzy Madonna osiemnastowieczna kapiąca od złota, z ogromną złotą koroną i twarzyczką malowaną, drobną, jakby przestraszoną. Na rękach Jezus, też w złotej koronie, w złotych szatach, trzyma krzyż rzeźbiony, potężny jak maczuga. Stosy kwiatów na ołtarzu, na ziemi. Zupełnie inny charakter modlącego się tłumu niż w kościołach francuskich, jakieś zadomowienie tych ludzi i aura żywej codziennej modlitwy.

Specjalny autobus wiezie mnie na górę gdzie jest wielkie muzeum sztuki katalońskiej. W autobusie trzepoce się niemłoda Amerykanka. Przyjechała samolotem, wyjeżdża samolotem, czy zdąży? Wyrzec się muzeum nie chce — ryzykuje. Myślę o „labusiu'' Ludwika XIII. Cóż *zobaczy* ta kobieta w tym rozproszeniu umysłu? Ja właściwie idę do muzeum tak samo w pośpiechu, do tego na siłę, jakby przestała na mnie działać magia nowości. Po co muzeum w Barcelonie, kiedy Luwru dobrze nie znam?

Trafiam natychmiast na rzeźbę katalońską z XII, XIII i XIV wieku i malarstwo z tejże epoki. Czerwienie bordo, tony niebiesko-szare czy jasno-kremowe, bardzo czarne lub chińskie — pomarańczowe. Na wielkiej desce szereg scen z żywota Świętego Wincentego z Saragossy. Miał wśród mąk wykazać taki heroizm, że nawrócił katów. Ciało blade, zielonkawe, umęczone, w czerwonych plamach krwi. Święty leży, obok niego wilk, kruki i inne zwierzęta wśród szarych skał, z lekka stylizowanych. Cały obraz w białych płatach śniegu, które sypią się na ciało Świętego. Jestem zawsze jak przed zagadką kiedy patrzę na wyrazistość ekspresyjną i niechybną muzykalność tonów, jasność kompozycji malarzy tak bliskich wizji dziecka. Przecież to były ówczasne „komiksy'' religijne, to było malarstwo skrajnie tematyczne ludzi, których wiedza o malarstwie, o kompozycji — była znikoma lub żadna. Stąd ta chińska precyzja malarska malowanych desek, które w owych czasach nie były nawet wyjątkiem. Tuż obok — rzeźby katalońskie tak pełne w wyrazie i formie. Krucyfiksy z rzeźbionym Chrystusem, polichromowane na tony niebieskie, różowe i brunatne. Co znaczą te ogromne, wypukłe oczy Madonny z dziecięciem, oczy jak śliwki, czy ten Chrystus na krzyżu w niebieskiej szacie? — to *opowiadanie* formą. Ani abstrakcja, ani realizm — opowiadanie gdzie przecie urzeczony został cały stosunek człowieka do bóstwa, do świętości czy męczeństwa, gdzie forma *opowiada* i jednocześnie *jest* formą.

Nie tylko Saint Sulpice ale i Matisse wydają mi się ludźmi, których od tej sztuki dzieli przepaść, taka sama jaka dzieli gest autentyczny od zdawkowego, mechanicznego, czy od sztucznie wyszukanego.

Madonna z Dzieciątkiem w koronach, w tonach zgaszonego złota i zgaszonej czerwieni, Madonny bolesne bez korony, z głowami opuszczonymi i rozpuszczonym włosem, w najprostszych pozach kobiet wiejskich. Jeden fresk z sarkofagu w Burgos z XIV wieku: ostrą kreską obrysowane postacie tłumu — można by dokładnie skopiować i twierdzić, że to niemiecki ekspresjonizm XX-wieczny. Widzę też przy obrazie krępego Niemca, który właśnie ten fresk starannie kopiuje.

Ta sala rzeźb i fresków zabiła mi resztę choć zdążyłem rzucić okiem na piękne płótno Melendeza — tego malarza, który jeden uchował się w Hiszpanii w XVIII wieku ze swymi surowymi, ścisłymi, jeszcze XVII-wiecznymi martwymi naturami

— bodegone, w tradycji Cotana i Zurbarana — i na marmurową, hiszpańską, skrajnie realistyczną rzeźbę Chrystusa umęczonego.

W mieście upał. Zamiast obiadu każę sobie podać w portowej restauracji szparagi, na pamiątkę mojej jedynej sprzed 25-ciu laty podróży do Hiszpanii kiedy zażerałem się szparagami. To była Hiszpania jeszcze przed rewolucją. W malutkiej miejscowości pod Madrytem — w Arenas di San Pedro, w pokoiku z widokiem na stary zamek z setkami gniazd bocianich i setkami latających nad zamkiem bocianów, poznałem wesołego staruszka, wiejskiego proboszcza, monarchistę, który mnie prowadził na ogromne spacery, i jego przyjaciela, sympatycznego handlarza wina, który był namiętnym republikaninem. Przyjaciele wciąż sobie wymyślali : kupiec księdza nazywał ,,Rasputini'', ten zaś kupca ,,Lenino''. Jakie to było idylliczne. Parę lat potem Arenas di San Pedro figurowała stale w komunikatach : tam toczyły się krwawe walki rewolucyjne, wzajemne wyrzynanie, okrucieństwa. Czy żyją jeszcze ,,Rasputini'' i ,,Lenino''?

Na statku poznaję Niemca. Profesor S. jedzie do Brazylii, gdzie będzie miał katedrę. Jest sam, i długie godziny spędza na leżaku z książkami.

Próbuję notować piórkiem i akwarelą. Jak łatwo przy pewnej, jeżeli nie umiejętności to chociaż nawyku, wpaść w sztancę, powtarzać siebie i malować akwarele zawsze te same, coraz łatwiej zgrane i coraz gorsze, bo coraz mechaniczniejsze.

10 *maja*. — Czytam ,,Dolinę Issy'' Miłosza, a z biblioteki wziąłem Abellia(*) ,,Heureux les Pacifiques''. Sny, jak kiedyś 25 lat temu w Arenas. Po epoce specjalnie burzliwej i tłumnej pierwszej wystawy Kapistów w Genewie przeżyłem parę tygodni zupełnie sam w tej zapadłej prowincji. I wtedy, nagle, opanowała mnie jakaś proliferacja snów, jakby całe życie w snach się skupiło. Teraz to samo : sny przeważnie bezsensowne, ponure, wraca mój własny pogrzeb, na który patrzę z całkowitą obojętnością. Może najprościej wspomnienia śmierci pani Dilbinowej z ,,Doliny Issy'', ale S. mój nowy niemiecki znajomy, któremu to opowiadam, słucha mych snów z prawdziwym zainteresowaniem, każe mi czytać Junga i komentuje moje sny o śmierci, jakoby zawsze oznaczające jakiś *koniec* i znak, że trzeba życie rozpocząć na nowo, od nowej strony.

Przejazd obok Gibraltaru. Pierwszy raz widoczny brzeg Afryki. Robię notatki akwarelowe. Gibraltar z paru stron, rysunki całkowicie banalne, jakieś *puste*, potem wybrzeże Afryki — rysunek podkolorowany — ten ma cień gry i muśnięcie przeżycia, nikłego zresztą. Patrzę na pierwsze goniące za statkiem delfiny.

(*) Abellio, wybitny powieściopisarz francuski, autor szeregu dzieł ezoterycznych, omawianych w swoim czasie w ,,Kulturze''.

Dziwię się mojej absolutnej obojętności. Delfiny? Gibraltar? Niech sobie.

11 *maja*. — Morze niepewne. Dramamina i zaraz wzmożona tępość. Trochę akwarel. Drażni mnie to nieustanne uczucie powtórki ,,déjà vu'' — odbija to mój nastrój ,,trupi'', nieistnienie przeżycia. Chciałoby się wtedy w rysunku coś przekręcić, odwrócić. W takich chwilach zazdroszczę abstrakcjonistom, którzy mogą maskować jałowość trickami. Ale jak długo można tak maskować przed innymi brak stosunku do świata otaczającego? Dlaczego takie same pozornie rysunki jak dzisiejsze, prawie podobne, bez żadnych tricków, nie budzą we mnie sprzeciwu — poczucie ,,tak''. Najprościej więcej w nich uwagi, przeżycia, może więcej pokory i ścisłości. A teraz rysunek, identyczny do tamtych w zamiarze, ześliguje się w banał. Wtedy trzeba robić rysunki możliwie suche i tematycznie jak najobojętniejsze: garnek, framuga drzwi i tylko iść po linii podnoszenia uwagi, kontroli obiektywnej. Żadnej ucieczki nie tylko w fałszywą oryginalność, ale również ,,w pedał'', żadnego wysilenia na rysunek wyższy, syntetyczniejszy, odwrotnie — zaczynać od początku, jakby się jeszcze nigdy nie narysowało.

Kiedy człowiek nagle jest sam, kiedy kontakt z ludźmi zerwany, kiedy się jest w ,,puszczy'', traci wszystko i zdawać się wtedy może, że Gombrowicz ma rację, że człowiek żyje tylko jako forma uderzana, kształtowana przez drugą formę ją kształtującą, że człowiek nie istnieje sam w sobie; Bóg w nim nie daje znaku życia, bo człowiek jest za tępy, żeby go słyszeć. Zresztą nic, czy prawie nic dlatego nie robi. To wszystko myślałem czując to moje opustoszenie jakbym bez podpórek ludzi, przywiązań, ciężaru, goryczy przestawał istnieć. Widzę ubóstwo mego życia wewnętrznego i nagle trafiam na cytat z Abellio: ,,Jest trudno zrozumieć dlaczego ludzie myślą że można oszukać swój ból, zmieniając otoczenie, wyobcowując się ze swego świata. Podróże, podniecenie, pozorne przyjemności, banalne niespodzianki zmieniających się wciąż stosunków, dają nam powierzchowną wizję ludzkości i życia, popychają nas przeciwnie ku sobie, ku naszemu głębokiemu ja. Stąd to wrażenie trzeźwego widzenia, które się odczuwa w podróży, pogłębia ono jeszcze pewniej smutek niż zwiększa radość''.

Czytam Abellio: nie rozumiem moich reakcji wobec tych proroczych dywagacji polityczno-rewolucyjno-religijnych. Musiałbym się czuć upokorzony nikłością moich horyzontów, ciasnotą moich myśli wobec tej ,,astronomii'' rzutowania, ale jednocześnie węszę jakiś okropny odór okrucieństwa, dzikiej pychy. Rozumiem, że ludzie tego typu tamtej epoki (przed 39-ym rokiem) dla których ,,na pewnej wyżynie nie ma już Zła i Dobra'', przerzucający się z obojętną wyższością od skrajnej prawicy ku skrajnej lewicy lub na odwrót, albo grający obiema kartami jednocześnie, że tych ludzi mógł kusić nawet hitleryzm. Dla bohaterów Abellio człowiek pojedyńczy nie istnieje, jeżeli jest niewtajemniczony nie ,,naznaczony''.

„Nie o to chodzi, by iść do ludu *widzialnego*, cóż mamy z nim do roboty. Wojna, epidemie, głody uwolnią od nich ziemię", rzucił z akcentem wyzywającym wzgardy. „My idziemy tylko ku ludom niewidzialnym, ku tym, którzy przeżyją i którym będzie nakazane zaludnić znowu świat. To do nas należy, do naszego Zakonu, odkryć, utrzymać, streścić zdobycze ostatnich tysiącleci, dziesięciu tysięcy lat i chyba przekazać je nowej ziemi..." Tak mówi główny bohater książki. Czytając to *dziś* jak mogę nie widzieć w tej perspektywie i Hitlera i jego Orlego Gniazda, krematoriów, planów tysiącletnich i wszystkich zbrodni uprawnionych, nieważnych, wytłumaczonych, obojętnych, bo „na pewnej wyżynie nie ma już Zła i Dobra". Wtedy mam świadomość jak ten tytanizm jest mi nienawistny i na zawsze wrogi.

11 *maja.* — Najładniejsza kobieta, w każdym razie najszykowniejsza, którą dotychczas zauważyłem, siedzi w sali restauracyjnej przy sąsiednim stoliku. Pół-Niemka, pół-Argentynka. Suknia czarna, zupełnie pod szyję, gołe ramiona, ciężki srebrny naszyjnik, na drugi dzień ma suknię inną, wyciętą głęboko w zyg-zagi, też czarną, ten sam naszyjnik srebrny, kuty, chyba tunizyjski, takież kolczyki, bransolety i pierścionki. Wysoka, gibka, twarz i ramiona brązowe, piękne czarne oczy i uśmiech zmysłowych ust zanadto świadomy, aby był sympatyczny. Jest dziś *gran ballo.* Tańczy cały czas z moim Włochem i jego łysina brązowa, jak piernik (jest od niej o wiele niższy) aż świeci na tle czarnej sukni. Cały czas w tańcu do niej przemawia i wygląda tak dumny ze swojej zdobyczy, jakby właśnie wmaszerował do Stalingradu. Oboje przy tym wyglądają tak nasyceni i głupi! A przecież w jakimś zakamarku zazdroszczę im tej łatwości, więcej, tego krótkiego szczęścia-narkotyku.

Odwiedzam w trzeciej klasie paru emigrantów węgierskich. Jeszcze siedem dni temu byli w Budapeszcie. 65-letnia staruszka jest wdową — jak twierdzi — po wysokim urzędniku jeszcze z czasów monarchii austro-węgierskiej. Tłumaczy się, że to wypadek tylko, że jedzie trzecią klasą, syn by chętnie zapłacił drugą czy pierwszą. Opowiada mi, jak cierpią na Węgrzech „wyższe sfery" (ona) i „niższe też" (dodaje pobocznie). Jest z Siedmiogrodu i jeszcze teraz z pasją i nieukrywaną nienawiścią mówi, że kraj ten został oddany Rumunom, którzy „nawet czytać nie umieją, kiedy my, my w Siedmiogrodzie to *inteligencja*". Za jej czasów, w szkołach poza węgierskim uczono niemieckiego i francuskiego. „Dziś uczą po rosyjsku" — dodaje z namiętną pogardą. Mówię prędzej dla siebie, że to istotne, że nie tylko propaganda balszewicka płynąć będzie tym kanałem, ale także wielka literatura rosyjska, inny krąg kulturalny.

„Kulturalny? *Aber das ist zum lachen. Die Russen haben keine Kultur und nie eine gehabt*" (*).

Milczę. Ileż łatwiej wyciągać wnioski gdy się tak upraszcza.

(*) Ależ to śmieszne. Rosjanie nie mają kultury i nigdy nie mieli.

Ta stara kobieta z pierścionkiem o pociemniałej starej oprawie na pomarszczonej w węzłach żył ręce, w potoku biednych, prawie wyłącznie starych ludzi, którym pozwolono wyjechać, mówi głosem skrzypiącym i władczym o swojej wyższości i wyższości tych jakoby świetnych, ,,wyższych'' klas węgierskich. W tej przemowie ileż pychy niewzruszonej, narodowej i społecznej. Ten sam ton spokojnej pewności miała pani X., jej równolatka, która w podobnych warunkach przybyła z Polski. Nie tylko propaganda sowiecka, ale wszystkie przemiany lat ostatnich tylko wzmocniły jej dawną, już dzisiaj kamienną hierarchię wartości; połączoną z definitywną idealizacją czasów przeszłych. Dlaczego opowiadanie o Węgrzech A. Esterhazy, młodej dziewczyny, która była robotnicą i siedziała w więzieniu, ma ton tak inny, o tyle bardziej ludzki (*). Dlaczego młody P., który jak Alice Esterhazy z narażeniem uciekł z Polski, wybuchnął śmiechem gdy go zapytano o ,,wyższe sfery'', zaliczając jego do nich. Jakaż inna jest opozycja tej młodzieży i o ileż bardziej groźna dla reżymu.

12 *maja.* — Ani skrawka ziemi. Niebo ciężkie, szare bezkształtne chmury, ale morze cichutkie. Przez krótką chwilę chlusnął ciepły deszcz, jakby się nagle niebo otworzyło, i minął. Zabłąkany siwy ptaszek wielkości sikorki, zupełnie bezsilny, uczepił się sznurów, z daleka jedna jaskółka i na horyzoncie ku wschodowi biały żagiel. To wszystko. Dziś włoski film kolorowy. Walimy, z posłuszeństwem godnym lepszej sprawy, tłumnie jak na wszystkie prefabrykowane darmowe uciechy statku, konkursy wszelakie, match'e i ,,niespodzianki''. Wychodzę w środku tak mnie brzydzi nie tyle film — trochę gołych łydek i najbanalniejsze kawały cyrkowe amerykańsko-włoskie — jak ta potulność podróżnych, którzy konsumują wdzięcznie wszystko co konsumować należy. Jeden S. chodzi swoimi drogami. Godzinami leżąc na leżaku studiuje portugalski: czyta. Jest przyjemnie patrzyć na tę twarz już niemłodą w okularach w cienkiej oprawie, skupioną, oderwaną i zawsze spokojną. Nie dotyka go ten wirek towarzyski. Mówi, że pochodzi z rodziny nadreńskiej, pastorskiej. Tak samo kilka zakonnic żyje tu zupełnie innym życiem. Jadą z Włoch do klasztorów argentyńskich. Widzi się je w kaplicy lub, rzadko, na pokładzie, gdy w ogromnych, ciemnych habitach z wyhaftowanym czerwonym sercem na piersiach chodzą niezręcznie grupami, jakby oddzielone od nas granicą niewidzialną.

Wbrew buntowi przeciw Abellio czytam z pasją ,,Heureux les Pacifiques''. Ileż uwag świetnych, wnikliwych. Mowa o wtajemniczeniach. Odruchowo przymierzam się do której shakry, stopnia wtajemniczenia, mógłbym pretendować i dochodzę do smutnego wniosku, że do żadnego, poza najniższym, chociaż zdaje mi się, że mam ,,otwory'' do różnych. D. mi zawsze zarzucał, że czytam mistyków. ,,Mistyków trzeba *robić*, a nie *czytać*''.

(*) ,,Preuves'', Paris, Juin 1952.

13 *maja.* — Szósty dzień. Od dwóch dni próbuję rysować, i wciąż nie ma w tych rysunkach nic, to nawet nie wprawka, prędzej manierowanie. Czy nie lepiej wtedy przerwać, czy przymus, dyscyplina, w takich chwilach nie szkodzą? Nagle parę kresek żywych, nie tylko wysiłek oka i ręki, ale przeżycie. Czy tylko wtedy wolno rysować? Nie. Musi być też praca „z goryczą w oczach", bo inaczej — to czekanie na natchnienie głupich malarzy od Makuszyńskiego, czy w najlepszym razie na écriture automatique surrealistów. „Niech pan robi kreski, dużo kresek a będzie pan malarzem" — powiedział Ingres młodemu Degasowi. Co *czuł* Degas kiedy rysował ścierając aż do dziur w papierze i kalkując do ośmiu razy, by znowu i znowu ten sam rysunek pogłębiać? Odpowiedziałby nam jak Valéry'emu: „To by nie było takie zabawne, gdyby nie było takie nudne".

Dojeżdżamy do Dakaru o szóstej popołudniu. Światło ciągle jeszcze oślepiające. Pogoda duszna. Wybrzeże płaskie jakby z szaro-brunatnej, wyschłej gliny, wielki kloc jakiegoś gmachu jakby corbusierowskiego, oślepiający białością. Morze niebieskie i zielone. Pierwszy raz od chwili wyjazdu naprawdę gorąco. Mamy zaledwie parę godzin by zwiedzić Dakar. Biorę taksówkę, żeby czasu nie tracić. Dosiada się do mnie Rumun. Jasne wyłupiaste oczy, mięsisty nos, ciężki i nahalny. Wiezie nas Murzyn, czarny jak smoła, cienko-kostny, prawie chłopięcy w białym chitonie. Mój towarzysz momentalnie pyta, żąda wskazówek gdzie można „spać z kobietami", gdzie są domy publiczne. Murzyn, mówiący biegle po francusku, choć nie umie czytać, bo nie chodził do szkół, mówi mu, że od czasu wojny te instytucje zostały zniesione i na wszystkie nalegania, przedsiębiorczego Rumuna dodaje z godnością, że to niemożliwe, chyba że Rumun zna tu jakieś kobiety. Wtedy może być, inaczej — nie. Sam zresztą nic o tym nawet nie wie, jest muzułmaninem, ma żonę i dwoje dzieci.

Pierwsze wrażenie miasta okropne: jakby lepkie od gorąca, ulice-śmietniki, po których niesie masą brudnych papierów, wśród białych suną Murzynki w wielkich turbanach i obfitych, kolorowych sukniach, wciętych w talii, z bufami na ramionach. Mężczyźni w długich podkasanych, czy opuszczonych do ziemi koszulach, spieszą wzdłuż domów europejskich, skrajnie banalnych. Każę się wieźć do jakiegoś parku. Szofer twierdzi, że parku także nie ma. Ostatecznie dowozi mnie do wysokiego wybrzeża morskiego. Gdyby nie odór, mieszanina zapachu morza ze zwyczajnym fetorem ludzkiego kału — byłoby bardzo pięknie. Ściana z kaktusów o grubych, płaskich, nadzianych kolcami łopatkach z żółtymi kwiatami i jeszcze inne pnące rośliny o bardzo mięsistych liściach i różowych kwiatach. Dalej, ku morzu, rudy brzeg się urywa, parę drzew z daleka przypominających jałowce i dalekie morze w świetle *zupełnie cytrynowym,* jakiego nigdy nigdzie nie widziałem. Niebo jest kanarkowego koloru, woda blado żółta ze smugami sinymi. Na ławkach żołnierze,

Murzyni, uśmiechają się do mnie przyjaźnie wszystkimi zębami, pary białych z dziećmi leżą na płask na trawie, zmęczone, zgaszone.

Chcę trafić do Mediny, dzielnicy czysto murzyńskiej. Pytam o drogę białego w hełmie tropikalnym, przed gmachem który wygląda na koszary. To inteligentny, młody lekarz, paryżanin, odbywający tu swoją służbę wojskową. Stawiam mu parę pytań tyczących Murzynów. Odpowiada mi faktami, cyframi, mówi z nieukrywanym zapałem : ,,Słusznie porównuje ich pan do dzieci. Oni, jak dzieci, *wiedzą* z kim mają do czynienia. Musi pan ich ukarać, jeżeli coś przeskrobią, inaczej pan straci twarz. Ale niech pan spróbuje któregoś z nich ukarać niesprawiedliwie. Jest pan wówczas zdyskwalifikowany. Przyglądają się panu przez parę tygodni, jeżeli panu uwierzą nie znajdzie pan bardziej sobie oddanych, dziecinniej, całkowicie oddanych ludzi. Jeżeli chodzi o pacjentów to sobie trudno wyobrazić czym dla nich jest lekarz. To jest bóg. Dostajemy dary wprost żenujące, ja już parę razy dostałem, niech pan zgadnie co? Gri-gri. Nie zna pan ? Nie widział pan ? Ależ to jest to co dla nich najcenniejsze. Prowadzi mnie do swego pokoju, wyciąga i pokazuje sznurek, a na nim parę przedmiotów, wielkości śliwek, obszytych czarną skórą, niezdarnych. W tych skórzanych medalikach, bez śladu estetyki, bywają teksty koranu, kilka włosów lub kawałek zęba. Gri-gri jest na wszystko : przeciw chorobie, przeciw bezpłodności, przeciw niebezpieczeństwu. Tutejsi czarownicy majątki robili na gri-gri, które za wielkie sumy zakupywali wyjeżdżający do Indochin żołnierze. Lekarz przedstawia mi murzyńskich pielęgniarzy. Zachwala ich wielkie zalety, wskazuje na ogromne różnice typów i charakterów różnych szczepów, pokazuje mi to na przykładach, ale patrzę jak głupi : jedni więksi, drudzy mniejsi, ale w półmroku wieczornym wielkiej izby-biura nie umiem wiele rozróżnić. Budynek stoi na tejże skarpie z której patrzyłem na cytrynowe niebo. Skarżę się na zapach. Młody lekarz śmieje się : ,,Bardzo prędko można się do tego przyzwyczaić. Od świtu tłumy Murzynów przychodzą załatwiać się na te plaże przed nami''. Nadjeżdża inny lekarz. Ten urodził się w Libanie i całe dzieciństwo tam spędził. Jest z młodą blondynką. Zwraca się do mnie : ,,*Wy możet gawaritie pa ruski?*''. Okazuje się, że to Rosjanka, Tania — już 18 lat swego niewiele dłuższego życia spędziła w Dakarze. Zaprasza obu lekarzy i mnie do siebie. Mieszka z matką, starszą panią z białymi lokami. Kiedy mówię do matki po rosyjsku, uparcie odpowiada mi po francusku. Chcę koniecznie wydobyć z niej jak tu trafiła. Mąż jej był rozbitkiem z armii Wrangla, lekarzem. Wylądował w Tulonie i był tam przez parę lat motorniczym tramwajowym, potem dopiero trafił do Afryki jako lekarz. Staram się dowiedzieć więcej. Pamiętam emigrantów rosyjskich z tamtych czasów także z armii Wrangla, internowanych w Marsylii. Ale pani w białych lokach opowiada mi jak to jeździła statkami jako żona lekarza zawsze pierwszą klasą, jak to o 12-ej w nocy piło się

zawsze szampana i jadło ostrygi. „C'était si interéssant!" O dawnych czasach mówić nie chce. Wspominam tę armię rozbitków. Odwiedziłem ich obóz w Marsylii w 1925 czy 1926 roku. Dowodził nimi pułkownik piechoty. To były resztki resztek. Pułkownik przyjął mnie grzecznie jak dziennikarza zagranicznego, oprowadzał po barakach. Stoi mi jeszcze w oczach jeden kozak z ogromnym czubem, otoczony liczną dzieciarnią, szewc czy krawiec obozu. Domki-baraki sklecone w kwadrat na tym słońcu lipcowym Marsylii, wyschłe, mizerne roślinki koloru słomy i wszystko przysypane białym jak kreda kurzem. Jechałem z dołu, ze starego portu. Baraki stały na pustym placu w górnej części miasta, tam w dole nabite sklepy, stosy owoców, marynarze, kobiety rozmaitego autoramentu, tłum kolorowy, buchający wolą życia i użycia. Tu na wzgórzu nad Marsylią — ta wyspa śmierci.

Kiedy pułkownik dowiedział się, że jestem Polakiem ton jego nie przestał być uprzejmy, ale stał się z lekka protekcjonalny: „Znam, znam. Walczyłem w Polsce w 1915 roku nad Stochodem; *Polsza, Rassiji mładsza siestra*" — powiedział emfatycznie. Właśnie z 15-go roku sam jeszcze ten slogan pamiętałem. Ja wtedy bardziej niż kiedykolwiek byłem pełen patriotycznego optymizmu. Polska pełna prężności, młode mocarstwo i ta protekcjonalność człowieka z wyspy umarłych, który ciągle jeszcze rozumował kategoriami potężnej, carskiej Rosji, zdała mi się typowa i godna litościwego uśmiechu. Przeszło nawet nie 30 lat i ja teraz tłukę się po świecie jak ojciec Tani, czy ten pułkownik i jakże łatwo mi przychodzi wyobrazić sobie innego pułkownika — polskiego, na odmianę — operującego kategoriami, które dla człowieka z boku zdają się niezrozumiałe i nawet śmieszne pompatycznością i zupełnym zamroczeniem gdy chodzi o diagnozę „dziś" i „teraz". A przecie to co się przede wszystkim wydaje cudzoziemcowi skostnieniem to, przeniesiona przez takie czy inne piekło, także forma wierności.

Gościnni Francuzi wiozą mnie do Mediny. Wysiadam i natychmiast oczarowanie. Setki chatek ze zbitych desek, pomalowanych na różne kolory: zielone, niebieskie lady oświetlone małymi lampkami o ostrym świetle. Za tymi ladami stojące kobiety sprzedają góry owoców, jakby wielkie zielone podłużne pomarańcze, handlują również napitkami. Mężczyźni w białych i niebieskich płaszczach, długich chitonach, albo w rozchełstanych koszulach i portkach europejskich. Moi lekarze są wszędzie witani jak serdeczni znajomi, z dziecinną ufnością. Próbuje rysować kobietę przy ladzie w niebieskim turbanie i białej sukni. Gdy mnie widzi rysującego, schyla się nisko wstydliwie się uśmiechając. Widzę, że ma na plecach przymocowanego rocznego chłopaka, jak z czekolady. Mówię mężowi, który stoi obok, że ma piękną żonę. Wybucha wesołym śmiechem jakbym powiedział lepszy dowcip. Degas w liście z Luiziany opisuje czarne kobiety z dziećmi na rękach, zachwyca się egzotyką i mówi, że trzeba wracać, wracać, piłować w swoim kącie. Nie daje się

unieść zachwytowi i wraca zawsze do tych samych do śmierci motywów tancerek i każdy ich ruch całe swe długie życie studiuje. Ja tu próbuję notować ten świat dla mnie tak nowy, jakby dla mnie stworzony. Piękność tego życia jest zupełnie nieświadoma, na pewno nie urządzona i tym tak fascynująca, ale z moich rysunków nie wychodzi nic, czy prawie nic.

Powrót na statek. Do tego tłumu, który ciągle jeszcze, poza jednym Niemcem, wydaje mi się obcy zupełnie. Dotychczas zauważyłem jeszcze Żyda z Izraela, który również z moim Niemcem rozmawia. Oni obaj stworzyli sobie swój rytm. Nie wiszą na programach dnia, którym się wszyscy z nabożnym entuzjazmem poddają, ani pośpiesznie organizowanymi flirtami. Dla większości czas podróży na statku się ,,nie liczy''. Jest poza odpowiedzialnością, poza jakąś ciągłością. Teraz albo nigdy, nie tylko można, ale trzeba żyć jak człowiek, którego głównym celem życia jest zabawa. I stary właściciel drukarni z Buenos Aires, który 24 lata temu wyjechał z Żółkwi, i włoski opalony zdobywca, i emeryci, Niemcy i Włosi, jadący do swych dzieci co się tam dorobiły, i gruby francuski handlarz konserw — wszyscy chcą się bawić. Już dzisiaj ogłoszono żeby się przygotowywać do wielkiego balu na równiku i żeby podawać nazwiska tych, co chcą być na równiku ,,chrzczeni''.

14 *maja*. — Sobota. Msza w kaplicy 2-ej klasy. Tłum zakonnic, które widzę po raz pierwszy, widocznie większość z nich nie opuszcza kabin. Kaplica pełna, wiele Włoszek i Hiszpanek. Ta sama aura modlitwy co w Barcelonie, wrośnięta w obyczaj. Tłum śpiewa ,,La piu bella Stella...'' jak u nas ,,Serdeczna Matko''. W kaplicy wielki obraz: Chrystus, tuzin aniołków, Matka Boska, Św. Franciszek. Wszystkie twarze mają ten sam wyraz pół-królików, pół-sarenek. Gdzie ja takie same twarze widziałem? Ach, tak, w salce-czytelni. Na ścianach dziewczyna o czerwonych włosach, w ciemno niebieskiej bluzeczce, z piersiami jak mandarynki, młodzieniec w swetrze pomarańczowym w niebieskie paski. Oboje piszą gęsimi piórami: to fragment wesołej, naprawdę gustownej dekoracji ściennej z malowanym statkiem, gwiazdami morskimi, etc. Wyrazy twarzy są dosłownie te same na obrazach religijnych i świeckich. Rana ręki Chrystusa gwoździami przybitej jest wyrażona równie ,,gustownie'' jak na dekoracji świeckiej gwiazda morska. Ta czerwona gwiazda geometryczna na ręku Chrystusa jest dokładnie tego samego koloru co włosy panienki z piersiami jak mandarynki.

Co to ma do czynienia z malarstwem *religijnym?* Czy ten Chrystus Zmartwychwstający, mała rzeźba na ołtarzu w najbanalniejszym stylu Saint Sulpice, nie jest przecież bliższa przeżycia religijnego niż ta, ,,smaczna'' dekoracyjność! W Barcelonie, w muzeum, Chrystus z XVI wieku w szacie niebieskiej, z oczami niepodobnymi do żadnych oczu ludzkich, nawet ta Madonna barokowa z XVIII wieku, w kościele barcelońskim kapiąca od złota, z przestraszoną twarzyczką — trzy światy, trzy różne wieki, ale nie ma wątpliwości, że to światy przeżyć

religijnych, a ten Chrystus „moderne" ze zgrabną gwiazdką zamiast rany — nie znaczy nic.

Poza Rouaultem i chyba rysunkami męki Chrystusa Buffeta, nie widziałem współczesnej sztuki religijnej. Nawet nie Matisse.

15 *maja.* — Niedziela. Pogoda szara, duszna, długie godziny na leżaku, jeszcze Abellio, książka coraz to wroga mi w swej okrutnej „astronomii", to bliska mi przecie, może nie tyle bliska ile pociągająca świadomością, więcej — wiarą w bezgraniczne możliwości i wymiary człowieka. Czy można się interesować ruchami umysłowymi, które dotykały młodzież Europy przed 1939 rokiem, pomijając świadectwo Abellia. To operowanie kontynentami, te przyjaźnie komunistów z faszystami, finansiery z rewolucją, ludzi, których łączyło jedno — nienawiść do bezsilnej demokracji; zbrodniarze byli dla nich lepsi, bo mieli wyobraźnię. Wołanie o katastrofy, o nową ludzkość mającą się urodzić z „szarugi krwi". U Abellia mowa o sojuszu niemiecko-rosyjskim z 1939 roku, jak o czymś najzupełniej zrozumiałym, prawie dobrym kawale. Śmiech, śmiech pogardy dla naiwniaków, którzy w tym widzą zdradę czy podłość...

W całej grubej książce Polska nie jest wspomniana ani razu. (Tak samo jak u Abellio zresztą nie spotkałem wzmianki o Polsce u Simone Weil). Może dlatego nie jestem dziś w stanie dać się porwać tym „waporom" profetycznym, bo ja byłem z tych głupich Polaków, których Niemcy mordowali, wywozili bolszewicy i też mordowali, a Francuzi prowadzili „une drôle de guerre", a najinteligentniejsi z nich jak Abellio, jak Drieu (*), robili plany na miarę świata, gotowi z diabłem się sprzymierzyć.

Ależ ja znałem ten świat. Drieu w latach trzydziestych uroczy, uważny, jego przyjaciel B. fanatyczny wówczas komunista. Drieu był w tamtych czasach już od komunizmu daleki, pisał „Genève ou Moscou", żonaty z Sienkiewiczówną, myślał o Europie, interesował się Europą centralną, więc także Polską, wtedy napisał piękny wstęp do książki mojej siostry o Mickiewiczu. W ciemnym wielkim salonie-biurze z oknami na wąską ulicę Saint Louis-en-l'Ile, czytał mi tekst skrajnie pacyfistyczny, gdzie obiecywał już nigdy karabinu nie wziąć do ręki, a jednocześnie nieustannie do tego wracał jak zrobić Europę. To w tamtym okresie zastałem go kiedyś zaraz po powrocie z Rzymu. Wybuchnął nagle, że ma dość tego życia w trumnie, albo na ruinach jak w Rzymie, albo w domach na wyspie Św. Ludwika, które są zmurszałe, nieustannie na nowo podpierane, domy które już dawno muszą być rozwalone, w tej Francji-mumii, z której chciał zerwać „les bandelettes", te cienkie opaski którymi mumie były od góry do dołu opasywane (jego metafora). W tej Francji, którą znieważał i kochał, stawiał sobie wciąż pytanie

(*) Drieu de la Rochelle, jeden ze sztandarowych pisarzy francuskich, międzywojennych.

czy uwolniona z tych opasek, ,,się jako trup nie zwali''. Ten Drieu, który bardzo młody brał udział w ataku na bagnety, był sam trzy razy ranny między 1914 a 1918, widział setki ludzi w chwili konania i śmierć kraju była od tamtej chwili jego obsesją — wszędzie szukał dynamiki, szukał siły, wszędzie węszył śmierć.

Spotkałem go, gdy dotarła na Zachód wiadomość o dekrecie kołchozacji i wieści o masowych wywózkach chłopów. Nie ukrywał swego podziwu, taka prężność, taka decyzja, tyle lat po rewolucji imponowała mu. Widziałem go po raz ostatni, po długiej przerwie, w 1935 roku, u Daniela Halèvy. Gospodarz spytał go nagle: ,,Widuje się pana często z Niemcami?'' Drieu odpowiedział wymijająco: ,,Oni są tacy milutcy''. Odprowadzaliśmy się tego wieczoru wzajemnie, był równie uprzejmy jak daleki. Cóż mogły znaczyć dla niego problemy Polski, kraju wciśniętego pomiędzy *takie* kraje dynamiki i światowych ideologii, jak Niemcy i Rosja. Cóż mógł dla niego przedstawiać Polak, który myślał kategoriami polskiego małego podwórka i to na pewno już skazanego na zagładę, myślowo ,,darowanego'' Niemcom. Potem przyszła wojna, już w obozie w Rosji wiadomość, że Drieu stał się czołowym kolaboracjonistą. Mój żal wieloletni i tak ostry: ,,Nigdy, nigdy już go nie chcę widzieć'' — mówiłem sobie. Potem już we Włoszech notatka o jego samobójstwie, a później szczegóły, o jego przedśmiertnej samotności, o jego odejściu wewnętrznym od Niemców, zupełnym w nich rozczarowaniu, o jego ostatnim okresie, wschodnich metafizycznych zainteresowaniach, o pokusach, o próbach dwukrotnych samobójstwa i ostatecznym ,,udanym'' trzecim samobójstwie. Głód siły i uniwersalizmu ludzi bez siły i wspaniała inteligencja i obrzydzenie aż do wymiotów do małych kombinatorów demokracji z pełnymi ustami frazesów. Hitler był lepszy dla tych ludzi — miał wyobraźnię i wyznawców gotowych umrzeć ,,et qui étaient si gentils''. Dziś myśląc o Drieu nie odnajduję w sobie dawnego żalu. Ten człowiek był absolutnie bezinteresowny, zawsze angażował się sam, ryzykował i błądził. W pewnej chwili — *zapłacił*.

Imek K. — przyjaciel z Griazowca — opowiadał mi o swoim mistrzu skromnym lekarzu ze Stanisławowa. Jemu zawdzięcza, że poszedł na medecynę, że do tego zawodu się zapalił. Kiedy Niemcy zdecydowali się zlikwidować Żydów stanisławowskich, zabrali jakich paręset ludzi do lasu i kazali im tam kopać groby dla siebie. Ten lekarz był wśród skazanych. Nagle oficer niemiecki poznał go przy kopaniu. Lekarz wyświadczył mu przedtem jakieś usługi, leczył córeczkę? Oficer kazał mu wystąpić z szeregu i wrócić do Stanisławowa. Lekarz odmówił, wolał zostać, dalej groby kopać z innymi i dać się razem z innymi nad tymi świeżo wykopanymi mogiłami wystrzelać z karabinów.

Co to znaczy? Czym ten gest mógł komukolwiek pomóc, tym Żydom skazanym w zagubionym miasteczku Europy środkowej, o którego nawet istnieniu żaden Abellio i żaden Drieu

nie wiedzieli. Gest biednego Żyda, cóż mógł znaczyć w ich uniwersalnych ,,zawiłych rachunkach''. Nie umiem wyjść z myślenia o tym wszystkim inaczej jak kategoriami elementarnej dla mnie hierarchii wartości. W przekonaniu, że ten lekarz, który nie zrobił nic więcej jak to, że dobrowolnie umarł ze swoimi braćmi, waży na wagach świata więcej niż wszyscy ci astronomiczni i tragiczni fantaści, wyznawcy ,,nietzscheańskiej Fernenliebe''.

O tym wszystkim mówimy dziś z S. na leżakach pokładu. S., człowiek szlachetny, był profesorem uniwersytetu we Wiedniu w czasie kiedy mordowano tych Żydów w Stanisławowie i wszędzie, kiedy najmłodszych Polaków — dzieci prawie — z obozu w Buchenwaldzie przyspasabiano na katów, każąc im dźwigać po wioskach i miastach Turyngii dwuramienne szubienice, na których mogło wisieć z każdej strony po trzech ludzi, kiedy wieszano Polaków za zdradę honoru (tą zdradą honoru było, że dozwolili zbiec z obozu towarzyszom i nie zdradzili ich), kiedy Polacy, Żydzi, Cyganie i ileż innych jeszcze ginęli setkami tysięcy zatłukiwani kijami, duszeni, truci, ginęli od śmiertelnych zastrzyków i wprost z głodu i nieludzkiego wycieńczenia.

,,Przysięgam Panu'' — mówi mi — ,,nic, nic o takich sprawach nie wiedziałem''. Po długim milczeniu: ,,Dopiero koło roku 1942 doszły mnie wieści o Żydach mordowanych przez Niemców gdzieś w Rosji, ale było zakazane najsrożej o tych rzeczach mówić i wieści o tym były głuche i niepewne''. Tak mówi S. starając sobie przypomnieć co widział i ile było winy w nim, że tych spraw nie znał. ,,...tak, tak pamiętam jeszcze w 1938 roku spalono szereg bóżnic, niszczono sklepy żydowskie, tego nie mogłem nie wiedzieć. Młody chłopak, entuzjasta Hitlera, jego rasowych teorii, SS, przyleciał do nas blady, trzęsący się: ,,Nie, tego nie mogę znieść'' — mówił. — ,,Kazali nam się przebrać po cywilnemu, udawać wzburzony tłum, palić i niszczyć''. (Jeszcze ludzi nie mordowano wtedy, dodaje S. starając się umniejszyć grozę tych faktów). Parę dni potem ten sam chłopiec przyleciał uradowany: ,,Te rzeczy były widocznie tylko z rozkazu niższych władz, szły od ,,złych'' podwładnych, to było nieporozumienie, dziś przyszedł rozkaz od władz wyższych, żeby tych praktyk zaprzestać, więc oni u szczytu są widać temu przeciwni''. Słucham go. ,,Entuzjasta teorii rasowych? Szlachetny?''

,,Opowiem panu historię, która się zdarzyła mojej siostrze we wrześniu 1939 roku. Niemcy zatrzymali się na Narwi. Z trójką drobnych dzieci siostra moja chciała przez Narew przedostać się z wschodu na zachód. Rosjanie właśnie wchodzili do powiatu węgrowskiego, gdzie mieszkała w majątku krewnego. Wiedziano już o grożących wywózkach ziemian do Rosji i szeregu rozstrzeliwań. Siostra chciała uciec pod Kraków. Przy moście siedziała na wozie otoczona przyglądającymi się jej żołnierzami niemieckimi. Czekała czy ją przepuszczą. Odpowiedź przyszła odmowna. Żołnierze niemieccy gapili się na wóz i kpili. ,,Pani

mąż pewno generał. Wszyscy Polacy generałowie... Nie w wojsku? Chory na serce? Naturalnie, wszyscy Polacy chorzy, boją się wojować, a my wojujemy wszyscy". Wśród tego tłumu stał jeden młody Niemiec o rasowej twarzy. Milczał i uparcie patrzał na najmłodszą córeczkę, którą siostra trzymała na kolanach. Dziewczynka miała łzy w oczach, była przerażona i lekko poruszała ustami, modliła się. „Może uratuję, może też ma córeczkę, może ona go wzruszy" — myślała siostra. Nagle Niemiec podszedł: „Proszę pani ja nie mam prawa przeprawić was przez most, ale gotów jestem to zrobić jeżeli mi pani coś przysięgnie, *wenn Sie mir etwas schvören"*. Siostra aż się wychyliła z wozu ku niemu: „Ależ naturalnie przysięgnę Zrobię, co będę mogła".. Błysnęło jej w głowie, że może on ją będzie prosił by się zajęła kimś, by pomogła komuś, kto jemu był bliski. „Musi mi pani przysiąc" — powiedział ciągle patrząc na dziecko — „że dzieci swoje wychowa pani *w całkowitej* wierności i oddaniu Trzeciemu Reichowi".

Siostra odruchowo (była ku niemu wychylona) wróciła do dawnej pozycji i odpowiedziała: „Nie *tego* nie przysięgnę". Oficer powiedział wtedy jedno słowo rozkazu: *„Züruck"*. I matka z dziećmi wrócić musiała skąd wyjechała z uczuciem, że są skazani. Wszystko potoczyło się inaczej. Niemcy nie zatrzymali się na Narwi, poszli dalej, bolszewicy cofnęli się, nie zagrzawszy nawet doby w Węgrowskim. Ale to był dialog ludzi, którzy widzieli w tym zakazie wyrok jeżeli nie pewnej to prawdopodobnej zagłady matki z trojgiem małych dzieci. Opowiadałem tę historię wielu ludziom, dla wszystkich, dosłownie dla wszystkich, postępowanie Niemca wydawało się monstrualne, nikt nie próbował nawet wnikać w mechanizm jego odruchów.

Słuchał bardzo uważnie. Nic mi nie odpowiedział. Nie pierwszy raz widziałem tę reakcję, na rzeczy które robiły na nim wrażenie. Reagował zawsze o wiele później.

16 *maja*. — Pogoda przecudna, lekkie obłoki na oślepiającym niebie, prażące słońce, ale świeży powiew. Dziś przejeżdżamy przez równik. Smarowanie mąką, smołą, marmeladą turystów w kostiumach kąpielowych przez Neptuna w papierowej koronie i różne inne idiotyzmy. Bawią się naturalnie dzieci. Ale ta reszta? Dziś kiedy przejazdy przez Atlantyk są dla wielu tym samym co przejazd tramwajem, administracja każdego statku przecie seryjnie załatwia ten obyczaj, z którego został „ogryzek" bez smaku.

W chwili gdy cała publika na pływalni wita przebycie równika — w małym barze, aż czarno od zakonnic. Jakiś ksiądz do nich przemawia po włosku. Mam wrażenie, że nie trafiłem do baru ale na jakieś zebranie ludzi, którzy nie zapomnieli o katakumbach, którzy żyją w innym świecie. Ten chrzest jest dla nich jeżeli nie aktem bluźnierczym, to w każdym razie gorszącym.

Na leżaku, na pokładzie samotny S. ze swoimi książkami. Układam się obok.

„Myślałem dużo o tym co pan mi wczoraj opowiadał... To spotkanie siostry.. Nie umiem zaraz reagować. Widzi pan ten młody Niemiec... ten oficer był na pewno *ideowy*, on *wierzył* w wyższą rasę, wierzył, że nie tylko ratuje ale *daje* coś siostrze pana i dzieciom".

Teraz ja zamilkłem, w pierwszej chwili dosłownie zgorszony. Czy jest możliwy kontakt z Niemcami, jeżeli u najlepszych odruchowa reakcja na opowiedziany nagi fakt jest tak różna. Opowiadam mu wówczas o wywiezieniu przez Niemców dzieci z lubelskiego, które też zdecydowano uszczęśliwić, odrywając je od rodziców i wprowadzając w krąg „wyższej rasy", o zelektryzowaniu nie wiadomo jak zmobilizowanej Warszawy na ratunek tych dzieci. W godzinach gdy pociąg stał na warszawskich bocznych torach (*), wykradano je z wagonów; nieznani ludzie, nieznane dzieci, w śmiertelnym niebezpieczeństwie ratowano od szczęścia „wyższej rasy".

Niemiec słucha bardzo uważnie i znów milczy.

Im więcej myślę wstecz o naszej rozmowie tym większy mam szacunek dla mego rozmówcy. On *znał* tę młodzież, obałamuconą teorią rasy, w oczy jej pątrzył, młodzież, która umierała dla tej rasy, identyfikując ją z ojczyzną (*Sie sind gefallen weil sie ihre Heimat liebten* (**) — ten napis widziałem na opuszczonym cmentarzu z tamtej jeszcze wojny, na Huculszczyźnie). Ten wnikliwy człowiek próbował nie sądzić, a zrozumieć i mnie pchnąć ku zrozumieniu i wyrozumieniu. Ale czyż nie wiedział, że młodym chłopcom tacy sami oficerowie kazali patrzeć na niewinnych, rozstrzeliwanych na placach warszawskich, że kazano im kopać konających bojowców dla zahartowania, że młodzież ta robiła wyprawy pod kierownictwem starszych na cmentarze, gdzie kazano im łamać wszystkie krzyże i niszczyć pomniki. (W Mordach, w Siedleckim — młodzi SS tak zniszczyli cmentarz i połamali na kawałki Madonnę, przed którą od lat dzieci przychodziły na wieczorną modlitwę).

Pod wpływem S. analizuję siebie. Gdzie jest *granica* między tym co Niemcy dźwigają od Hitlera jako współodpowiedzialność za zbrodnie reżymu i tym co każdy z nas dźwigał i dźwiga. Czyżby to była tylko różnica ilościowa? Czy zbrodnia w imię sprawy, idei, zasad mniej nieludzkich jak hitleryzm jest mniejszą zbrodnią, bardziej wybaczalną? Dziś wiemy, że w Łucku polska policja torturowała politycznych, opis tych tortur znajduje się w książce, tak wiarygodnej, Weissberga-Cybulskiego. Przypominam sobie, że zabiegałem u szczytów hierarchii policyjnej przed 1939 rokiem o komunistę, przyjaciela jednego malarza. Otrzymałem po paru miesiącach uprzejmą odpowiedź, na pięknym papierze, że sprawa jest w badaniu. Czy nie daje mi to możności zrozumienia czym była *tajemnica* obozów w Niemczech? Podświadoma obrona przeciętnego Niemca (i moja) by

(*) Korboński: *W Imieniu Rzeczypospolitej...*
(**) Oni polegli, bo kochali swoją ojczyznę.

nie wiedzieć więcej. ,,Przysięgam panu, że o tym nie wiedziałem nic'' — słyszę jeszcze głos S. Pacyfikacja ukraińska, wiedzieliśmy o niej, za mało wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy jednak również o jej okrucieństwie. Czy moja reakcja wychodziła poza liberalne oburzenie, które mi do tego jeszcze niczym nie groziło, bo w Polsce nie było Hitlera?

Od czasu długich rozmów na leżakach pokładu z S., pierwszym Niemcem, z którym mówiłem zupełnie szczerze, sprawa odpowiedzialności niemieckiej nie przestała wcale dla mnie istnieć, ale stała się mniej wyłączna. Kto z nas nie jest współodpowiedzialny? ,,Polacy złote ptacy...'' to za łatwe i za wygodne.

Gran ballo, bal monstre na równiku. Kostiumy, serpentyny, huczna orkiestra, wszystko na chwałę równika. Szał tańca i zabawy. Patrzę na młodzież: roztańczoną, wirującą, tworzącą łańcuchy, węże, kółeczka, śpiewającą chórem włoskie, hiszpańskie pieśni. Nawet starzy są porwani tym wirem i nawet oni, kwadratowe baby, mężczyźni o cerach kadawerycznych czy malinowych, nie wydają mi się śmieszni. Przestałem ich widzieć jak na początku, jak okropne stado krabów i jaszczurek. Biorą udział w niewinnej orgii młodzieży i mają miny szczerze zachwycone.

Królową jest młodziutka dziewczyna, Włoszka z Modeny, w sukni z białej koronki, o bardzo śniadej cerze, zgrabna, ma toczone kształty i wielkie czarne oczy. Nazywam ją Bisia. Tańczy z młodym, ciężkawym Urugwajczykiem, ani on, ani ona nie widzą dosłownie nic poza sobą. Ich twarze są jakby oczyszczone szczęściem, szczęściem prawie tajemniczym. Dlaczego i na tę parę nie umiem patrzeć błogo? Znowu widma. Widzę inną kobietę, do niej nawet fizycznie uderzająco podobną. Ta sama kruchość i rasa, te same lekkie woreczki pod oczami, uśmiech nieśmiały, jakby z innego brzegu, to samo spojrzenie — ładunek szczęścia. *Przecie to było wczoraj.* Jej małżeństwo z wielkiej wzajemnej miłości, dzieci — nagła choroba umysłowa męża, to gwałtowna, to zaleczana, jej obecność przy nim nieustanna i niezbędna; wojna, wkroczenie bolszewików, ucieczka z piątką dzieci, on porwany, pierwsze rozstanie, wywieziony, okrutne słuchy, i głucha cisza, a potem jeszcze dwa lata Ravensbrück.

Dziś ona cichutka, w szpitalu na wspólnej sali, suchoty; dwa lata nakazanej całkowitej nieruchomości. Od tamtej chwili rozstania nikt nie widział jej uśmiechu, nie słyszał słowa skargi.

Dogoniły mnie widma.

Józef CZAPSKI

"Piękna sztuka pisania"

Pisać — to znaczy spojrzeć wstecz,
to znaczy zatrzymać się...

A. Rudnicki.

Przez wiele długich lat brudna powódź uderzała o pióra pisarzy polskich w Kraju. Osaczeni szukali ratunku, ale na dłuższą metę wszystkie sposoby zawodziły. Pozostawało tylko samobójstwo przez milczenie, lub mowa po okaleczeniu ust. Czasy były tak duszne i ciemne, że kto chciał żyć, prędzej czy później ruszał jedyną drogą, jaką mu pozostawiono. Tylko że tunel nie prowadził do światła.

Pisarzy starszego pokolenia osamotniono, wabiąc ledwiepiśmienną młodzież nagrodami i nakładami; zamiast terminować u mistrzów zaczęła udzielać im lekcji. Tym, którzy uczenie rozróżniali wina wepchnięto nagle przed oczy flachę samogonu o atrybutach boskości.

I starzy i młodzi byli to ludzie uczciwi, ale uderzała o nich brudna powódź. Tylko nieliczni trzymali wysoko niepodległe pióro. Adolf Rudnicki, jeden spośród nich, nie ,,pochylał się nad wskazaniami Partii'' i nie odbierał chleba dziennikarzom, opisującym z dnia na dzień wyrastającą z gruzów Warszawę.

Pisząc o nim rok temu, oddałbym mu niedźwiedzią przysługę. Dziś głos mój utonie, zagłuszony gwarem cisnących się do niego przyjaciół, którym odwilż odmurowała usta; nie mając na tyle cywilnej odwagi, aby się przyznać do smutnego tchórzostwa, sypią pochwałami. Było to smutne tchórzostwo. Często bowiem zapierali się Rudnickiego ludzie, którzy sami siebie nazywali ,,wielbicielami jego wielkiego talentu''.

Mam na myśli Ryszarda Matuszewskiego, oficjalnego krytyka, który ogniem i mieczem przyśpieszał przyjście socrealizmu. 29-go maja br. ,,Nowa Kultura'' ogłosiła jego list pt. *Bardzo niedobre obyczaje,* w którym to liście Matuszewski wyraża oburzenie z powodu napaści dziennikarza krakowskiego Polewki na Adolfa Rudnickiego. Ordynarny ton napaści jak również insy-

nuacje na temat rzekomej wrogości ideowej autora „Ucieczki z Jasnej Polany" oburzyły Matuszewskiego, który pisze: „...jestem pewien, że Polewka nie ośmieliłby się nigdy *w taki sposób* polemizować z Dąbrowską, Iwaszkiewiczem, Słonimskim czy Żukrowskim. Tylko Adolf Rudnicki jest tą „bête noire" ponurych nadgorliwców. Tylko o nim pozwalają sobie oni pisać *takim tonem".*

Tu nie o ton chodzi jedynie. Wierny partyjnik Polewka być może nie wie jeszcze o stołecznej odwilży. Jak gdyby nigdy nic ostrzega przed „naciskiem wzmożonych żywiołów drobnomieszczańskich", atakując Rudnickiego. Polewka to prowincjonalny dziennikarzyna, ale natchnienie swe czerpie „z góry", z tekstu warszawskiego krytyka, który w maju 1950 tak pisał o Rudnickim: „Buntując się wewnętrznie przeciwko akcentom zamykającym utwory takie, jak „Czysty nurt", „Ginący Daniel", „Szekspir", „Wniebowstąpienie", ufaliśmy, że przezwycięży je rzeczywistość nowej epoki, skoro tylko pisarz zwróci się ku niej... Byliśmy autorowi wdzięczni, że swego najgłębiej pesymistycznego i w pesymiźmie swym oraz akcentach niewiary w człowieka najgłębiej ideologicznie fałszywego opowiadania „Scedzone wino"... do książki swej nie włączył. Uważaliśmy je za dno kryzysu świetnego pisarza. Kryzysu, który skłonni byliśmy uważać za krótkotrwały... Okazało się, że kryzys pisarski Adolfa Rudnickiego trwa nadal. Niewątpliwym jego przejawem jest bowiem „Pałeczka". Nie pomyłką, nie przypadkowym nieporozumieniem, ale konsekwencją spotęgowania się czynników, które już przedtem stanowiły niebezpieczeństwo dla twórczego rozwoju pisarza".

Są to słowa Matuszewskiego. Teraz już wiemy na kim wzorował się Polewka, skąd dowiedział się o „ideowej obcości" Adolfa Rudnickiego. Warto zresztą zauważyć z jaką surowością podkreśla Matuszewski ideologiczną obcość „Pałeczki" pisząc iż książka ta nie jest bynajmniej pomyłką, ani też przypadkowym nieporozumieniem...

Gdzie indziej, omawiając „Pałeczkę", Matuszewski, jak inkwizytor mający swe słabości, udaje że oszczędza Rudnickiego. Mógłby go wykończyć, ale po co? Oto jak pisze (pytajnik w nawiasie pochodzi od niego): „Nie chciałbym zatrzymywać się nad zdaniami takimi jak te, że „człowiek cierpi i cierpieć będzie zawsze (?), dlatego że jest człowiekiem", że „świat dzisiejszy nie wszystkie cierpienia obchodzą", że „nic się nie dokonuje bez łez"... Nie chciałbym przeprowadzić ideologicznej analizy tych zdań noszących wszelkie cechy wypowiedzi odautorskiej, a w każdym razie krytycznie przez autora nie skomentowanych".

Nie chce przeprowadzać ideologicznej analizy, ale oficjalnym palcem wskazuje samotnego twórcę, podając kierunek obławie.

Tak pisał Matuszewski w maju 1950. A w maju 1955, we wspomnianym już liście pisze: „W dziwnej sytuacji jest u nas Adolf Rudnicki. Atakowanie go jest w pewnych — nazwijmy je

po imieniu! — sekciarskich kołach równie modne, snobistyczne i „w dobrym tonie", co takież snobistycznie pochwalne „achy" i „ochy" ze strony zupełnie przeciwnej".

A teraz, zanim otworzymy „Żywe i martwe morze" (*), powróćmy na chwilę do „Pałeczki".

W roku 1950, kiedy socrealizm przestał być sprawą jutra, stawszy się jedynym i obowiązującym kanonem twórców polskich, ukazała się „Pałeczka". Czytając tę książkę, domyślamy się bez trudu, iż problemy w niej poruszone nurtowały wówczas wszystkich pisarzy i plastyków. Były chlebem powszednim ludzi próbujących uchwycić równowagę pośród umykającej im z pod nóg rzeczywistości.

Większość pisarzy wymawiała głośno jedynie te zdania, które zaróżowiła wiara w przyszłość socrealizmu, milczeniem zaś nakrywała cały proces myślowy, pełen wewnętrznych zmagań i oporów. Wtenczas, a nie kiedy indziej zrodziło się pojęcie utworów „pisanych do szuflady", utworów, którym jakieś nieokreślone kiedyś miało umożliwić ukazanie się drukiem.

„Pałeczka" jest właśnie książką tego rodzaju, z tą jednak różnicą, że autor oddał ją po prostu do druku. Wówczas bowiem, jak i zresztą teraz, prowadził jedną księgowość; jest nią twórczość w imię dumy człowieczej.

Krytycy krajowi, hołdując nakazom dnia partyjnego, nie dojrzeli w „Pałeczce" nic więcej poza obrazem mieszczańskiego środowiska pisarzy o dość poplątanych powiązaniach sentymentalnych. Z grubsza rzecz biorąc, można by całą fabułę uznać za rozpisanie na głosy znanego motywu, który Heine wyraził w rzewnym wierszu „Ein Jüngling liebt ein Mädchen, Die hat einen andern erwählt;/ Der andre liebt eine andre,/ Und hat sich mit dieser vermählt..." Tylko że „Pałeczki" nie można oceniać z grubsza. Nie wolno przyczepiać się do samej fabuły, trzeba zdać sobie sprawę jak została ujęta i wzbogacona.

Szekspir użyczył Rudnickiemu nocy, która unosi i zbliża, zbliża i rozdziela efemerydy ludzkie w pogoni za trudnym szczęściem wyboru. Krążą wśród nocy świętojańskiej, którą niedawny pożar odarł z fosforyzującej liryki, i zatrzymują dłoń w połowie gestu.

Gdyby Rudnicki był dał „Pałeczce" formę dramatu bylibyśmy otrzymali nowe „Wesele". Zresztą i w obecnej formie „Pałeczkę" można by wystawić.

Szkoda że autor oznaczył osoby dramatu jedynie imionami. Nadało im to zupełnie niepotrzebnie pozór tworów literackich. Nic tak nie wyodrębnia i nie zwiera charakterów jak dobrze dobrane nazwisko. A „Pałeczka" nie ma w sobie nic z sielanki. Dźwiga treści współczesne, obnaża je, nie szukając dla nich łatwego cienia. Niech nikt nie próbuje utożsamiać autora z tą

(*) Rudnicki Adolf. *Żywe i martwe morze*, wyd. 2 rozszerzone. „Czytelnik", Warszawa, 1955, str. 709.

czy inną osobą dramatu. Jest wielousty i każdy głos wspomaga swym gorzkim, współczującą samotnością wyostrzonym umysłem. Jest w tej książce nurt męskiej wstydliwości i rzetelności uczuć, zdolnych raczej do zadania bólu przez milczenie aniżeli do kłamstwa przez litość.

Kiedyś specjaliści zajmą się osobno stylem „Pałeczki", językiem trafnie wyszukanym jak i mozaikowo opracowaną atmosferą, której najkapitalniejszym przykładem jest monolog redaktora „Ekspresu". Krystalizuje on wokół siebie więcej polskiej ówczesności, niż tony tomów wychodzących spod piór patentowanych „twórców ludowych".



Krytyka krajowa zarzuca Rudnickiemu obsesję jednego tematu. Według niej autor „Złotych okien" stale i ciągle pisze o Żydach, o ich eksterminacji — jak gdyby świat nie toczył się naprzód.

Ci którzy tak sądzą i piszą zapominają o rzeczy najważniejszej, o tym że Rudnicki jest pisarzem zaangażowanym. Zaangażowanym płomiennie i absolutnie. „Żywe i martwe morze" jest wielką książką twórcy związanego na życie z wczorajszą rzeczywistością zagłady Żydów polskich. Można rzec bez przesady iż celem twórczego istnienia Rudnickiego jest podtrzymywanie wiecznej pamięci o tamtej, bezbronnej śmierci milionów.

„Giną" — szeptała. — „I giną bez śladu. I nic prócz gruzu, popiołu i niejasnej pamięci po tym ogromie życia, miłości, cierpień, obyczajów, umiejętności nie pozostanie. Po nich, którzy byli powietrzem dla naszych płuc, naszym najpiękniejszym życiem.

...Żeby to choć ktoś napisał. Wzniósł wysoko pod słońce, dał świadectwo ich życiu i temu nieludzkiemu i tak pięknemu ich końcowi. Jeśli jeden pozostanie, niechby on to w Biblii napisał. Żeby ludzie zza siódmego morza przyjeżdżali pod te mury i tak płakali jak my dzisiaj".

A oto słowa pisarza, jego credo:

„Gdy się jednak uroda życia ustali, ostrości ułagodzą, gdy zmęczenie minie i dźwigniemy się z twórczego upadku, gdy każdy z nas w swej sztuce wróci do tych prawd, które w minionych latach, kiedy się lepiej i głębiej widziało — wydawały się najważniejsze i obowiązujące — ja, ja zechcę wrócić do wskazania przejętego od młodej kobiety w pobliżu Muranowa, przy łunie płonących domów, wśród wybuchów pocisków i spazmu ludzi, „co, lecieli jak groch", wśród piekła śmierci i piekła obojętności...

Będę chciał pamiętać słowa tej młodej czarnej kobiety, która nie doczekała".

„Wielkanoc", z której przytaczam powyższe ustępy, napisał Rudnicki w kwietniu 1945. I po dziś dzień nie odstąpił ani na jotę od wytkniętej wówczas linii twórczej. Tylko takie zaangażowanie może dać wielką sztukę, jest bowiem bezwarunkową wiernością dla treści, które miłujemy nade wszystko. Jest pisaniem w jasnym przymierzu z nimi, bez oglądania się na łaski lub niełaski wynikające z takiej postawy.

Podejmując zresztą piękny i bolesny trud odbudowy ludzkiej pamięci, autor wybiega daleko poza epos narodu. Wokół Getta, jak wokół ginącego źródła, można było jak najprawdziwiej ujrzeć człowieka. To co z niego zostało. Żyd mordowany, Niemiec mordujący i Polak przypatrujący się widowisku jak najbardziej cudzej śmierci — składają się na człowieka pierwszej połowy dwudziestego stulecia.

„Żywe i martwe morze", którego drugie wydanie autor wzbogacił o nowe opowiadania, to jedyny u nas utwór pomyślany i zbudowany po epicku. Wiemy, że autor nadal pracuje nad swym ogromnym freskiem, wbudowując weń nowe postacie i nowe śmierci.

Byłoby rzeczą niemożliwą wyczerpać w jednym artykule wszystkie nurty epopei, dlatego też zajmę się tylko tym, co przemówiło do mnie najgoręcej, zdając sobie sprawę z fragmentaryczności mych wrażeń.

I tak opowiadanie „Wielki Stefan Konecki" porusza złożoną kwestię asymilacji polskich Żydów, dokładniej — ich intelektualnej elity.

Raz po raz od trzymilionowej masy odrywały się utalentowane i cenne jednostki, aby się włączyć w nurt kultury polskiej. Opuszczały swój „chory naród" i jego dwutysiącletni kielich goryczy, aby żyć i tworzyć tam, gdzie był „gar bigosu" — jak lapidarnie określa autor pewien aspekt polskości. Pisarstwo ich było jednak „pseudonimowe", bo każdy z nich „prześlepił morze, aby się zmieścić w ich wąziutkim strumyku".

Żydowskie morze, które porzucał pisarz żydowski dla innych rzek czy strumieni, jest morzem trudnych i bolesnych treści. Wierność dla niego jest w oczach Rudnickiego najważniejszym warunkiem nie tylko wielkiego, trwałego pisarstwa, ale świadczy o człowieku, jest więc zagadnieniem moralnym.

Za konkretny przykład zupełnej asymilacji wziął Rudnicki Ostapa Ortwina, znanego, lwowskiego krytyka, którego bez trudu poznajemy w „Wielkim Stefanie Koneckim". Przyjęcie polskości posunęło się u niego tak daleko, że nawet wtedy gdy Niemcy mordowali jego braci-Żydów, nawet wtedy spogląda na ich los oczami *obojętnego* Polaka. Autor wymierza mu sprawiedliwość, każąc Koneckiemu umierać jako na wpół obłąkanemu strzępowi ludzkiemu, śpiewającemu cichym głosem... starą melodię żydowską. Nadchodząca śmierć nie uznała *takiej* asymilacji.

Pomimo iż godzę się z autorem w ocenie sytuacji, żałuję że tak twardo, jakby z uśmiechem triumfu, mówi o tragicznym losie Koneckiego.

Konecki był starcem w chwili, gdy Niemcy zajęli Lwów. Całe jego życie było wynikiem wyboru, słusznego lub nie, dokonanego *przed pół wiekiem*. Być może iż wówczas polskość, jej kultura i marzenia o niepodległości fascynowały młodych Żydów tak, jak w kilka dziesiątków lat później do wyobraźni ich przemawiała walka o sprawiedliwość społeczną i komunizm.

(por. ,,Józefów'', ,,Koń''). Szkoda, że Rudnicki, po mistrzowsku i drapieżnie portretując Koneckiego, nie pozwolił mu skorzystać z tej niemałej, jak sądzę, okoliczności łagodzącej.

Czego domaga się autor ,,Żywego i martwego morza'' od braci swych, przedwojennych Koneckich? Żąda, aby zamiast słopiewni i mówienia o zieleni bili w wielki i niemilknący dzwon dumy i godności narodowej. Aby, zamiast przechodzić na stronę Polaków, mocą swego talentu osłaniali swój naród przed pogardą.

,,Trzeba było bezlitosnym być wobec siebie, żyć za cenę mówienia, a nie milczenia. Wygrałby pan jako pisarz i wygralibyśmy może my wszyscy jako ludzie. Najbliżsi, najdrożsi umieraliby może inaczej. Nie w błocie, w plwocinach, we wzgardzie...''

Słowa te kieruje autor do Koneckiego.

To prawda, że pisarze polscy, Żydzi, unikali doli narodu. To prawda, że raczej dowcipem i fraszką oślepiali na chwilę krążącego kołem antysemitę, albo chrzęścili aktem chrztu, swoim lub swych rodziców. Ale to *też* była dola żydowska. Pamiętajmy, że żyli w czasie pogardy, kiedy domorosłemu faszyzmowi pozostawiono wolną rękę. Kastet, żyletka i pomyjowo-,,narodowa'' prasa chciały oczyścić naród Chrobrego z nalotu żydo-komuny. Społeczeństwo, w najlepszym razie, patrzyło na to z obojętnością — a garść socjalistów była równie bezbronna jak prześladowani.

Trzeba było być wówczas człowiekiem wielkim i niezłomnym, aby móc ,,żyć za cenę mówienia''. Takiego mówienia, jak je rozumie Rudnicki.

Czy mamy prawo wymagać od innych, aby żyli najtrudniej? Czy wolno nam sądzić słabych i w postępowaniu ich widzieć jedynie oportunizm? Tym bardziej gdy, jak Konecki, mówią nam: ,,ja nie mam sił. Ja nigdy nie czułem się na siłach dźwigać ten krzyż, ten nieludzki krzyż!''

Rudnicki wie, że ,,gorzki kielich'' jest i jego udziałem, i dlatego pisze: ,,Czy tylko Konecki bał się tego krzyża? A ja? ..., czekając na przejście pod murami, uprzytomniłem sobie, że drżę nie od dzisiaj, że nasz krzyż i mnie zawsze przerażał. Mnie także''.

O ile w swych dotychczasowych opowiadaniach, przedstawiających Żydów polskich, Rudnicki rozkładał emocję, która wstępowała, lub rozwijała się faliście — o tyle w ,,Złotych oknach'' reakcja uczuciowa czytelnika uderza od razu o pułap wzruszenia i trwa tak nieprzerwanie aż do końca opowieści. ,,Złotych okien'' nie czyta się zwyczajnie. Czytelnik nie jest tu stroną aktywną, która podporządkowuje tekst swej świadomości. Od początku do końca ,,Złote okna'' zadają gwałt naszej dotychczasowej metodzie poznawania książek. Nie podobna zebrać myśli, mając wyobraźnię zanurzoną w tysiąckrotnie pona-

wianej śmierci. W obliczu Apokalipsy czytelnik wycofuje się na linię człowieka. I dlatego tak trudno mówić o sztuce tego opowiadania.

Z budowy „Złote okna" zbliżone są najbardziej do „Wrót piekieł" Rodina. Tu i tam widać jedynie mnóstwo rąk wołających. Naród zbity w gąszcz i poddany próbie płomienia. To jest wielkością utworu, cierpienie tak wieloimienne, że aż bezimienne. Dlatego też godzę się z Kijowskim, gdy w „Nowej Kulturze" pisze o bohaterach „Złotych okien": „Ci natomiast, wyodrębnieni, jedyni, mało nas obchodzą, są przeźroczyści, nawskroś prześwietleni wielkim pożarem".

Na tle huczących organów wielkiej, żałobnej muzyki losy Józefa, Elżbiety, czy Marka są motywem niemal że kameralnym. Nie trzeba oczywiście tracić z oczu proporcji. Jest to zaledwie skaza na pomniku.

Absurdalna śmierć Józefa i Elżbiety, głupia i za łatwa wobec tamtej zza murów, zatrzymująca istoty ludzkie tuż przed szczęśliwszym zakrętem losu, jest jednym z przykładów filozofii twórczej autora. Jest jego częstym CHWYTEM. Nie ma to nic wspólnego z pesymizmem. Swą wizję artystyczną nasyca Rudnicki kolorem smutku. W zakończeniu „Pałeczki", w „Czystym nurcie", w „Szekspirze", czy „Ignasiu Łęku", za każdym razem los posłuszny pisarzowi, powstrzymując jakiś gest, jakieś słowo, skazuje na ból i na samotność ludzi czułych i cierpiących.

Stan ten doprowadził Rudnickiego do paroksyzmu w „Danielu Ginącym". Bohater, niesłusznie oskarżony w czasie nerwowych dni Powstania, po sartrowsku szuka drugiego człowieka, który by potwierdził jego niewinność. Ale Przypadek oddala tych, którzy mogliby zaświadczyć. Jak Józef K. w „Procesie" Kawki, Daniel ginie, nie zdoławszy dotrzeć do sprawiedliwości.

◆

Pięknu trzeba mocnego ramienia. Co za szczęście, gdy człowiek oprócz talentu posiada jeszcze siłę charakteru. Bowiem nie kwiaty winien chylić ku ludziom wielki twórca, lecz drzewo kwitnące. Co wyróżnia Adolfa Rudnickiego spośród pisarzy krajowych? Pomijając sprawę talentu, przede wszystkim prawość i anty-oportunizm. Dzięki nim — jak wieża kościoła pośród krajobrazu — w każdym jego opowiadaniu tkwi zawsze obecna moralność. W przeciwieństwie do Borowskiego, nigdy nie patrzy na ludzi oczami z innej planety.

Prawość jest odwagą, i autor jest chyba jedynym pisarzem, który odważył się dotknąć pewnych przemilczanych w Kraju spraw. Przedstawiając Rosjan opuszczających Lwów, pisze: „Rosjanie i Ukraińcy zza Zbrucza z małymi tobołkami lub bez, ładowali się na ciężarówki zostawiając wszystko w co obrośli przez czas pobytu na tych

ziemiach", (podkr. moje, M. P.). Gdzie indziej znów pisze o Bukinie, że „zmienił mieszkanie, lecz nie dał się wywieźć, co było niemałą sztuką". (Chodzi o wywózki tzw. bieżeńców w głąb Rosji). Jedno z opowiadań dedykuje Rudnicki powieściopisarce emigracyjnej Marii Kuncewiczowej, gdzie indziej znów wspomina nazwisko Wierzyńskiego.

Ostentacja z jaką to czyni jest dowodem nie tylko bezkompromisowości, ale także sympatycznej, młodej przekory. Można by zażartować, że jak tak dalej pójdzie, odwilż gotowa zeń zrobić zawziętego marksistę...

Niestety, postawa jego nie zawsze jest tak bezkompromisowa. „Żywe i martwe morze" zawiera dowód odstępstwa od tej linii. Opowiadanie swe, „Major Hubert z armii Andersa", oparł autor na argumencie podanym w sposób bardzo nieprzekonywujący. Chodzi o Katyń. Znany malarz polski, przedwojenny przyjaciel narratora, nie chce wracać do Kraju, ponieważ „uwierzył temu, co głosiła propaganda niemiecka, że Katyń był dziełem Rosjan". Ponieważ Rudnicki dobrowolnie zajął się tym tematem i z współczującym pobłażaniem wyraża się o Majorze Hubercie, ciekawi jesteśmy, co daje mu tę przewagę nad emigrantem? Jaka wiedza? Nic. Aż dziwi półtorastronicowe rusztowanie dialektyczne (ukazujące Żydów ufających bardziej Niemcom niż Rosjanom, bo Niemcy to europejczycy), na szczycie którego Rudnicki zatknął następujący argument: „Hubert również uwierzył, że Niemcy nie byli zdolni do Katynia, który nam, w kraju, znającym zdolność hitlerowców w tej dziedzinie, wydawał się czymś dla nich na jeden ząb".

Major Hubert bynajmniej nie powątpiewał o zdolnościach ludobójczych hitlerowców, ale w przeciwieństwie do autora, był na miejscu. Wie kiedy i jakimi grupami wywożono jego kolegów z Ostaszkowa i Starobielska. I wie jakim językiem mówili konwojenci.

Rudnicki, przytaczając swą paryską rozmowę z Majorem Hubertem, ukazuje swego rozmówcę bardzo jednostronnie, powtarza nam tylko te spośród jego słów, które są cierpieniem i łzą, a opuszcza inne, będące gorzko doświadczoną prawdą i oskarżeniem. Właśnie w imię tej prawdy Major Hubert powziął decyzję pozostania na Emigracji.

Jeżeli Rudnicki uwierzył w to, o czym dowiedział się od Majora Huberta (a jestem pewien, że nie wątpi o jego prawdomówności), nie powinien był napisać tego opowiadania, ponieważ żyjąc w Polsce Ludowej, nie mógł przedstawić sprawy Katynia zgodnie z prawdą.

Czy istniała kiedykolwiek dyktatura tak łamiąca charaktery — i kusząca najszlachetniejszych do chwilowych choćby kompromisów?...

„Żywe i martwe morze" zawiera między innymi opowiadanie, które jeżeli chodzi o styl, o ton — jest arcydziełem. Mam na myśli „Autoportret z dwoma kilogramami złota". Na ciem-

nym tle okupowanego przez Niemców Lwowa jasną, blond linią rysuje autor przygody młodego pisarza, obnoszącego swój uśmiechnięty, księżycowy egotyzm. Trzeba podziwiać dwuwarstwowość emocjonalną opowiadania, sugestywność scen graniczących z nadrealizmem i niezrównane wykorzystanie zbanalizowanego już tematu czarnego rynku. Wszystko jedno, czy jest to autoportret, czy fikcja, czy też przemieszanie obu rodzajów. Ludzie, z narratorem na czele, widziani są poprzez szkło łagodnej ironii. A wszystko to wyraża się przez porywający, filmowy styl opowiadania i świadczy raz jeszcze o tym, że Rudnicki jest jednym z niewielu, którzy tworzą w imię sztuki pisania.

◆

Od przeszło roku ogłasza Rudnicki ,,Niebieskie Kartki". Jest to chyba najpiękniejszy kolor odwilży. Co tydzień krajowy tygodnik ,,Świat" przynosi nowy tekst będący zawsze obroną. Obroną sztuki przede wszystkim, dławionej przez tępych grubokarkich urzędników.

,,Sztuka ... ginie natychmiast, ... gdy nie wznosi rzeczywistości. Wzajemne przenikanie się elementów fizycznych i metafizycznych wciąż stanowi najwyższą tajemnicę sztuki, ono to właśnie decyduje o tajemniczej równowadze. Przerost jednych elementów nad drugimi jest zabójczy. Człowiek żyje w wielu wymiarach na raz, jego dusza jest miejscem krzyżowania się tysiąca sprzeczności".

Czyżby Adolf Rudnicki był jedynym pisarzem w Kraju, który myśli w ten sposób? Na pewno nie. A inni? Inni, exprawicowi, postępowi katolicy, zaplątani po szyję w deklaratywnym, parweniuszowskim marksizmie, nie mogą t a k o d r a z u podnieść głowy, toteż chwalą... Rudnickiego.

,,Kartki Niebieskie" powyrywane są z elementarza człowieczeństwa. Autor zbiera je skrzętnie pośród trudnej, bezlitosnej codzienności, zbiera je przede wszystkim w sobie, we własnym doświadczeniu, pośród samotności, osaczonej jeszcze wczoraj przez partyjnych macherów od spraw sztuki. On jeden mówi do zmęczonych, steranych ludzi ciepłym, braterskim słowem łagodnego mężczyzny. Czyni to w imię ciała i duszy, w imię życia.

◆

Wierność Ojczyźnie młodości. Opowiadania Rudnickiego zawierają wiele wzruszających akcentów świadczących o prostej, synowskiej miłości do Polski.. Jest pisarzem krajowym, który nie opluł poległej ojczyzny ,,za cenę mówienia". Jest jedynym, który w Polsce Ludowej odważył się tak wspominać Lwów pod okupacją sowiecką i siebie ,,chorującego na Polskę".

Pisze: ,,Odpychało mnie od ludzi, którzy przeszli przez świeże zwłoki ojczyzny mówiąc, że pozostawili za sobą trupa s a n a c j i. Trup był

ojczyzny, trup był narodu, nie sanacji, sanacja pchnęła nas tylko w dół. Jaka ona tam była ta matka — była jedna. Pluła na godnych, nie dbała o tych, co byli głodni, była okrutna i bezmyślna, ale była nasza. Była tą, której się nie wybiera".

Jeżeli w Kraju nastąpi odrodzenie, będzie ono dziełem otrząsających się z bezdusznej szarzyzny moralnej jednostek; ludzi, dla których uczciwość stanie się sprawą codzienną jak chleb i sól. Adolf Rudnicki, pisarz dwu narodów, będzie im rzetelną i braterską pomocą, gdy zechcą umyć swe czoła z miedzi a myślom swym przywrócić pionowość. Gdyż w ciągu dziesięciu długich i ciemnych lat on jeden pamiętał o sercu ludzkim, które cierpi i cierpieć będzie zawsze, dlatego że jest sercem.

Marian PANKOWSKI

Wiedeń w przeddzień uwolnienia

Dla polskiego emigranta z Londynu Wiedeń jest czymś pośrednim między starą, a nową ojczyzną. Dużo mniejszy od Londynu, ale większy od Warszawy, Wiedeń, jak Warszawa, ma pewną ilość wojsk rosyjskich, i jak Londyn, pewną ilość wojsk angielskich. Polskiemu emigreytanowi (od K. Zbyszewskiego) łatwiej dogadać się tu z tubylcem, niż na Caledonian Market, choć z pewnością nie tak łatwo jak na Kercelaku.

Rośnie emigranckie serce, gdy widzi ilość kawiarni. Każdy dom to kawiarnia, w ogóle wydaje się, że jedyne większe inwestycje w Wiedniu to rozbudowa i modernizacja tego rodzaju lokali publicznych. Tu spotyka przybysza z Earl's Courtu rozczarowanie : Tyle-a-tyle kawiarni, w każdej kawiarni tyle-a-tyle stolików, przy każdym stoliku tyle-a-tyle krzeseł — i tylko dwie partie polityczne ? Coś źle się dzieje w państwie austriackim, myśli earls-courtczyk i rusza na zbadanie zagadki. Już pierwsze trzy pół-czarne i cztery białe wina rzucają dużo światła na sprawę : Te dwie partie, to kamuflaż, czyli atrapy, czyli rzucanie kilimkiem w oczy cudzoziemcom. Dla większego zamieszania nawet te dwie partie uprawiają jedną politykę i tworzą wspólny rząd. Ale pod tą powłoką propagandową kryje się wielość opinii politycznych, ugrupowań i organizacji których liczby nie powstydziłby się Dakowski i Ognisko razem wzięci. Rzecz charakterystyczna : rozproszkowanie jest na prawym skrzydle, lewica jest ciągle jeszcze monolitem. Świadczy to o stadium rozwoju gospodarczo-społecznego kraju. Podobieństwo znów większe do Polski przedwojennej niż do współczesnej Anglii, gdzie socjalizm zdążył już w praktyce pokazać swe słabe strony i gdzie, wskutek tego, rozbieżności występują przede wszystkim w tym obozie.

U źródła wszelkich poglądów jest stosunek do Rosjan — *die Russen.* Jedna pani, której mąż jest redaktorem, twierdzi, że nowy traktat o niepodległości Austrii, to tragedia : najpierw

wszyscy się wycofają, a potem *die Russen* wedrą się do bezbronnego kraju i zajmą go w całości. Starszy pan w sąsiedniej café nie wierzy w ogóle w możliwość ustąpienia Rosjan — Amerykanie znudzili się już i teraz chcą się wycofać z honorem, więc po to ten traktat, sprzedali kraj Rosjanom! Jeszcze inny pan prorokuje odrodzenie się ,,brunatnej zarazy''. ,,Brunatni'' mają swój ośrodek w Grazu i liczba ich nie przekracza chyba tysiąca, ale dla człowieka, który spędził kilka lat w niemieckim obozie koncentracyjnym jest to już chyba wystarczającym powodem do szukania starej ciotki w Ameryce i wszczęcia starań o wizę.

Niektórzy widzą trojańskiego konia w kadłubowej Komunistycznej Partii Austrii. Partia nie ma członków, ale przy pomocy z zewnątrz może zrobić *coup d'état* na wzór czeski. Toczymy długie dyskusje, do których słoneczna pogoda i węgierski tokaj dają dodatkową podnietę. Przecież traktat zobowiązuje, przecież złamanie go, to wojna, exemplum: Korea. Odpowiedź była wzruszająca: Korea była Amerykanom potrzebna jako klucz do Chin, a komu my jesteśmy potrzebni?

Poczucie niepotrzebności jest powszechne. Najsilniejszym jego wyrazem to stopniowy naturalny ubytek ludności. Tendencja do ograniczenia rodziny dotarła już nawet na wieś. Po co żyć, jeśli życie niesie w zanadrzu tylko troski i cierpienia?

Spotykamy dziesiątki byłych Austriaków, obecnie obywateli amerykańskich czy angielskich. Emigranci z lat 1937-1954, starzy i młodzi, autentyczni uciekinierzy-przeciwnicy Hitlera i (w większości) żony żołnierzy wojsk okupacyjnych i ich rodziny. Przyjeżdżają, bo to i tanio, i *fashionable* i popisać się można przed starymi znajomymi. Łączy ich jedno: nieodparta chęć zapomnienia o starym i wrośnięcie w nowe. Dwulatek, który wyjeżdżał z mamą rok temu jako Tonerl, teraz jest już tylko Anthony choć mama jeszcze nie pokonała owego ,,th''; i mimo że nie wyszła ona poza ,,basic English'' dziecko nie śmie słyszeć innego języka. Austriackość jest niepotrzebna, balast kłopotliwy a niepożyteczny, tak jak greka w szkole. Babcia ,,Anthony'ego'' daje dodatkowy argument: tam, za wodą, trudno jest utrzymać odrębność austriacką. Jedność języka rzuca nas w grupę niemiecką. Mamy więc popierać barbarzyńców?



Jak Warszawa Wiedeń pachnie tynkiem i zaprawą murarską. Buduje się, a zwłaszcza odbudowuje, mnóstwo. Podnosi się z gruzów Katedrę Św. Szczepana, Operę, Teatr Nadworny (Burgteater), *die Russen* odnawiają dwa zarekwirowane przez siebie hotele, bo mają zamiar je oddać, tydzień temu miasto wykończyło swój dom ubezpieczeń wysokości 20 pięter itd., itd. Natomiast domy mieszkalne, zwłaszcza prywatne, powoli, lecz stale, zamieniają się w rumowiska. Jak w Anglii, ochrona lokatorów sprawia, że ,,nieumeblowany'' lokator mieszka za darmo: czynsz za 3-pokojowe mieszkanie wynosi 100 szylingów austriac-

kich miesięcznie (= 28/- sh., 1.400 fr.). Umeblowane mieszkanie kosztuje dużo, powiedzmy dziesięć razy więcej. Jest to jeden z tych paradoksalnych zakrętów, które bez żadnego przymusu logiki wziął europejski socjalizm: biedak wynajmujący klitkę za bajońskie sumy płaci subsydia zamożnym ludziom, mieszkającym w tanich miejskich apartamentach.

Stajemy w hotelu ,,Pod Królem Węgierskim'', w geometrycznym środku miasta, tuż przy katedrze. Hotel sprawia wrażenie, jakby za wszelką cenę chciał podzielić los monarchii i rozpaść się w kawałki. Kosztuje za to o połowę mniej niż jakikolwiek inny, i to decyduje. Pokoje są nienumerowane, lecz nazwane według nazwisk dawnych stałych klientów, *Stammgaste*. Mają więc swoje pokoje hrabiowie: von Borislansky, von Chorynski, von Wassilko, Koloman von Riemann itd. Z nielicznych Niemców wyróżnia się Fr. Schubert, kompensowany zresztą przez Dworzaka. Nazwiska nie-niemieckie dominują również i we współczesnym Wiedniu. Na zebraniu austriackiej młodzieży federalnej, na które niespodziewanie otrzymujemy zaproszenie, jeden z uczestników wygłasza pogląd, że Wiedeń jest nieniemiecki w 88 %. Wystarczy przejrzeć książkę telefoniczną, albo nazwiska właścicieli tak licznych w Wiedniu sklepów, aby zgodzić się z tą opinią w zasadzie — powiedzmy co do 80 % — pozostałe 8 procent może już ewentualnie budzić wątpliwości.

Kontakt z Federalistami daje nam okazję do zrobienia jedynej w swoim rodzaju wycieczki. Oto jeden z członków ruchu zmarł nagle i teraz zaproszeni jesteśmy aby wraz z całą wiedeńską grupą wziąć udział w pogrzebie, który odbędzie się w jego rodzinnej miejscowości, na pograniczu węgierskim. Jedziemy samochodami na wschód i na południe. Mijamy drogowskazy Presburg (Bratysława) 35 km., Hegyeshallm (granica węgierska) 10 km. Rosjanie, na których w Wiedniu trzeba po prostu polować, aby choć jednego złapać na kliszę, tu ukazują się tłumnie. Co chwila mijamy otwarte ciężarówki, wyładowane bojcami. Ubrani biednie, mali i niepozorni, przypominają te sławne z wytrzymałości kłusaki azjatyckie. ,,Ich witalność jest niesłychana, — mówi nasz gospodarz — tym wygrali wojnę''. Dodaję, że Zachodowi też należy się część kredytu za wygranie wojny. Nasz rozmówca zgadza się lojalnie, lecz bez większego przekonania. Pogląd, że zwycięstwo było niemal wyłącznie zasługą Rosji jest w Austrii powszechny. Wynika on z dwóch faktów: 1) Ludność męska służyła w czasie wojny w wojsku niemieckim i na własnej skórze doświadczyła, że klęska zaczęła się już w 1943, może nawet w 1942 roku, a więc wtedy gdy nie było innego frontu poza rosyjskim. 2) Tylko jedna armia wkroczyła zwycięsko do kraju na karkach ustępujących Niemców, mianowicie Armia Czerwona. Dla ,,szarego człowieka'' ma to znaczenie decydujące. Zwycięzcy, czy nie, *die Russen* zajmują jednak specjalną pozycję wśród ludności. Obserwujemy ze zdziwieniem, jak przejeżdżające wycieczki szkolne przyjaźnie machają rękami ciężarówkom rosyjskim. ,,To nie jest tak szcze-

re, jak wygląda'' — stara się obniżyć efekt nasz informator. A jednak tej przyjaźni jest więcej, niżbyśmy się spodziewali. Nie ulega wątpliwości, że jest dużo kontaktów osobistych, nieraz bardzo bliskich. Jak bliskich niech poświadczy taki fakt : w sąsiedniej wsi dwóch żołnierzy rosyjskich pobiło, po wspólnej wypitce, przyjaciół Austriaków, usłyszawszy, że jeden z nich jest komunistą. Jak dalece musiały stopnieć lody nieufności, skoro krasnoarmiejec pozwala sobie na wyznanie największej tajemnicy swego życia : niechęci do komunizmu !

Okolice Neusiedler See to teren przejściowy, gdzie resztki Alp walczą o lepsze z pusztą. Mijamy wreszcie ostatni łańcuch wzgórz i wpadamy w królestwo stepu. Trąci opisami z ,,Ogniem i Mieczem''. Niekończące się szeregi drzew wiśniowych, między nimi krzewy winne. I, jak okiem sięgnąć, ani jednej siedziby ludzkiej. Cały teren uprawiany traktorami w olbrzymim promieniu. Nareszcie Puchburg, cel podróży. Znów sienkiewiczowskie wrażenie : Rozległa osada stepowa z jedną ulicą (nazwa, oczywiście, Türkenstrasse), zakończona od wschodu potężnym chutorem obronnym z dobrze zachowanymi murami, dumnie wystawionymi figurami świętych, i nad bramą wjazdową : 1632. Obecnie w chutorze jest gospoda. Spotykamy liczny tłum miejscowych wieśniaków. Wszyscy narzekają na ceny wiśni : odbiorca płaci im 1.50 szyl. za kilo, a sprzedaje w Wiedniu po 6 szylingów! Wiśnie te kosztują w Insbruku 8 szyl., a w Salzburgu 9 szyl. Znów uderzające podobieństwo z Polską — problem dystrybucji gnębi rolnika !



W Wiedniu są rosyjskie sklepy. Sprzedają za pół darmo rosyjską wódkę i kawior, węgierskie salami i tokaj, polską kiełbasę... Rząd austriacki prowadzi energiczną kampanię przeciw kupowaniu w tych sklepach. Podobno przed sklepami stoją pikiety i wciągają nieposłusznych na czarne listy, po uwolnieniu amatorzy tanich produktów będą mieli ,,nieprzyjemności''. Idziemy do takiego sklepu. Przed sklepem, rzeczywiście, jacyś konspiracyjnie wyglądający mężczyźni. Okazuje się jednak, że pikieciarze po prostu zajmują się sprzedażą szmuglowanych szwajcarskich zegarków, złota itp. Znów reminiscencja warszawska z czasów, gdy wielcy bohaterzy uprawiali i drobniejsze procederki...

Bohdan BRODZIŃSKI

;eopolityka atomowa

(FAKTY I KONSEKWENCJE)

Anglia jest wyspą i choć pas wody dzielący ją od konty-
entu można przebyć wpław — kanał okazał się nieprzezwycię-
ılną przeszkodą tak dla Napoleona jak i dla Hitlera.

Warunki geopolityczne wpłynęły decydująco na formowa-
ie się brytyjskiego charakteru narodowego. Polityka Anglii
yła również dyktowana geopolityką. Jej kardynalnymi instru-
ıentami były potężne floty — handlowa i wojenna.

Patrząc wstecz na dzieje Zjednoczonego Królestwa aż po
ɔk 1918 — można powiedzieć, że ów wspaniały rozwój wio-
ący od sukcesu do sukcesu był wynikiem doskonałego wyko-
ystania geopolitycznych możliwości. Niewątpliwie z tej zielo-
ej mglistej wyspy niczego więcej nie można by zrobić niż to,
ɔ zrobili z niej Anglicy.

Termin „geopolityka" zawiera w sobie dwa różne elementy:
lement geograficzny i element polityczny. Geografia jest ele-
ıentem stałym i niezmiennym. Polityka, choć z geografią tak
lnie związana, nie jest elementem ani stałym ani niezmien-
ym.

Można przyjąć, że do roku 1918 rozwój technicznej cywili-
ıcji szedł po linii geopolitycznych „racji" wielkiej Brytanii.
'rzejście z żagla na maszynę parową uczyniło flotę brytyjską
:szcze potężniejszą i jeszcze bardziej zyskowną. Rozbudowa
rzemysłów, zastosowanie nowoczesnych metod produkcji przy
ównoczesnym zmonopolizowaniu handlu morskiego — na prze-
:rzeni pół wieku przemieniło „naród sklepikarzy" w naród
ankierów świata.

Z chwilą gdy pojawiło się lotnictwo okrzyknięto przed-
cześnie, że Anglia przestała być wyspą. Wprawdzie kanał
węził się do kilku minut lotu nie przestał być jednak nadal
ieprzezwyciężalną zaporą dla broni pancernej. Początkowa
rzewaga Hitlera w lotnictwie nie przyniosła w rezultacie oku-

pacji Anglii. Geografia jeszcze w pierwszych latach drugiej wojny światowej służyła — jak dawniej — interesom polityki brytyjskiej.

W chwili gdy na Hiroszimę upadła pierwsza bomba atomowa, geopolityczna sytuacja Anglii uległa radykalnej przemianie. Od tej chwili geograficzne elementy przestały być atutami polityki brytyjskiej.

Powierzchnia tak zwanego opadu (fall-out) bomby wodorowej o przybliżonej sile niszczącej 15 milionów ton T.N.T. — wynosi 200 mil kwadratowych. Powierzchnia Anglii (z Walią, Szkocją i Północną Irlandią) nie przekracza 94 tysięcy mil kwadratowych.

Anglia kiedyś była wyspą i fortecą morską. Dziś jest małym nieruchomym celem na wodzie — ,,a sitting duck'' jak to obrazowo określają Brytyjczycy.

Powierzchnia Związku Sowieckiego mierzona w milach kwadratowych wynosi 8.707.000. Ludność — 195 milionów. I ważny szczegół: niemal 70% ogółu ludności mieszka na wsi — poza obrębem wielkich miast i centrów przemysłowych.

Nie ulega wątpliwości, że rozwój broni atomowych sprzyja interesom mocarstw wielko-przestrzennych i kontynentalnych. Epoka imperiów wyspiarskich o przemysłach i ludności stłoczonych na małej przestrzeni — dobiegła kresu. Elementy geograficzne tych państw zmieniły znak z plusu na minus.

Anglia jest przykładem jaskrawym ale nie jedynym. Zmienił się bowiem również geopolityczny wykładnik całej zachodniej Europy. Niemcy czy Belgia to są kraje o stosunkowo małej powierzchni, natomiast o jednym z największych na świecie stopniu zagęszczenia ludności i przemysłów.

Europejska cywilizacja tak w sensie techniczno-przemysłowym jak i kulturalnym jest cywilizacją miasta — Aten, Rzymu, miast włoskich i niemieckich.

Mimo, że słowo ,,Ameryka'' kojarzy się nam z panoramą Nowego Jorku, z linią drapaczy chmur i sylwetą Empire State Building — Stany Zjednoczone — podobnie jak Rosja — nie są systemem miast. Przeciwnie, w stosunku do powierzchni i cyfry ludności — miast w Ameryce jest bardzo mało.



Patrząc wstecz można przyjąć, że charakter naszej cywilizacji zaczął zarysowywać się pod koniec XVII wieku. Prace Locke'a czynią go jednym z współtwórców osiemnastowiecznego liberalizmu. (Jego ,,An Essay Concerning Human Understanding'' ukazał się równocześnie z ,,Principia'' Newtona). Chyba nigdy przedtem polityka i filozofia nie były z sobą tak ściśle związane. Z tej harmonii teorii i praktyki wyrosła Rewolucja angielska z 1688 roku — amerykańska z 1776 i francuska z 1789. Z tej harmonii wyrosła demokracja, tolerancja religijna

wolność badań i przekonań — co w rezultacie przyniosło olbrzymi postęp nauki i epokowe odkrycia w XIX i XX wieku.

Liberalizm przełożony na język polityki oznaczał realizm. Realistami byli twórcy imperium brytyjskiego, którzy uważali, a rzecz oczywistą, że tak handel jak i politykę prowadzi się dla zysku.

Patrząc na obecną politykę brytyjską nabiera się wątpliwości, czy Anglicy są nadal realistami. Zwłaszcza polska prasa migracyjna ma na ten temat wiele do powiedzenia.

Realizm jest zaletą tylko wówczas jeżeli cechuje politykę naszą własną lub naszych sojuszników. Jeżeli realistyczną politykę prowadzą nasi wrogowie mówimy wówczas, że ich polityka jest cyniczna. Lecz ta nomenklatura istoty rzeczy w niczym nie zmienia.

Szukając przyczyn niewątpliwego upadku realizmu politycznego tak w Anglii jak i na kontynencie europejskim — trzeba wyjść z ogólnego stwierdzenia, że niepomiernie łatwiej jest być realistą marszałkowi Bułganinowi niż kanclerzowi Adenauerowi czy nawet premierowi Edenowi. Sowiety dysponują bowiem dwoma kardynalnymi elementami realistycznej polityki to jest siłą i korzystną dyspozycją geopolityczną.

Weźmy dla przykładu Niemcy. Załóżmy, że Niemcy dysponują potężną nowoczesną armią, lotnictwem strategicznym i posiadają zapasy bomb atomowych i wodorowych. Niemcy — nawet uzbrojone po zęby — nie miałyby najmniejszej szansy pokonania Rosji. Powierzchnia Niemiec jest stosunkowo tak mała a zagęszczenie przemysłów tak olbrzymie, że wystarczyłoby kilkanaście bomb wodorowych by przemysł niemiecki zrównać z ziemią. Stopień zniszczenia osiągnięty kilkoma latami nieustannych bombardowań z okresu drugiej wojny światowej — dziś można by osiągnąć jednym udanym nalotem. 80% ludności Niemiec mieszka w miastach; 70% ludności Sowietów mieszka w rozproszeniu poza obrębem miast. Rosjanie mogą ewakuować ludność z obszarów zradioaktywizowanych — mogą na dziesiątki lat wycofać się z rejonów idących w tysiące mil kwadratowych. A gdzie można ewakuować ludność z Zagłębia Ruhry? Z Berlina, z Frankurtu?

Nie uciekając się do proroctw sądzę, że można uznać za pewne, iż — jeżeli w ogóle można mówić o obronie przeciwatomowej — to maksimum osiągalnego bezpieczeństwa zapewnić mogą jedynie:

a) przestrzeń,

b) rozproszenie ludności i przemysłów.

Europa zachodnia nie dysponuje ani jednym, ani drugim. W tych warunkach nie jest łatwo być realistą.

Może wykroczę poza ramy niniejszego artykułu gdy zaryzykuję pogląd, że owa przemiana w geopolitycznej sytuacji

Europy zachodniej wywrze z czasem formatywny wpływ n „charakter narodowy" Anglików, Francuzów, Niemców. Jeże uznajemy za pewne, że warunki geopolityczne kształtuj w znacznej mierze profil danego narodu, to w konsekwenc musimy przyjąć, iż radykalne przemiany w geopolitycznej dys pozycji muszą się z czasem odbić na „charakterze zbiorowym danego narodu czy społeczeństwa. Gdyby kanał angielski zost sztucznie „osuszony" i Anglia stała się częścią kontynentu — — jestem przekonany, że na przestrzeni stu lat Anglicy zmi niliby się nie do poznania.

A przecież likwidacja kanału (mimo całej absurdalności t go pomysłu) w geopolitycznej charakterystyce wysp brytyjski spowodowałaby zmiany o mniejszym zasięgu niż pojawienie s bomby wodorowej.

To bynajmniej nie są teoretyczne akademickie dociekani Reakcje jakie owe przemiany budzą w masach stanowią t polityki brytyjskiej. I nie tylko polityki brytyjskiej lecz cał zachodniej Europy.

Jest całkowicie zrozumiałe, że Rosja pragnie polityczn zdyskontować sytuację jaka wytworzyła się w Europie. Si Sowietów wywodzi się nie tylko z faktu posiadania broni at mowych i strategicznego lotnictwa, lecz przede wszystki z geopolitycznej dyspozycji Związku Sowieckiego. Zarówn Rosjanie jak i zachodni europejczycy autentycznie boją się wo ny atomowej i nie chcą jej. Ale istnieje zasadnicza różnica p między tym jak nie chcą wojny Rosjanie a jak nie chcą wojn zachodni europejczycy. Powyższa różnica wywodzi się z ocz wistego faktu, że wojna atomowa byłaby czymś innym d bloku sowieckiego rozciągającego się od Elby po morza Chi skie — a zupełnie czymś innym dla przeludnionego miniatur wego cypla kontynentu, który nosi nazwę Europy zachodniej

Wiek atomowy wyposażył step w polityczną koniunktu — kontynentalnym przestrzeniom nadał nową cenę i znaczeni



N.A.T.O. w jego obecnej formie nie jest żadną odpowiedzi na zagrożenie sowieckie. Gdyby sojusz atlantycki miał być pe nokrwistą odpowiedzią na niebezpieczeństwo sowieckie — udzi amerykański musiałby być wielokrotnie zwiększony. Proble Niemiec umożliwia Sowietom paraliżowanie wszystkich planó europejskich i podtrzymywanie na kontynencie atmosfery n prężenia i niepewności. Komuniści odegrali poważną rolę w o tatnim plebiscycie w Saarze. Maroko w znacznym stopniu umo liwiło Saarę a z kolei Saara utrudni pozycję Francji w Afryc północnej. To wszystko jest tkanina bez szwu. Osłabienie pre tiżu Francji w Afryce przyniosło Sowietom owoce w Saar gdzie komuniści szli ręka w rękę z nacjonalistami niemieckim

Sytuacja z 1945 roku kiedy Francja była zwycięzcą a Niemcy w gruzach, obróciła się o 180 stopni.

Tak w Europie jak i w Afryce wikłamy się w sprzecznościach. Prawo do narodowego samostanowienia wydzierżawili od nas komuniści, którzy nacjonalistom białym i kolorowym dostarczają przywódców, programów i broni.

Na Cyprze, dopiero gdy komuniści opanowali związki zawodowe i weszli do zarządów miejskich, poczciwi Cypryjczycy doszli do wniosku, że ich piękną wyspę należy przyłączyć do... macierzy. Przez ubiegłe dwadzieścia stuleci... oderwanie od Grecji jakoś nie spędzało im snu z powiek.

Roztrząsanie problemu, czy Francuzi i Anglicy nie popełnili ważnych błędów w przeszłości w ich politykach kolonialnych — dziś nie ma żadnego praktycznego znaczenia. Tak jak w niczym nie ułatwi leczenia światłe stwierdzenie, że pacjent chory na wątrobę wypił w swym życiu o 30 tysięcy litrów koniaku za dużo. Wypił i mimo tego trzeba go leczyć.

W naszych dotychczasowych rozważaniach doszliśmy do następujących wniosków:

a) Władztwo nad wschodnimi Niemcami daje Sowietom możliwość podtrzymywania problemu niemieckiego jako „kwestii otwartej". Jakakolwiek stabilizacja w Europie zachodniej jest mrzonką — dopóki Sowiety będą współreżyserami niemieckiej „kwestii".

b) Storpedowanie sojuszu bałkańskiego — Alger, Maroko, Egipt, Arabia Saudyjska, Cypr — stanowią jeden manewr zmierzający do strategicznego okrążenia Europy zachodniej.

W świetle tych faktów musimy dojść do przekonania, że N.A.T.O. w obecnej jego formie nie jest odpowiedzią na zespół wyżej przytoczonych problemów.

Równocześnie musimy niestety stwierdzić, że wydatne wzmożenie kontyngentów amerykańskich w N.A.T.O. nie jest rzeczą realną. Projekty tego typu tak w Stanach Zjednoczonych jak i w Europie natrafiłyby na olbrzymie przeszkody.

Ów charakterystyczny upadek realizmu politycznego w zachodniej Europie — o czym mówiliśmy w pierwszej części niniejszego artykułu — przejawia się między innymi w lęku przed siłą. Ludzie boją się baz na swym terytorium w przeświadczeniu, że siła prowokuje agresora. Politycy z lewego skrzydła Labour Party przyrównują Anglię nie tylko do kaczki siedzącej na wodzie, lecz również do amerykańskiego lotniskowca. Daje się tym do zrozumienia, że bynajmniej nie jest pewne czy lotnictwo amerykańskie obroni Anglię w razie agresji — natomiast jest całkowicie pewne, że w razie wojny ściągnie na Anglię sowieckie bomby atomowe i wodorowe. Stąd wniosek olśniewający w swej prostocie, że najbezpieczniej jest nie mieć na swym terytorium żadnych baz.

Nie tylko politycy z lewego skrzydła Labour Party wypowiadają na temat baz, bomb atomowych i rozbrojenia bardzo

dziwaczne opinie. Wielu liberałów i trzeźwych myślicieli jak Bertrand Russell — wykazuje również zdumiewający zanik realizmu w ocenach problemu atomowego.

Czym to zjawisko należy tłumaczyć? W mojej opinii Anglicy i Francuzi nie są dziś potencjalnie mniejszymi realistami niż 50 lat temu. Ów chaos w sądach i opiniach jest tylko dowodem, że vis à vis zmienionej geopolitycznej dyspozycji Rosji — zachodni europejczycy nie znaleźli dotąd realistycznej odpowiedzi.

Nie może być najmniejszego porównania między sytuacją Stanów Zjednoczonych a sytuacją Francji i Anglii. Nie jest pewne czy Sowiety dysponują już dziś typem samolotów i rakiet, które umożliwiłyby atomowe bombardowanie Nowego Jorku czy Waszyngtonu. Jest natomiast całkowicie pewne, że Sowiety dysponują lotnictwem umożliwiającym bombardowanie Londynu czy Paryża. W epoce bomby wodorowej i pocisków rakietowych trudno sobie po prostu wyobrazić mniej korzystną sytuację geograficzną jak Europy zachodniej a zwłaszcza wysp brytyjskich.

Powtórzę jeszcze raz. Bułganinowi łatwo jest być realistą. Natomiast premierom zachodnio-europejskim jest niezmiernie trudno wypracować realistyczną politykę. Nikt tego nie wie lepiej niż Polacy, których nowożytne dzieje są jednym pasmem rozpaczliwych wysiłków wydobycia się z układu determinowego w całości racjami geopolitycznymi.

Proponuję by wnioski jakie należy wysnuć z tych rozważań ująć w następujące punkty :

1. — By wzmocnić potencjał N.A.T.O. do koniecznego minimum musieliby z jednej strony wzmóc swój udział Amerykanie, z drugiej strony członkiem N.A.T.O. musiałyby się stać zjednoczone Niemcy. Obie powyższe propozycje są całkowicie nierealne. Mimo, że trudno przewidzieć wynik konferencji genewskiej — z całym spokojem ryzykuję pogląd, że Rosjanie nie zgodzą się nigdy na udział zjednoczonych Niemiec w sojuszu atlantyckim.

2. — Sowiety zdają sobie doskonale sprawę, że na odcinku europejskim ich pozycja przetargowa jest niepomiernie silniejsza niż mocarstw zachodnich. Geopolityczna dyspozycja Związku Sowieckiego jest niezmiernie korzystna. W takiej sytuacji nie można niczego „wydyplomatyzować". Rosjanie ustępują tylko w dwóch wypadkach. Albo w obliczu rzeczywistego nacisku i groźby — albo dla zysku. Polityka groźby i nacisku — jak wiemy — nie wchodzi w rachubę. Pozostaje więc tylko przetarg.

3. — Jeżeli dany układ międzynarodowy nie spełnia swego zadania a równocześnie nie ma możliwości rozbudowania go

do pożądanego potencjału — należy go korzystnie sprzedać. W mojej opinii N.A.T.O. należy sprzedać dopóki posiada dobrą cenę. Jeżeli Sowietom powiedzie się za rok czy za dwa lata rozwiązać „kwestię" niemiecką — na „business" tego typu będzie za późno. Za N.A.T.O. wówczas nikt nic nie da.

4. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że cała polityka sowiecka w Europie, w Afryce i na środkowym Wschodzie zmierza do jednego celu, to jest do likwidacji baz amerykańskich. Za likwidację części tych baz Rosjanie byliby skłonni zapłacić wysoką cenę. Należałoby się zastanowić czy z punktu widzenia interesów Europy zachodniej nie byłoby rzeczą celową wyrazić zgodę na likwidację pewnego procentu baz wzamian za zjednoczenie Niemiec i włączenie ich do pasa neutralnego, który oprócz Niemiec obejmowałby Polskę, Czechosłowację, Węgry i Rumunię. „Żelazna kurtyna" zostałaby w ten sposób zastąpiona blokiem neutralnych państw od Bałtyku po Morze Czarne.

5. — Dla Niemców nie N.A.T.O. jest przynętą lecz realna perspektywa zjednoczenia. Dlatego polityka zmierzająca do milczącego uznania „status quo" i zamrożenia obecnej linii podziału Niemiec na czas nieokreślony — nie może być dla Niemców programem atrakcyjnym. Poza tym Niemcy wiedzą doskonale, że choćby udział republiki federalnej w N.A.T.O. wynosił nie 12 ale 120 dywizji — mocarstwa zachodnie nie wysuną ultymatywnego żądania pod adresem Sowietów by wycofały się z wschodnich Niemiec.

Dopóki Niemcy nie będą zjednoczone przywódcom nacjonalizmu niemieckiego nie braknie nigdy zwolenników. Nacjonaliści są „naturalnymi" sojusznikami komunistów. Rozwój po tej linii musiałby doprowadzić do zjednoczenia Niemiec pod egidą Rosji.

Należy się zdobyć na realistyczne stwierdzenie, że — primo — Niemcy muszą być zjednoczone i — secundo, iż nie mamy dość siły by przeprowadzić zjednoczenie Niemiec według zachodniego wzoru. Winniśmy przeto obrać kurs pośredni i postawić sobie za cel niedopuszczenie do zjednoczenia Niemiec w orbicie sowieckiej. Jeżeli Niemcy nie mają być zjednoczone ani w ramach N.A.T.O., ani w ramach bloku sowieckiego — mogą być zjednoczone jedynie w ramach pasa neutralnego.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

OBIAD POŻEGNALNY

Na kilka dni przed swą śmiercią prof. Stanisław Stroński wziął udział w ,,literackim obiedzie'', który stanowił finalny punkt programu tegorocznego zjazdu Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Profesor żegnał się z tym światem doskonałą mową, która uprzytomniła zebranym — jak w tej epoce sloganu i propagitek — odbiegliśmy daleko od oratorskiego kunsztu.

Ministranci ,,akademii'', redaktorzy ,,memoriałów'' giserzy patriotycznej sztancy — stwierdziliśmy ze zdumieniem, że przemową można autentycznie wzruszyć słuchaczy.

Stroński tego wieczoru patrzył z daleka i z wysoka. Na głowy pochylone nad polskim barszczem sypały się perliście francuskie cytaty — ożyły postacie poetów z przełomu stulecia — powiało staroświeckim Paryżem, wspaniałą humanistyczną kulturą i... pustką domu starców.

Baliński wzruszony uniósł się z krzesła i zwróciwszy się do Strońskiego zawołał : ,,Ach to może ostatni ! patrzcie, patrzcie młodzi...''

Ale młodzi ani nie patrzyli ani nie słuchali.

Młodych nie było.

DYPLOMATYCZNE DWA ZERA

Nota Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego przesłana w dniu 18 października ministrom spraw zagranicznych mocarstw zachodnich — nie stanowi zapładniającej lektury.

Teza tego dokumentu, sprowadza się do sentencji, że lepiej jest być młodym, zdrowym i bogatym niż... starym, chorym i ubogim. Lepiej jest być niepodległym i demokratycznym niż komunistycznym i satelickim. — Pięknie. Ale jak ów cel osiągnąć ? W punkcie nr 4 cytowanej noty czytamy : ,,Położenie Z.S.S.R. — tak jak je znamy — stwarza możliwość wysuwania żądań i stosowania nacisku dla ich wykonania''.

Być może, że podpisany pod memoriałem Dr R. Odzierzyński (bez generała) i Dr J. Starzewski znają ,,położenie Z.S.S.R.'' lepiej niż kto inny. Natomiast z całą pewnością nie znają położenia Zachodu. Gdyby bowiem znali, wiedzieliby, że ani żądania ani nacisk nie wchodzą w rachubę.

Ku pożytkowi zachodnich ministrów i by uniknąć wszelkich nieporozumień — autorzy memoriału dodają : ,,Elementy załatwienia tej sprawy widzimy w następującej kolejności : ewakuacja wojsk sowieckich z krajów okupowanych; rozwiązanie układów ograniczających ich suwerenność; wolne wybory w tych krajach i wprowadzenie systemów demokratycznych''.

Ewakuacja wojsk sowieckich... bagatelka !

Polityka to nie są „pobożne życzenia" ujęte w urzędniczy schemat. Z wyjątkiem komunistów na Zachodzie wszyscy przyklasnęliby żywo, gdyby Sowiety wycofały się z Europy wschodniej. W tym względzie nie ma potrzeby nikogo przekonywać. Jeżeli Zachód czegoś od nas oczekuje to nie wyliczanki celów lecz rady-inicjatywy jak te cele zrealizować. Na każdym kroku i przy każdej okazji zapewniamy wszystkich, że jesteśmy nieomylnymi znawcami Sowietów ale w praktyce nie umiemy wysunąć żadnego projektu, żadnej koncepcji.

Zachodni polityk przeczytawszy omawiany memoriał będzie po tej lekturze równie mądry jak był przedtem. Nota Egzekutywy nie wnosi do kompleksu zagadnień jednego nowego szczegółu, jednego świeżego naświetlenia.

Jak się nie ma nic do powiedzenia nie należy pisać memoriałów a już w żadnym wypadku nie należy ich wysyłać.

Cytowałem już wielokrotnie na tych łamach powiedzenie Bismarcka, że polityka jest grą rzeczy możliwych. Fundamentem każdej realnej koncepcji musi być rozpoznanie zmierzające do ustalenia owych „rzeczy możliwych". Wysuwanie postulatów skądinąd słusznych ale w danym układzie niemożliwych ilustruje jedynie tezę, że emigracyjni politycy do dziś nie widzą różnicy pomiędzy polityką a propagandą.

Na masówce w Manchester czy na akademii w „Ognisku" można domagać się ewakuacji wojsk sowieckich i pełnej niepodległości „od morza do morza". Celem tego typu przemówień jest „krzepienie serc" i nic poza tym. Natomiast jeżeli ktoś na forum międzynarodowym wysuwa postulat „ewakuacji wojsk sowieckich z krajów okupowanych" a w następnym zdaniu nie formułuje jak ów cel należy zrealizować daje tym samym do zrozumienia, że nie rozróżnia faktów od „pobożnych życzeń" i sloganów od koncepcji.

Zachodni polityk zapoznawszy się z treścią omawianego memoriału pokiwa głową i pomyśli z ulgą: „Oczywiście byłoby dobrze wyzwolić kraje Europy środkowo-wschodniej z sowieckiego jarzma ale niestety jest to całkowicie nierealne. Polacy — bezpośrednio w tej sprawie zainteresowani są również całkowicie bezradni — któż więc *do nas* może mieć pretensje!"

W rezultacie tego typu noty zmierzają do utrwalenia przeświadczenia, że w sprawie uwolnienia Polski i innych krajów Europy wschodniej de facto nic nie można zrobić. Umacnia się pogląd, że to jest zagadnienie moralne i propagandowe a *nie* problem *realnej polityki*. Pozostawiam ocenie Czytelników odpowiedź na pytanie czy „obrona interesów polskich na terenie międzynarodowym" tak powinna wyglądać.

Z biuletynu P.A.T. z dnia 11 listopada dowiadujemy się, że: „Rząd Rzeczypospolitej Polskiej przedstawił w ciągu października br. mocarstwom zachodnim swój projekt, który w głównych zarysach zawiera następujące punkty:

1. Utworzenie pasa neutralnego z niepodległych państw: Estonii Łotwy, Litwy, Polski, Czechosłowacji, Węgier i Rumunii.

2. Neutralność tych państw powinna być zagwarantowana na podstawie umowy między całkowicie uwolnionymi od okupacji sowieckiej państwami pasa neutralnego i wszystkimi zainteresowanymi mocarstwami.

3. Państwa pasa neutralnego zachowują prawo uzbrajania się dla obro-

ny swej neutralności i zobowiązują się nie należeć do żadnych bloków i nie zawierać umów wojskowych z państwami spoza własnego grona neutralnego".

Ten sam biuletyn doniósł o wyjeździe ,,ministra spraw zagranicznych" p. Aleksandra Zawiszy do Genewy.

Jak wynika z powyższych informacji oba ośrodki polityczne wysłały swych przedstawicieli do Genewy a zachodnim ministrom złożono dwa różne memoriały.

Na podstawie notatki P.A.T. trudno jest ocenić projekt ,,zamkowy". Niemniej stwierdzić należy że nota p. Zawiszy pomija milczeniem kardynalny problem Europy, to jest sprawę Niemiec. Jest oczywiste, że jeżeli dojdzie (na drodze pokojowej) do jakichkolwiek zmian w obecnym układzie Europy wschodniej — to owe zmiany będą konsekwencją nowego statutu Niemiec. Tylko poprzez (i za cenę) rozwiązania problemu Niemiec byłoby rzeczą możliwą wynegocjować rewizję obecnego układu w Europie środkowo-wschodniej. Proponowanie ,,pasa neutralnego" czy jakiegokolwiek innego rozwiązania problemu wschodniej Europy w całkowitym oderwaniu od zagadnienia Niemiec — jest po prostu nonsensem.

Tak jeden jak i drugi memoriał są pisane pod kątem widzenia ,,rynku wewnętrznego". Autorzy noty Egzekutywy zdawali sobie sprawę, że ich elaborat musi się podobać NID-owi i Stronnictwu Narodowemu, Socjalistom, Ludowcom i różnym ,,niezależnym". Memoriał, który mają zaakceptować tak socjaliści jak endecy i cała emigracja (której o zdanie nikt nie pytał) — musi zawierać same frazesy i polityczne ,,oczywistości".

Na tym przykładzie widać, że reprezentacja niedemokratyczna jak T.R.J.N. jest w gruncie rzeczy znacznie bardziej skrępowana niż reprezentacja oparta o wybory i głosowanie. Gdyby R.J.N. była emigracyjnym parlamentem — Egzekutywa uzyskawszy dla swego memoriału poparcie większości nie musiałaby się na nic i na nikogo oglądać. W takich warunkach istniałaby szansa uzyskania poparcia dla noty, która formułowałaby pewną koncepcję polskiej polityki zagranicznej.

A LA P. AUGUST ZALESKI

Nominaci w Głównej Komisji Skarbu Narodowego — delegaci w T.R.J.N. — stosują identyczną taktykę jak p. August Zaleski.

Obecnie na emigracji nie ma polityka czy działacza społecznego, który by poddawał w wątpliwość fakt popularności idei wyborów. Wszyscy, dosłownie wszyscy pragną wyborów. Ale nominaci i delegaci — podobnie jak p. Zaleski — ignorują pogardliwie wolę ogółu społeczeństwa emigracyjnego. Świadomie — identycznie jak p. August Zaleski — wykorzystywują fakt, że na uchodźstwie nie można nikogo zmusić ani do abdykacji ani do rezygnacji. Cynizm tej postawy polega na tym, że ci sami ludzie, którzy ignorują wolę większości w przeświadczeniu, że mogą robić to zupełnie bezkarnie — ustawicznie odwołują się do moralnego poczucia emigracji wiedząc, że Skarb Narodowy nie dysponuje egzekutorami podatkowymi. Jak zwykle u nas — inna jest moralność dla góry a... inna dla dołów.

Byłby jednak czas by nasi przywódcy urzędujący (nie z woli narodu) w Głównej Komisji Skarbu Narodowego, w Egzekutywie, w T.R.J.N. —

zdali sobie jasno sprawę, że idei wyborów już nie da się utopić. Wybory muszą być przeprowadzone. W przeciwnym wypadku T.R.J.N. i jej przybudówki spotka ten sam los co p. Zaleskiego — to jest pogłębiająca się izolacja i obojętność.

Z każdym miesiącem oba nasze ośrodki polityczne stają się do siebie coraz bardziej podobne. P. Zaleski zapowiadał ustąpienie — T.R.J.N. obiecywała (częściowe) wybory. Tak „zamek" jak i obóz zjednoczeniowy nie dotrzymali obietnic dufni w całkowitą bezkarność, którą zapewnia im bezsilność mas emigracyjnych. Nie przeszkadza to jednak ani jednym ani drugim ustawicznie apelować o pieniądze.

Wydaje mi się również, że dziś nie ma już na emigracji poważnego polityka, który podjąłby się obrony tak zwanego „legalizmu". Po wszystkim co się stało legalizm leży w gruzach i nie jest w naszej mocy go odbudować. Należy pamiętać o tym, że tzw. Akt Zjednoczenia był planem, który zmierzał do pogodzenia obozu prezydenckiego z Radą Polityczną na platformie legalizmu. Ów legalizm miał reprezentować nowy przez wszystkich uznany prezydent R.P. Jak wiemy powyższych zamierzeń nie powiodło się zrealizować. W rezultacie nie mamy Rady Jedności Narodowej lecz tylko Tymczasową Radę Jedności Narodowej. Ów stan permanentnej tymczasowości nie martwi naszych przywódców gdyż w obecnej sytuacji nie są przed nikim za nic odpowiedzialni. Nie są bowiem odpowiedzialni ani przed *emigracją* ani przed *prezydentem*. W praktyce odrzucają zarówno legalizm jak i wybory.

Jedyną drogą zmierzającą do uzdrowienia tych stosunków — jest powrót do praworządności. Przez praworządność należy rozumieć demokrację, bo tylko reprezentacja polityczna wyłoniona z wyborów zapewni płatnikom Skarbu Narodowego możność kontrolowania polityki i gospodarki finanswanych z ich kieszeni.

Trudno jest doprawdy zrozumieć, że poważni skądinąd ludzie godzą się pełnić odpowiedzialne funkcje w instytucjach, które dysponując pieniądzem publicznym równocześnie odmawiają reprezentantom płatników prawa kontroli i prawa głosu.

Jedni płacą — drudzy wydatkują i rządzą. Wschód... w centrum Londynu.

LONDYŃCZYK

Najnowsza historia Polski

Ukraińskie wspomnienia z Berezy

Ukraiński tygodnik nacjonalistyczny „Homin Ukrainy”, wychodzący w Toronto, w Kanadzie, opublikował w 33 dużych odcinkach wspomnienia Władzimierza Makara pt. „Jak to było w Berezie”. Autor, działacz O.U.N., pochodzi z powiatu Sokal i przebywał w Berezie od lipca 1934 roku, a więc bezpośrednio po zorganizowaniu tego obozu, do lipca 1935 roku. Daje relację z własnych przeżyć i obserwacji na przestrzeni jednego roku w ostatnich zaś felietonach, na podstawie opowiadań kilku innych więźniów, opisuje dni wrześniowe 1939 roku na terenie obozu.

Autor zdaje sobie sprawę, że w porównaniu z hitlerowskimi „młynami śmierci” i sowieckimi kaźniami, Bereza Kartuska blednie. Uważa jednakże, iż takie podejście nie jest usprawiedliwione. Skłonny jest przypuszczać, że nawet w Oświęcimiu udało się jednostkom a nawet grupom uniknąć wielu ciosów, podczas gdy Bereza była obozem małym, nie mieszczącym więcej aniżeli 300 osób, a więc każdy więzień był pod kontrolą dozorców. W okresie przebywania w Berezie Wł. Makara najwyższy, kolejny numer więźnia był 360. Więźniowie meldowali się załodze obozu według swoich numerów, a nie nazwisk. Pod koniec lipca 1934 roku obóz liczył 220 więźniów, z tego 160 Ukraińców, 30 komunistów, 30 Polaków, których określa mianem „endeków” wyjaśniając jednak, że chodzi o członków ONR. Na pozostałych składały się jednostki z różnych grup, których jednakże autor wspomnień nie definiuje. Więźniowie polscy zostali częściowo zwolnieni we wrześniu i grupa ta w ciągu roku omalże całkowicie znikła. Również grupa ukraińskich nacjonalistów po roku zaczęła znacznie maleć natomiast syste-

---

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

matycznie wzrastała grupa komunistyczna. Dopiero jesienią 1939 obóz zapełnił się znowu Ukraińcami, Niemcami, Żydami oraz kryminalnym elementem polskim. Według tych relacji na dzień 12 września obóz liczył około 7.000 więźniów.

Makar wymienia jako najgorszych oprawców w Berezie st. przodownika Szymborskiego, posterunkowych Franciszka Markowskiego i Mieczysława Sitka, w dalszej kolejności posterunkowych Komorowskiego, Krawczyńskiego i Więcka oraz 4-5 innych, których nazwisk nie pamięta. Osobne miejsce zajmuje pasterunkowy Bosowski, były dozorca Pawiaka, który dwa tygodnie pełnił służbę w obozie, lecz zapisał się trwale w pamięci wszystkich jako wyjątkowy sadysta. Nie brakło jednak i wyraźnie życzliwych, dobrych policjantów. Autor wymienia wśród nich posterunkowych: Nowaka, Jaronia, Malarczyka oraz 2-3, których nazwisk nie pamięta. „Reszta ani źli, ani dobrzy a raczej raz byli źli, raz doskonali, w zależności od nacisków z góry, od... pogody i pory dnia". Makar utrzymuje, że więźniowie ukraińscy po pewnym czasie zdemoralizowali obsługę obozu. Ich zachowanie musiało wzbudzać szacunek nawet wśród najgorszych. Akty terrorystyczne wobec policjantów miały napędzić strachu i posterunkowym w obozie. Liczyli się przecież, że mogą być przeniesieni na tereny działania O.U.N. a wówczas nie unikną odpowiedzialności za zachowanie się w Berezie. Więźniowie nauczyli się również licznych kruczków przy pomocy których pozyskiwali sobie policjantów. Udawali wobec nich współczucie dla marnej służby, zaskakiwali rzekomą wszechwiedzą itp. Demoralizacja aparatu policyjnego miała sięgać do terenów ukraińskich. Policja traciła tam sprężystość, dokładność, wiarę w powodzenie akcji represyjnej itp. Zdaniem autora oraz innych przywódców ukraińskich, którzy przeszli przez Berezę, obóz ten nie spełnił zadań dla jakich został stworzony przez administrację polską. Nie tylko bowiem nie złamał ducha, bitności i bojowości nacjonalistów ukraińskich, ale zahartował ich do dalszej walki. Był dla nich twardą, bardzo twardą, lecz doskonałą zaprawą. Nawet biblioteka obozowa posłużyła dla pogłębienia wiedzy i techniki podziemnego działania.

Mnie i większości kolegów najbardziej podobały się dzieła Piłsudskiego. Wszystkie jego prace odznaczają się bardzo dobrym stylem, są obrazowe, jasne, pełne żołnierskiego humoru. Jego wojskową analizę wojny rosyjsko-japońskiej z 1904-1905 czyta się jak najlepszą powieść. Podobnie zresztą jak wspomnienia z walk legionu polskiego z Moskalami w latach 1914-1915, lub wspomnienia z okresu jego udziału w pracach i walkach polskiego podziemia, przebieg akcji bojowych. Z przyjemnością czytaliśmy jego wskazówki o sposobach fabrykowania i kolportowania „bibuły" i uwagi w sprawie uzbrojenia. W rozmowach, jakie następnie przeprowadzaliśmy, porównywaliśmy metody polskiej rewolucyjnej organizacji z naszymi. Dla wielu z nas lektura ta stanowiła też naukę i tej nie odrzucaliśmy. Z całą pewnością ani Kostek Biernacki ani Grefner nie mieli na celu pogłębianie naszych „wywrotowych" znajomości.

lecz wyobrażali sobie, że lektura legionowa wychowa nas na „państwowców", gdyż to przecież było teoretycznym założeniem instytucji „M.O." (miejsce odosobnienia lub bardziej współcześnie — koncentrak) w Berezie Kartuskiej.

Korzystanie ze skromnej biblioteki było przywilejem. Na czytanie książek poświęcano w niedzielę 30 minut do jednej godziny. Jednocześnie dopuszczano do czytelni około 40 osób. Niedziela była dniem wolnym od pracy, jednakże apel, raport, „gimnastyka" oraz inne sposoby znęcania się w murach budynku, pozostawały niezmienne. Markowski i Sitek, gdy byli dyżurnymi w bloku, potrafili doszczętnie obrzydzić dzień świąteczny. Atrakcjami dnia tego były: nabożeństwo, pisanie listów i czytanie książek.

Przez pierwsze dwie niedziele na nabożeństwo zagnano wszystkich więźniów bez różnicy wyznania: katolików, grekokatolików, prawosławnych, mojżeszowych, wreszcie ateistów-komunistów. Potem z tej praktyki zrezygnowano i udział w nabożeństwie nie był przymusowy. Autor zauważa, że tym, którzy pozostali w budynku więziennym czas nie upływał w spokoju. Brano ich do „remontu". Było to określenie techniczne na najbardziej popularną formę znęcania się. Dyżurny posterunkowy prowadził ćwiczenia, które polegały na biciu więźniów pałkami gumowymi przy każdej nadarzającej się sposobności. „Remontem" witano każdego nowoprzybyłego. Czasami trwał on dobę. W ten sposób zaznajamiano nowoprzybyłych z trybem życia w Berezie Kartuskiej. Codzienna „zaprawa" odbywała się po raporcie a więc po 5-ej rano i trwała przeciętnie godzinę. Wtedy były „żabki", indyjski taniec, austriacki orzeł, żywy Budda oraz inne wymyślne metody rzekomej musztry. Niezależnie od tego policjanci, nie wszyscy jednak, mieli nakaz walenia pałką z byle jakiego powodu, czy też bez powodu.

Dzień rozpoczynał się o 4-ej pobudką. Myto się na dworze. O 4,30 wydawano śniadanie składające się z czarnej kawy lub żurku i dziennej racji chleba, 350-400 gramów. Przed śniadaniem należało oczyścić salę, uporządkować legowiska itp. 4.45 zbiórka na raport, 5.00 raport. Odbierali go czasami komendanci, najczęściej któryś z oficerów policji. O 6-ej rozpoczynał się dzień roboczy. Kilka do kilkunastu osobowych grup roboczych pozostawało na terenie obozu: kuchnia, obieranie kartofli, porządkowanie terenu, porządkowanie mieszkań i bloku policyjnego; pozostali, którzy stanowili znaczną większość, wyruszali na roboty drogowe i polne w pobliżu obozu (3 km.). Autor twierdzi, że roboty wykonywane przez więźniów były oczywiście najzupełniej zbędne, służyły wyłącznie jako „przeszkolenie", były jednym z instrumentów łamania osobowości uwięzionych. Od 12 do 2-ej była przerwa obiadowa. Kotły z jedzeniem dostarczano na miejsce pracy. Posiłek składał się z jakiejś zupy i kaszy, bywał barszcz, kapuśniak, gulasz, kartoflanka itp. Skrawek mięsa należał jednak do rzadkości. Praca kończyła się

około 5-ej i — jak opowiada Makar — nie liczyła się już. Kolacja składała się z jakiejś „bałandy" a o 6-ej następował powrót do cel, gdzie — jak zazwyczaj — obowiązywała absolutna cisza. O 7-ej więźniowie mieli znajdować się na swoich pryczach. W sobotę praca trwała do 12-ej.

> Podczas pracy na polu pałki używał najczęściej Markowski. Bił gdzie popadało: po głowie, twarzy, oczach, rękach, grzbiecie, nogach i czynił to zawsze przy akompaniamencie wrzasków i wyzwisk. Inni policjanci przystępowali do tej operacji bardziej spokojnie i metodycznie. Nakazywali więźniom zgiąć się tak by palcami rąk dotykali palców nóg i — na rany Boskie — pozycji tej nie można było zmienić bez wyraźnego rozkazu. Niejako z samego tylko rozmachu spadały na zgięty korpus więźnia uderzenia 5-10 pałki policyjnej, z reguły wokół nerek tak iż nie rzadko więzień zemdlony padał na ziemię... Do przytomności przywracały go uderzenia butów i nowe razy pałek policyjnych. Poza biciem system kar obejmował różne musztry.

Autor pamiętników opowiada, że wszystkie czynności obozowe wykonywano biegiem. Biegano na apel i z apelu, na posiłki, do pracy, na każde zawołanie nadzoru obozu.

Opiekę lekarską wykonywał z początku płk. dr Kazimierz Dietl odnoszący się do więźniów po ludzku, traktujący ich jako cywilnych pacjentów. Zmarł w tajemniczych okolicznościach w listopadzie 1934 roku. Według jednej wersji był narkomanem i zażył zbyt dużą dawkę morfiny; według innej został zgładzony, gdyż był niewygodny. Następcą jego został dotychczasowy pomocnik, felczer Balcerzak, o którym Makar wyraża się wysoce ujemnie.

We wrześniu 1935 roku, po inspekcji min. Kościałkowskiego, nastąpiły duże zmiany w obsadzie obozowej i warunki znacznie się poprawiły. W miejsce Markowskiego i Sitka przybyli posterunkowi z cenzusem Zygfryd Wieczorek, Andrzej Boryniak oraz jeszcze jeden, którego nazwiska autor nie pamięta i o których pisze, iż „nie można złego słowa o nich powiedzieć".

Więźniowie mieli prawo pisać w każdą niedzielę czysto osobiste listy do rodzin. Podlegały one bardzo surowej cenzurze. Ukraińcy do listopada bojkotowali prawo pisania listów, gdyż należało je pisać po polsku. Kiedy jednak groziło załamanie bojkotu, tajne kierownictwo ukraińskich nacjonalistów w obozie cofnęło bojkot. Makar relacjonuje raport przed inspektorem Grefnerem z powodu listów, który zakwestionował treść następujących listów: Sznarbachowskiego brzmiący „Jestem zdrów, oczywiście". Bolesława Piaseckiego: „Kochani! Jestem zdrów. Czyście zdrowi? Bądźcie zdrowi". Komunisty-Żyda, którego nazwiska autor nie wymienia: „Przyślij mi marynarkę dobrze watowaną na plecach". Oczywiście za takie, jakkolwiek nie wysłane, listy sypały się kary.

Makar daje charakterystykę poszczególnych grup więźniów poświęcając oczywiście najwięcej uwagi grupie ukraińskiej. Zda-

niem jego wśród więźniów ukraińskich była pewna ilość, która nie tylko nic nie miała wspólnego z O.U.N., ale nawet zwalczała tę organizację. Dochodziło z nimi do ostrych utarczek, jakoże ci przypadkowo, omyłkowo lub przez wrogość miejscowych organów bezpieczeństwa, zesłani ludzie obarczali OUNowców odpowiedzialnością za swój los. Nacjonaliści tworzyli zwartą i solidną grupę. Utworzyli w obozie tajne kierownictwo, regulujące różne sprawy. Potrafili szeptem prowadzić dyskusje, mieli kursy języków obcych oraz dokształcające: matematyki, fizyki. Odbywały się wykłady na różne tematy. Najpopularniejszymi wykładowcami byli : W.M. Janiw (Historia filozofii), Lubomir Pełeńskyj (Komunizm w teorii i praktyce), Mykoła Bigun (Historia UWO, Jak zachować się w śledztwie?), Petro Sahajdacznyj i dr Włodimir Horbowyj wygłaszali referaty na ukraińskie tematy historyczne. Makar pisze, iż największe zainteresowanie budziła literatura, przede wszystkim poezja Szewczenki. Recytowano jego utwory przy każdej okazji. Więźniowie potrafili nawet obchodzić uroczyście rocznice narodowe. Byli w obozie poeci i powstały tam utwory. Uczono się ich na pamięć. Niektóre z nich ukazały się następnie drukiem, inne autor cytuje i teraz z pamięci. Największym utworem związanym z Berezą i tamże powstałym jest poemat Dmytra Sztykało pt. ,,Duma o Berezie Kartuskiej'', tworzyli ponadto : Roman Gut-Kluczyckyj, Roman Mirowicz (również kompozytor), Bogdan Goszowskij i Ostap Derlic. Wartości literackiej tych utworów nie jesteśmy w stanie — niestety — ocenić. Makar daje zestawienie prawie kompletne ukraińskich nacjonalistów, którzy przebywali w obozie razem z nim. Interesujące jest jego końcowe zestawienie nazwisk byłych więźniów z którego wynika, że przez Berezę Kartuską przeszła grupa najwybitniejszych późniejszych działaczy i dowódców podziemnej armii ukraińskiej jak np. Roman Szuchewicz (Taras Czuprynka), głównodowodzący armii podziemnej, który zginął we wrześniu 1950 roku w walce z oddziałami sowieckimi, Dmytro Grycaj (gen. Perebyjnos) szef sztabu armii ukraińskiej zginął 19. 12. 1945 roku przy próbie przejścia granicy czechosłowacko-niemieckiej, Jarosław Staruch, krajowy ,,prowidnik'' zginął w walce z polskimi komunistami 30. 9. 1947 roku itp. Niektórzy padli z rąk niemieckich, znakomita jednak większość z rąk sowieckich.

Zanim przejdziemy do streszczenia nakreślonej przez autora pamiętników charakterystyki innych grup więźniów konieczne jest zacytowanie pewnych uwag ogólnych o zmieniających się warunkach w obozie. Jak już wspomnieliśmy, Makar pisze, że pierwsze zwolnienia z obozu nastąpiły 18 września 1934 roku. Nadano temu charakter uroczysty i obecni byli między innymi wiceminister Kawecki, woj. Kostek-Biernacki, obaj w otoczeniu pomniejszych dygnitarzy.

Zazwyczaj każde zwolnienie poprzedzał przyjazd Kaweckiego. Jakkolwiek nie zawsze pokazywał się więźniom na oczy, wiedzie-

liśmy o każdej jego wizycie i wiązaliśmy z nią wielkie nadzieje. I trzeba przyznać, iż nie zawiedliśmy się w naszych oczekiwaniach. Kawecki przywoził ze sobą nie tylko spis więźniów przeznaczonych na zwolnienie lecz wydawał na miejscu zarządzenia, zmierzające do poprawy bytu pozostałych więźniów. I tak np. pewnego razu, w listopadzie, stwierdził, że więźniowie są pokryci błotem. Dowiedziawszy się, że pracowaliśmy w deszczu i słocie w polu wydał zakaz zatrudniania poza obozem w podobną pogodę. Innym razem zauważył, że więźniowie połykali wieczorną zupę bez chleba. Zagadnął więc jednego: ,,A gdzie chleb?". Zjadamy go razem z kawą na śniadanie, gdyż porcje są bardzo małe". Kawecki pokiwał tylko głową, ale następnego dnia zaczęliśmy otrzymywać po 75 dkg. dziennie zamiast dotychczasowych 35 dkg. W tym czasie każdą zmianę na lepsze witaliśmy z zadowoleniem i stąd z wdzięcznością wymienialiśmy nazwisko Kaweckiego. Ze wspomnień adwokata warszawskiego Honigwilla wynika, że Kawecki był w gruncie rzeczy cynicznym ,,draniem", posłusznym wykonawcą rozkazów Sławoja-Składkowskiego. Może i tak było, lecz mimo to starzy bereźniacy zupełnie inaczej wspominają Kaweckiego, aniżeli Kostka-Biernackiego, choć jeden i drugi byli tylko sługami tego samego reżymu.

Wzajemne stosunki z grupą polską były od pierwszej hwili złe. Na początku były próby dyskusji, które jednak szybo się zakończyły. Ukraińcy stwierdzili, że mają przed sobą gnorantów i zaledwie dwaj-trzej Polacy wyróżniali się.

Rezultat dyskusji był bardziej aniżeli marny. Kandydaci na przyszłych przywódców narodu polskiego okazali się ignorantami w omawianych sprawach, a w zagadnieniach ukraińskich, białoruskich i wschodniej Europy zamykali się w ogólnikowych frazesach o prawie każdego narodu do własnego życia państwowego. Zastrzegali się jednak, że o oderwaniu ,,Kresów" od Polski mowy być nie może. W tych warunkach przestaliśmy rozmawiać na tematy polityczne. Cała mądrość polityczna większości endeków sprowadzała się do ,,znajomości" zagadnienia żydowskiego. Młody Lewandowski, z którym w ciągu kilku tygodni wypadło mi sąsiadować, przez kilka wieczorów wykładał sprawę ,,rytualnych mordów", pokłócił się na różne ,,historyczne fakty" i cytował Talmud oraz protokóły ,,Mędrców Sjonu". Każdy swój wykład zamykał twierdzeniem, iż musi się z Polski usunąć Żydów przy czym posługiwał się następującą strofą Norwida:

,,...Bo nie ma ugody,
Gdy w jednym kraju żyją dwa żywe narody,
Pragnień im nie odbierzesz, ziemi im nie dodasz ,
Jeden musi ustąpić : gość albo gospodarz".

Makar wywodzi dalej: ,,To co już w pierwszych dniach spoodowało nasze ostre nastawienie wobec Polaków-współtowayszy niedoli, to był wyraźny i jaskrawy brak prymitywnej, dzkiej solidarności oraz zwyczajnej godności ludzkiej w odnieeniu do ogółu więźniów". Zarzuca grupie polskiej obłudę i to awet we własnym gronie, utrzymuje, iż z niej rekrutowali się onosiciele. Zawdzięczali jej jedynie usunięcie sadysty Bosow-

skiego. Gdy ten bowiem sprofanował uczucia religijne złożyli meldunek insp. Grefnerowi wskazując, iż dopuścił się tego przestępstwa w obecności Ukraińców.

Przysłowiową kroplą, która zadecydowała o zerwaniu stosunków z grupą polską były nadużycia popełniane przez nią w kuchni. Posterunkowy Markowski wyznaczył do kuchni pięciu więźniów Polaków i jakkolwiek pozostali uskarżali się, że obsługa kuchenna faworyzuje swoich, władze pozostały nieczułe. Z chwilą jednak, gdy kradzieże stały się jaskrawe i wykryto schowane garnki tłuszczu, Grefner dokonał radykalnych zmian. Odtąd tylko główny kucharz był zawsze Polakiem a pozostali zmieniali się co tygodnia, za każdym razem z innej grupy.

W okresie pobytu Makara w Berezie 30-osobowa grupa komunistyczna pod względem narodowościowym liczyła 40 % Ukraińców, 40 % Żydów i 20 % Białorusinów i Polaków. Stosunki z tą grupą były również złe, bodajże jeszcze gorsze aniżeli z grupą polską, a jeszcze gorsze z żydowskimi komunistami. I z komunistami były początkowo próby dyskusji, zostały jednak zerwane na wyraźny rozkaz tajnego kierownictwa ukraińskiego. Komuniści mieli często prowokować nacjonalistów i nieraz dochodziło do bójek. Żydowscy komuniści mieli się pogardliwie i lekceważąco odnosić do swoich towarzyszy z innych narodowości, przede wszystkim do Ukraińców. Zarzuca im również, że wymigiwali się z pracy, natomiast utrzymuje, iż tworzyli grupę solidarną, zdyscyplinowaną. Autor kreśli sylwetki niektórych swoich współtowarzyszy.

Ostatnie dni Berezy Makar kreśli na podstawie opowiadań Romana Mandryka oraz relacji pośrednich kilku innych więźniów ukraińskich. Według tego na dzień 3. 9. 1939 roku obóz liczył około 3.000 a na 12. 9. aż 7.000 więźniów. Obóz był koszmarem. Bito wszystkich i bezustannie. W obozie znajdowały się również kobiety i dzieci. Nagie kobiety wprzągnięto do kieratu, by ciągnęły wodę. Zdecydowanym sadystą był posterunkowy Gosławski z Warszawy, specjalizujący się w odbijaniu nerek. Mandryk twierdzi, iż z jego otoczenia zamordowano sześć osób, wiadomo mu również o rozstrzelaniu w barakach kilku Niemców. Dwóch księży znaleziono powieszonych na belkach świniarni. Więzień, dr Żukowski relacjonował, iż wieczorem 17. 9. drugi i ostatni komendant obozu insp. Józef Kamala Kurgański zebrał całą obsadę Berezy, składającą się wówczas z 300 policjantów i 400 wojskowych, i wygłosił do nich przemówienie na temat sytuacji, donosząc, że w obliczu zbliżania się Niemców, trzeba wysadzić w powietrze obóz. Jest on już zaminowany, ale prosi o zgłoszenie się pirotechnika, który by na dany rozkaz zapalił jedną minę. Z szeregu wystąpił sierżant który oświadczył, iż nie jest pirotechnikiem, natomiast protestuje jak najmocniej przeciw zamiarowi insp. Kamali. Mówił, że zbrodnia taka okryłaby hańbą imię Polski. Kamala nazwał sierżanta zdrajcą i zastrzelił go własnoręcznie przed frontem zebra

nych. Nastąpił silny nalot niemiecki i wszyscy rozproszyli się. Informator Makara przypuszcza, że Kamala zginął wówczas, jednakże inny informator, Jurko Fedorowicz, utrzymuje na podstawie opowiadań niejakiego por. Bajdy, że Kamalę spotkał jesienią 1939 roku w więzieniu w Krakowie a następnie w obozie oświęcimskim. Tam znęcali się nad nim codziennie gestapowcy oraz dodatkowo „kapo". Ci ostatecznie zrobili z niego pewnego dnia „sopel lodu". Posterunkowy Mieczysław Sitek miał, pod nazwiskiem Zygmunt Bielecki, służyć w policji pod okupantem. Został rozpoznany przez jednego z ukraińskich więźniów, który nie tylko nie zemścił się nad nim, lecz poradził mu zniknąć z terenu.

Więźniowie opuścili obóz 18-go września, gdyż straż znikła poprzedzającej nocy. Rozbiwszy się na grupy, różnymi drogami zdążali do swoich miejsc zamieszkania. Wspomniany już Mandryka utrzymuje na podstawie opowiadań dr Żukowskiego i dr Sajkiewicza, że w Białej Podlaskiej, udając dla bezpieczeństwa polskich opozycjonistów zostali przyjęci przez wicestarostę. Ten zwalał odpowiedzialność za klęskę wrześniową na Ukraińców i pokazał im tajny plan opracowany w ministerstwie spraw wewnętrznych, przewidujący w 1940 roku masowe przesiedlenie Ukraińców na Podlasie i osadzenie na ich miejsce Polaków z zachodnich województw.

Opowiadanie to brzmi więcej aniżeli nieprawdopodobnie. Końcowe uwagi Wł. Makara o charakterze moralizatorsko-historiozoficznym, łącznie z jego wnioskami, pozostawiamy na uboczu.

B. H.

Amerykański dziennik mjra Hordyńskiego

Józef Hordyński, major 10-go pułku ułanów litewskich, rodem ze Stryja w Małopolsce Wschodniej, był pierwszym powstańcem listopadowym, który znalazł się w Stanach Zjednoczonych. Wylądował w Bostonie dnia 7-go listopada 1831 roku. Weteran napoleoński Hordyński służył w Polskim Korpusie Saperów przez 17 lat (1). W powstaniu listopadowym walczył od pierwszej chwili. Ostatnie kampanie odbywał pod Generałem Rollandem, na Litwie w ramach Korpusu Generała Giełguda, który wyparty został przez nacierające wojska rosyjskie w połowie lipca 1831 roku poza granicę wschodnio-pruską.

Ranny w ostatnich bitwach, Hordyński uciekł z kwarantanny, przeciw szalejącej wówczas cholerze. Schwytany przez Prusaków, został uwięziony w Rognicy skąd po piętnastodniowym „najnędznieyszem przebywaniu" odesłany został w grupie oficerów do fortecy w Piławie. Gdy po kilku tygodniach zelżały surowe rygory Hordyński, korzystając z mniejszej czujności strażników, wyszedł na miasto, gdzie przypadkowo spotkał dwu oficerów amerykańskiej marynarki wojennej Kapitana Bearnicot'a i Smith'a, którzy zaofiarowali się przewieźć go na swej fregacie *Eliza-Ann* do Ameryki. Było to dnia 18 września 1831 roku. Hordyński bez wahania zdecydował się skorzystać z tej niezwykłej oferty jako że :

> Warszawa już upadła, każdy Polak widział niknącą ostatnią nadzieję, trzeba było tylko starać się, żeby nie być wydanym w ręce Moskali, i czekać na ustroniu sposobności służenia znowu ojczyźnie.
>
> Pożegnawszy tedy w Piławie kolegów Czetwertyńskiego i Grabowskiego, którzy mieli jechać do Francji na belgijskim okręcie, siadłem na brig. amerykański Eliza Ann i ukryty przez dzień cały, popłynąłem do Ameryki (2).

---

(1) Mieczysław Haiman. *Z przeszłości Polskiej w Ameryce : Szkice Historyczne* (Buffalo, 1927), p. 193.

Dnia 22 września 1831, już na Bałtyku, Hordyński rozpoczął pisanie swego dziennika, który przechował się w zbiorach Rapperswilskich jako Manuskrypt Nr 334 wraz z listami i pismami Hordyńskiego, zaklasyfikowanymi tamże jako Rękopis Nr 779. Zapobiegliwy kustosz Muzeum i Archiwów Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Chicago, zmarły w czasie ostatniej wojny lwowianin, Mieczysław Haiman, zajął się z benedyktyńską troskliwością spisaniem wszystkich osiągalnych materiałów do historii Polonii amerykańskiej. Dzięki temu kopie wielu cennych rękopisów znajdują się w Chicago. Zostały mi one uprzejmie udostępnione przez obecnego kustosza tegoż Muzeum i Archiwów pannę Sabinę Logisz, w związku z moją rozprawą doktorską pt. „The United States and the Polish Exiles of 1831" (Stosunek Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Emigracji Polskiej) przyjętą w 1953 roku.

W poniższym artykule pominąłem mniej istotne ustępy (jak np. opis podróży morskiej) nieopublikowanego dotąd dokumentu, stanowiącego ciekawy przyczynek do ówczesnych stosunków polsko-amerykańskich.

Dn. 22 września 1831 r.

P-znałem dn. 18/ p. Smith i Bearnicot Amerykanów, którzy przybyli do Pilau.

Przybywam w nocy z 21/9 na 22/9 na Bryg rano o 6-tej odpływamy, służy nam wiatr pomyślny zostaję chory.

Zaczyna się nowa kariera życia, iedna z najważniejszych, iestem wybawiony z niewoli okropney pruskiey iadę do kraju wolnego.

Przychodzą mi myśli do głowy, że coraz daley od ukochaney oddalam się Oyczyzny...

Dn. 6 listopada — Niedziela.

Naypiekniejszy Poranek, iestem spokoynieyszy... dobry, lecz słaby wiatr, iednak cokolwiek posuwamy się w Dyrekcyi — Ptaszki dwa lądowe okazuią się nam, ieden siada na Okręt i spiwa, wszystko to wzbudza wielką radość — Maytek Stopings o godz. 2-giey popołudniu zakrzyknął z wierzchołka Masztu *Ląd* — zapłakałem z radości. Bóg naywyższy dał mię szczęśliwie przeprawić się przez ogromny ocean, pozwolił oglądać Amerykę Północną, Kray ten, który każdy Polak tak wiele ceni — dużo okazuią nam się Okrętów płynących z nami... okazuie się fanfar w Kap-Kar z łzami radości patrzę na to wszystko. . . . .

8/11 *Wtorek*

. . . . Mamy tu stać w kwarantannie — o godz. 9-tey z rana iedzie nasz kapitan (Bearnicot) do dozorcy szpitalu, wkrótce z nim przybywa i ten oś-

(2) Józef Hordyński. „List Polaka o Ameryce Północnej", z broszury *Kazimierz I*, wydanej w Paryżu dnia 24 sierpnia 1832 roku. (*Z Pamiętnika Emigracji* wydawanego przez Michała Podczaszyńskiego).

wiadcza nam że zaraz możemy iechać do Miasta Boston. (Piękno widoków bostońskich) .... O godzinie 1-szey popołudniu staiemy w Boston — Pan Smith bierze mnie z sobą do Kantoru jego współtowarzysza, poznaię P. *Connigham* człowiek piękny, mowiący po francusku, dobrze iestem przyięty, wychodzimy niedługo z Kantoru P. Conningham. P. Smith zaprowadza mnie do hotelu (Commercial Cofee House) Milk-street — dostaię tu Pokoik — iestem szczęśliwy — popołudniu poznaię Brata P. Smith. Kupiec, jestem w teatrze — zaprowadził mnie i zaprosił P. Fasciul — z Turcyi, Kap. Okrętu — którego w wieczór w Hotelu poznaię — w teatrze robi ze mną znaiomość (P. Thomas Perkins Young) i ofiar. 14 Dol. — Poznaie Mr. Petit francuz który daie lekcyie ięzyka.

9/11 *Środa*

Iestem na obiedzie u P. Benjamin Smith poznaię iego żonę i dwie siostry .... Pan Wilhelm radzi mi bydź ostrożnym co do robienia znaiomości. W wieczór gdy iuż w łóżku leżałem ....był p. Assur z Toronta, maiętny, zostawia mi 10 Dol. Dobry zdaie się człowiek.

10/11 *Czwartek*

u Oyca B. Smith - - - nayprzyiemniejszy spędziłem wieczór .... śpiewaliśmy polskie pieśni z P. Wilhelmem .... Pan Assur ofiarował mi swą pomoc osobliwie pieniężną, mówiłem mu, iż tego nie potrzebuię i to co mi ofiarował iest dostatecznym — delikatnie ale iak Polak odmówiłem wszelkiey głośney pomocy.

Uznaliśmy z P. Wilhelmem że trzeba publiczności podać iakim sposobem i dlaczego przybyłem — trzeba dołożyć naywiększego starania ażeby zasłużyć na dobrą opinię Amerykanów, którzy nas tak lubią.

11/11 *Piątek*

Rano przybył do mnie p. Deszler fechtmistrz — pisałem do publiczności względem przybycia mego. Jakiś Jegomość do dzis. gazety (Daily Evening Transcrit) podał fałszywe o mnie wiadomości, odpowiedziałem dn. następnego i późniey na to, wszystkie te gazety mam przy mnie i zachowam na zawsze — Pan Assur prosił mnie i P. Wilhelm do Hotelu na obiad — przyjemny spędziłem moment. Względem tego podania do gazet mieliśmy wszyscy małe zmartwienia, P. Assur, P. Wilhelm i ia (3). Pan Wilhelm

(3) Boston *Daily Evening Transcript* opublikował dn. 11 listopada 1831 roku artykuł pt. ,,Major Hordyński'' podpisany inicjałami S. T. Autor wskazywał na to, iż ,,Hordyński jako cudzoziemiec oczekuje uprzejmości, jako Polak zasługuje na uczucie sympatii''. Dobre wrażenie zrobiły słowa Hordyńskiego, że ,,chociaż Ocean przedziela Stany Zjednoczone od Polski, Ameryka jest dobrze znana w Polsce, gdzie była niejako hasłem mobilizującym walecznych bojowników''. Dowiedziawszy się o fakcie ofiarowania pewnej kwoty pieniężnej Hordyńskiemu przez jednego z mieszkańców Bostonu w dniu przybycia Polaka od miasta, autor artykułu wnioskował iż Hordyński znajdował się w wielkiej potrzebie finansowej i stwierdził w najlepszej wierze, że chyba nie ma ani jednego obywatela Bostonu, który będąc w stanie dopomóc odmówiłby udziału w zbiórce na tego ,,dzielnego obrońcę swego kraju''. Hordyński poczuł się wysoce dotknięty tego rodzaju apelem do publicznej dobroczynności na jego rzecz i udał się z miejsca do redakcji dziennika aby wyrazić swoje wzburzenie. W rezultacie tej interwencji już następnego dnia, tzn. 12-go listopada 1831 r. ukazał się w *Boston*

zaprowadził mnie od krawca i kazał zrobić Tużurek polski — kupiłem grzebienie, dałem 1/2 Dolara — Pan Assur pożegnał mnie wieczór .... 20 Dol. odieżdża do New Yorku i New Orleanu.

Starać się nayspieszniey wrócić do Oyczyzny ieżeli dobre potwierdzą się wiadomości, ieżeli zaś nie można, to albo w Francyi, albo w Ameryce w służbę — Nigdy publicznie nie okazuy wesołości, niechay mina twa stosuie się do naszych nieszczęść, bądź przyiemnym lecz wstrzemięźliwym.

12/11 *Sobota*

Podanie do gazet o mnie przez iakiegoś młodego człowieka niebyło to w złym względzie, ten człowiek myślał mię dogodzić — nie znał Polaków iednak rzecz tę nie trzeba brać tak czule, oddać to czasowi, który amerykanów przekona iak Polacy myślą. — Codzień rano i wieczór powtarzay sobie, że Honor Polaków utrzymywać to iest wszystko czego żądasz. Biuro, w którym naypierwiey o mnie podano iest przy Ulicy Exchange-Street W.4 — Redaktor P. Walter godny człowiek. — Byłem u Oyca P. Smitha na obiedzie miły przepędziłem Moment. — P. Dreszler fechtmistrz prosił mnie bydź w wieczór. .... Wychodząc z teatru poznałem 6-ciu Francuzów lecz niewiem ich nazwiska, prosiły mnie do Restoracyi do P. Chaine (francuzka kawiarnia) tam dwie godzin się zabawiłem, zaproszony zostałem przez nich na Obiad francuzów połączenie się z Polakami na Srodę o godz. 4-tey. Pożyczyłem książek do czytania (Consideration sur la revolution de France par Mme Stael).

13/11 *Niedziela*

Naywiększa panuie cichość w Mieście iest to kontrast dnia niedzielnego z dniem powszechnym, cicho na Ulicach, nikt nie ieździ .... — zapytałem

---

Evening Transcript artykuł pod takim samym tytułem „Major Hordyński". Autor wyraził ubolewanie z powodu niezamierzonego wyrządzenia przykrości tak wysoce subtelnemu („high minded") człowiekowi, który z godnością odrzucił wszelkie posądzenie jakoby zabiegał o jałmużniczą pomoc. Hordyński oświadczył w redakcji pisma, iż gotów jest imać się każdej, chociażby fizycznej, pracy by tylko nie przynieść niesławy swemu narodowi przez korzystanie z dobroczynności. Ten sam numer dziennika opublikował osobiste oświadczenie Hordyńskiego skierowane do „Ludu Stanów Zjednoczonych". W zbiorach rapperswilskich zachował się polski tekst tego oświadczenia zaczynający się w sposób następujący:

Szacunek i przywiązanie którem Polacy dla wielkiego narodu półn. Amerykanów pałaią, nakazuią mi oświadczyć publicznie cel przybycia moiego — Polak przed Wami żadnych niema i nie powinien mieć skrytości.

Mieszkaiąc w Warszawie .... od początku rewolucyi naszey byłem tam, gdzie powinność każdego wołała Polaka — .....

Poważny dziennik *New York Whig* podał również obszerny opis przejść wojennych Hordyńskiego w numerze z dn. 23. XI. 1831 roku. Opisawszy swoją podróż Hordyński zakończył apel tymi słowami:

„ . . . itym sposobem wybawiony od smutney przyszłości, uszczęśliwiony iestem oglądaniem Brzegów Ameryki Północney i tego wielkiego narodu, którego Polacy tak wiele poważaią. Jeżeli jednak Polak do waszey krainy przybywa, nie iest to w celu odpoczywania lub prowadzenia nieczynnego życia, lecz ażeby mieć tym łatwieyszy sposób użytecznym bydź ieszcze dla drogiey Oyczyzny swoiey, lub ieżeli to iuż nie będzie możnością — ieszcze walczyć za pomyślność innego wolnego narodu — przyszłość to okaże

Major nowo-formowanego Pułku Ułanów Litewskich.
Józef Hordyński"

się o Kościół rzymsko-katolicki, zaprowadził mnie służący (Martin Keler) szczerze do Naywyższego modliłem się i prosiłem żeby raczył zlitować się nad moią ukochaną, nieszczęśliwą Oyczyzną i nademną, dziękowałem z łzami, że raczył wybawić mnie z tylu niebezpieczeństw — Kościół mały czysty, śpiewy przyiemne — po mszy św. prosiłem o zaprowadzenie mnie do księdza, obowiązałem go, żeby była Msza św. by Naywyższy pobłogosławił naszą Oyczyznę i wyratował od okropney zguby będę się w tym dniu spowiadał.

14/11 *Poniedziałek*

Z p. Beniaminem Smith byłem w Domu w którym Rewolucyę zaczęły .... (4) Amerykanie byli ucieszeni, cisnęli się do mnie — właśnie jest to dzień, w którym wotowano na nowo dla obrania gouvernera, senatorów i inne urzędniki w Stanach Zjednoczonych. ....

Pan Chaine przyniósł mi popołudniu gazety francuzkie zwane (Le Courrier des etats unis) New York Samedi le 12/11 1831 (są b. dobre wiadomości z Londynu i niższego Renu względem kochaney naszey Oyczyzny). W domu Elekcyj widziałem portret Washingtona — Napisy Kościuszko i Skrzynecki. Posprawiać sobie jaknayprędzey to co iest naypotrzebnieyszego i iechać do New Yorku, a potem do New Orleanu żeby iak nayspieszniey dostać się do Francyi — dlatego forsować ięzyk angielski, w Francyi służyć w Korpusie Inżynieryi — iutro o tym pomówić z P. Smith — główny zdaie się proiekt ten powinien bydź: Jeżeli excituie Oyczyzna natychmiast iechać, ieżeli nieszczęśliwa zawsze iechać do Francyi i tam służyć, z pisaniem więc do Generałów niema się co śpieszyć albowiem w tym czasie poważnieysze nadeydą wiadomości nim odpowiedzi by przyszły na moie listy. Czekać zatem z Listami. Zacząłem pisać dziełko o naszey Expedycyi na Litwę.

15/11 *Wtorek*

Byłem dziś rano w Kościele. Msza była na moią prośbę za ukochaną Oyczyznę, dziękowałem Bogu iż raczył wybawić od smutnej przyszłości i pozwolił szczęśliwie przebydź Ocean. .... Child przyniósł mi adres, który młodzież z Bostonu posłała do Polski. .... (5)

18/11 *Piątek*

Piękna przychodzi mię myśl do głowy, że choć do naypierwszego kraju, gdzie będzie woyna o wolność. ....

19/11 *Sobota*

Byłem u p. Child iest to Redaktor bardzo godny człowiek mówił mię, że mogę dobrze być uplasowanym w Korpusie Inżynierii Amerykańskiej i względem mego dziełka chce mię poradzić — wieczór byłem u P. Benjamina — miły wieczór.

21/XI *Poniedziałek*

P. Child, o godz. 9-ey wieczór oddał mi wizytę .... chce zrobić żebym w Kompanii która drogi żelazne wzięła do Enterpryzy iako Inżynier był umieszczonym.

(4) Zapewne historyczny Faneuil Hall w Bostonie.

(5) Młodzież Bostonu ofiarowała powstańczej Armii Polskiej z początkiem września 1831 roku dwa sztandary wraz z uroczystym adresem. Zabrał je do Europy Dr. Samuel Gridley Howe.

23/XI *Sroda*

.... pokazałem kobietom mazura, to iednak nie trzeba robić drugi raz — w Gazecie dzisieyszey bardzo smutne z Warszawy wiadomości.....

25/XI *Piątek*

Przychodzi mię myśl do głowy zamiast opisania Expedycyi na Litwę podać kompletne dzieło o Rewolucyi naszey — ....

26/XI *Sobota*

.... — Trzeba mało opowiadać o kampaniach — osobliwie o sobie, na każde zapytanie o sobie odpowiedzieć krotko — byłem lub nie. —

28/XI *Poniedziałek*

Rano przybył P. Wilhelm, poszliśmy z nim do P. Child (naygodnieyszego człowieka) w interesie radzenia się iego czy iechać do N. Yorku, oświadczył iż lepiey pozostać w miejscu, iednak żeby napisać do Prezydenta i prosić o uplasowanie — później obiecał mię w wszystkim bydź pomocnym, o godz. 3-ey poszedł z mną do Bibliotekarza P. ten przyimnie na siebie wszelkie depensy dzieła mego, tym sposobem można się będzie iakiś czas utrzymywać, był z mną dla wynaięcia Stancyi, taniey i spokoyney — Powziąłem myśl pisać później dziełko (o użyciu prawdziwym fortyfikacyi polowey).

29/XI *Wtorek*

Dziś rocznica naszey Rewolucyi, posłałem list do JW Prezydenta Andrew Jackson, gdzie rapportuię o przybyciu i proszę o uplasowanie mnie (6) w wszystkich działaniach radzić się P. Child, on w wszystkim musi być słuchanym. Bydź skromnym w ubiorze, z Bogatemi mało się wdawać, z francuzami bydź niezmiernie wstrzemięźliwym w mówieniu, pokazać powagę. — (7)

---

(6) Polski brulion listu do Prezydenta Jacksona miał brzmienie następujące:

,,Będąc tak szczęśliwym dostać się do Kraiu wolnego narodu amerykanów północnych poczytuię sobie za obowiązek o przybyciu moim zaraportować J.W. Gen."

J.W. Generałowi wiadome są zapewne okoliczności, które Korpus Generała Giełguda (następuje opis walk i dostania się do pruskiej niewoli oraz wydostania się z niej do Stanów Zjednoczonych, poczem Hordyński referuje swój życiorys i przedstawia dokumenty, potwierdzające jego awans na majora z dn. 9 kwietnia 1831 r.) .... gdy z nieszczęściem moiey Oyczyzny powrót do niey mi iest wzbronionym, przedstawiaiąc JW Gen. stan nieszczęśliwey pozycyi, w ktorey się znaiduię, ośmielam się upraszać o uplasowanie mnie w Zakładzie woyskowym Inżynieryi — co do ięzyki posiadam polski, rossyjski, francuski, niemiecki i włoski.

Przy wyrażeniu mego wysokiego uszanowania
mam honor bydź
JWGen

Boston dn. 28. XI. 831."

(7) Zwyczaj ustalenia dla siebie sposobu bycia charakterystyczny dla Dziennika Majora Hordyńskiego żywo przypomina podobną technikę pisarską popularnego dziś osiemnastowiecznego kronikarza Szkota — James Boswell'a, który bawiąc na obczyźnie w Holandii, nakreślił sobie samemu podobny, surowy kodeks postępowania.

30/XI *Środa*

Znaiomość w Ameryce nie daie mię powagi nie iest mię wcale potrzebna, zatem unikać znaiomości z bogatemi, może by myśleli że ich łaski potrzebuię. Polak do tego nadto iest ambitny, — iestem Maiorem polskim, dla mnie iest wszystko, zaczęliśmy wszyscy Polacy życie awanturnicze, trzeba go dokończyć, gdzie tylko woyna będzie o wolność tam Polak każdy pośpieszy. Wieczór byłem u P. Child. —

5/XII. *Poniedziałek*

Cały dzień leżałem, byłem bardzo chory na bół głowy. —

7/X *Środa*

Rano byłem u P. Child wprowadził mie do P. Snelling, który iest tak dobry tłumaczyć moie dziełko, ...

8/XII *Czwartek*

Rano byłem u P. Snelling, zaczęliśmy tłumaczyć — wieczór u P. Smith.

9/XII *Piątek*

P. Filip obiecał pomagać mie w smutney mey sytuacyi.

13/XII *Wtorek*

P.. Monroe przysłał mie rano 3 hoszul flanelowych — byłem tego dnia u P. Child.

14/XII *Środa*

Zaczynam poznawać P. Sn., iest to człowiek sądowy, pełen wybiegów prawnych, człowiek intryguiący — trzeba niezmiernie bydź skromnym w mówieniu z nim i pogardzać, okazywać prostotę. Szlachetność żołnierza — z kompanią 12-tu osób na objedzie w Brighton, objad ten dał P. Monroe.... bawiliśmy się, śpiewałem różne pieśni rewolucyjne, podobały się niezmiernie, ziednałem sobie kompanię, wszyscy prosili mnie, żebym ich odwiedził — P. Sn. ciągle intrygował, byłem grzecznym i pogardzaiącym nim sposób dobry — P. Child obiecał mię, że będę przyięty w grono La . . . . i to podało myśl o Sy . . . . i o godz. 12tey w nocy wróciliśmy. (8)

17/XII *Sobota*

. . . . tego dnia był Pan Profesor Gretter u mnie, bardzo grzeczny oświadczył mię, iż chce tłumaczyć dziełko moie —

20/XII *Wtorek*

P. Snelling znowu był niegrzecznym, iest to głupi adwokat, który chce coś wielkiego okazać — trzeba bydź wstrzemięźliwym, powiedzieć prawdę bez dąsania się — popołudniu idąc na spacer spotkałem syna Burmistrza Miasta P. Otis — iest to fanfaron którym pogardzać trzeba — w razie go spotkania krótko z nim mówić.

(8) Nie jest wykluczone iż chodzi tu o jakieś zrzeszenia o charakterze wolnomularskim.

23/XII *Czwartek*

Wieczór byłem u p. Milke, odieżdża iutro do Filadelfii. Obiecał protegować moie dzieło. — zdaie się człowiek dobry. (Niemiec — był w Warszawie)

23/XII *Piątek*

Mówiłem P. Snellingowi, iż dla śpiesznego ukończenia prosić będę P. Gretter dla tłumaczenia dziełka moiego — zgodził się popołudniu byłem u P. Grund i Gretter — okropnie opisali mi amerykanów — są to ludzie chciwi, bez uczucia, — Bogactwo wszystko znaczy — ubogim pogardzaiący. — — —

24/XII *Sobota*

Nie mówić przed P. Grund i Gretter na Amerykanów .....

26/XII *Poniedziałek*

Dzień przeszedł smutno dla mnie, w moiey kwaterze nie zaczyna mi się podobać, ludzie wszyscy nie maiące charakteru — Intryganci. moy Boże nie raz wspomniałem gdzież jest ten kawałek ziemi szczęśliwy bez tych potworów.

27/XII *Wtorek*

P. Boys iest to głupiec — prawdziwy student — pełen głupich komplimentów — wciąż maią w ustach — dziś przy obiedzie tym głupim wołaniem i tytułowaniem rozgniewany dałem delikatnie poznać że tego nie lubię.

.... tak mi się zdaie ten P. Gretter i Grund są to 2 osoby iak wszystkie Niemcy, którzy lubią obmawiać — ostrożnie z niemi —

29/XII *Czwartek*

Wielki śnieg nie bardzo zimno, dowiedziałem się o Polakach, że są w Paryżu — napisać do Komitetu .... Myśl żeby dzieło zupełnie darować amerykanom bardzo mię zaimuie, iednak trzeba się zastanowić, żeby sobie nie popsuć — wszakże drugostronnie biorąc, można coś dobrego zrobić dla amerykanów temi pieniędzmi — dnia 29/XII w Patriot i Adverjser piękne wezwanie od Rodaków w Anglii i Francyi się znaidujące do Rodaków żeby szły do Ameryki — Myśli żeby fundusz z dziełka dla Polaków którzy tu przybędą ... (9)

---

(9) W prasie amerykańskiej ukazała się ówcześnie odezwa polska, nawołująca do emigrowania do Stanów Zjednoczonych i porzucenia Europy zachodniej, która uchyliła się od pomocy Powstaniu Listopadowemu Autorstwa tej odezwy nie udało się jak dotąd nikomu zidentyfikować. Znalazła ona niezwykle życzliwe echo w prasie amerykańskiej. Komentując ją *Buffalo Journal and Advertiser* wysunął w artykule pt. ,,Krew Polski" po raz pierwszy projekt darowizny Kongresowej w postaci przyznania ziemi na kolonizację polską na terenie U.S.A., co zostało zrealizowane później jednomyślną uchwałą obu izb Kongresu z dn. 20 czerwca 1834 roku. Darowizna ta nie została jednak nigdy, mimo wysiłków emigrantów polskich, wcielona w życie ze względu na szereg trudności lokalnych w stanie Illinois.

30/XII *Piątek*

Boże dziękuię Ci że natchnąłeś mie myślą ażeby fundusz z dziełka przeznaczyć dla biednych mych rodaków, którzy niemaiąc iuż oyczyzny tułać się muszą po świecie, o godz. 12tey przedstawiłem to w kwaterze Panu Snelling i Gretter — pochwalili prosiłem ich żeby to podać w prospekcie jaki o dziele wyjdzie. — Pan Wilhelm był u mnie popołudniu — Pan Palmenier prof języka francuskiego będąc u mnie popołudniu, oświadczył mi nowinę iako wszyscy polacy, wchodzące w służbę Francyi będą adoptowane francuzowi — pisać do Lafayette — lepiey zaczekać cóż napiszę — przez pisma nigdy się nic nie zrobi.

31/XII *Sobota*

. . . .Myśl, żeby z funduszów z dziełka pożyczyć na naynieodzowniejsze potrzeby, pozatem starać się oddać — iechać do Mexico, tam może to dziełko dobrze póyść. — . . . .

1/I 1832 *r. Niedziela*

myśl, żeby napisać Romans Historyczny z czasów Rewolucyi ostatniey . . . . 3 plan/ *Podanie do prospektu dzieła względem przeznaczenia funduszu.*

O godz. 4-tey byłem z Panem Snelling u P. Child zastaliśmy P. Apelton (dyplomata) wszyscy 3 radzą mi fundusz przyiąć dla siebie, iest to moia praca, która nikomu tylko mnie się należy, ia mogę potym coś dobrego zrobić — dość że piszę prawdę o Polsce — Czytałem w gazecie iako 4000 Polaków opuściło Kray, chroniąc się do Francyi, uderzyło mię to chciałem dać moią opinię iż lepiey cierpieć w Oyczyźnie iak iść gdzie indziey (10)

5/I *Czwartek*

. . . . Chłopak staienny co mię konia opatrywał/ gospodarstwo w Dorchester/ iak zsiadałem dla wyiazdu pyta się czy ia francuz, ia mu powiadam Polak — radość iego nadzwyczayna — Wieczorem P. Gretter tłumaczył pismo do Rodaków, które do gazet ma iść.

---

(10) Wśród rękopisów Hordyńskiego przechował się polski tekst pierwszego projektu przedmowy do książki o Powstaniu Listopadowym, napisany dn. 2 stycznia 1832 roku. Brzmi on następująco :
,,Amerykanie !

Wy, którzy pobudzeni szlachetnym uczuciem pospieszyliście iuż, nawet na obcey ziemi, dla ratunku nieszczęśliwych mych rodaków, zechcecie przyiąć w dobroci dziełko, opisujące ostatnie smutne zdarzenia Oyczyzny moiey (Arbitralność Rządu, Rewolucyią i Woynę) — Dziełko to ośmielam się Wam dedykować iako dowód dozgonney wdzięczności za przyięcie mnie na Wasze brzegi. — Co się tyczy funduszu tego dziełka, przeznaczony iest dla moich rodaków, których srogość despotyzmu pozbawia Oyczyzny. — Mały Komitet z Amerykanów złożony zaymie się rzetelnym wykonaniem Waszey woli i dystrybucyią summy, z którey poddział publicznie ogłoszonym zostanie.

Boston dn. 2-go stycznia 1832 r. Józef Hordyński"

W tym samym zbiorze przechował się również tekst polskiego listu, który skierować zamierzał Hordyński do ,,Kochanych Braci" na temat przyczyn, stanu i niebezpieczeństw grożących emigracji politycznej. Datował go Hordyński dn. 4 stycznia pod wpływem wiadomości prasowych o masowej emigracji żołnierskiej na Zachód. Listu tego jednak nie wysłał jak się dowiadujemy z dalszych zapisków w jego Dzienniku.

6/I *Piątek*

....P. Gretter rano przyniósł mi nadzwyczaynie wiele nowin, że Korpus Gen. Rybińskiego, Romaryno, Różyckiego nie pozwala się do Kraiu — to powód, żeby wstrzymać podania do gazet — woyna w Europie ia pojadę —

7/I *Sobota*

Byłem na obiedzie u P. Grund — Obiad woyskowy — proszony był Gwardyi Narodowey pułkownik Loring, armyi Major Herszen P. Wende ....Po obiedzie Pułk. Loring rozgrzany winem zaczął niektóre robić niedelikatne adnotacie względem Polski n.p. „Panie Kolego (mówiąc do mnie) wszystko dobrze tylko to nie dobrze, że nie wygraliście" to tonem ironicznym wymówione bardzo obraziło mnie, odpowiedziałem w okolicznościach, w iakich zostawaliśmy — więcey od nas żaden inny naród nie byłby dokazał, nie wdaiąc się więcey w Explikacje, powiedziałem zimno „iesteśmy z siebie kontenci" — gdy iednak ten pan nie przestał, tylko wciąż się odzywał sposobem niegrzecznym, myślałem że chce mnie próbować i żarty ze mnie stroić, przez Pana Grund kazałem mu w tem oświadczyć „że iest niegrzecznym i że te iego niegrzeczności nie mam powodu znosić że ieżeli mu się podoba mogę mu służyć," Iegomość ten przestał — Maior dość pięknie śpiewał i iest dobry człowiek — Śpiewałem toż samo — bardzo się podobało. P. Wende do toastu „Drzewo wolności niech pokrywa swemi gałęźmi Polskę" —

8/I *Niedziela*

Przyszła mi na myśl Amelia Kotówna — Anioł ten, nigdy nic pięknieyszego nie widziałem. Jakież okropne z nią było rozstanie.

Byłem w Kościele i gorąco modliłem się za pomyślność Oyczyzny moiey — byłem u P. Charies — czytałem gazetę że już nie będzie Polski — okropnie cały dzień smutny.

11/I *Środa*

Pan Gretter obiecał mi dać Lekcye języka ang. i zaczął tego dnia.

13/I *Piątek*

Rano czytałem w Gazecie o dziele moim — Gazetkę zachowałem —

17/I *Wtorek*

Wieczór u P. Gretter. Wpadłem w Entuzyazm o moiey Oyczyźnie — Zważywszy sposób exaltowania się przed osobami podobnemi stwierdziłem tego nie robić, kto wie co to za ludzie — iest wielkim moim życzeniem bydź wstrzemięźliwym, w mowie, lecz możliwie bydź panem siebie, któż potrafi hamować nawał uczuć, żalów, które przepełniaiąc serce szukaią ulgę w słowach.

18/I *Czwartek*

....mówił mi Snelling, że nadszedł list z Washyngtonu względem mnie iako teraz niema mieysca nie mogą mnie uplasować — czegoż ten rząd mi nie odpisał — Wszakże ia żadnego nie żądałem uplasowania, tylko czynności, żebym nie był przymuszony bydź w nędzy —iakaż to Opieka

nad Polakiem, w kraiu republik, kraiu, za który Polacy krew przelewali. — *Dzień 22-go Lutego* 1832 *w Boston* (11)

Dzień gdzie 100 lat miia iak Washyngton urodzony. .... Zostałem przez P. Child przedstawiony Gubernatorowi i Prezydentowi Miasta .... było 700 osób. Obiad był zły naymnieyszego porządku, nieczystość — niema nic do iedzenia — do 30kilku razy pito zdrowie — między innemi Kościuszki — oraz dano zdrowie dla Polaków."

Ia podziękowałem zato w tych wyrazach, które P. Snelling oświadczył: ,,Amerykanie — iest dla Polaków w ich nieszczęściu wielka ulga, że przyznaie im wasz naród wypełnienie swoiey powinności, ku Oyczyźnie i wolności." Żądano mię widzieć, stanąłem na ławce, wszyscy krzyczeli, hurah — dużo przyszło osób rekomendować mi się — nie długo zabawiłem— ....

28/II *Wtorek*

Byłem u Inżyniera P. Widziałem plany sytuacyjne i niwelacyjne — mogę lepiey zrobić — trzeba będzie w tym fachu pracować, iak skończę dziełko — Dziś przyszła mi dobra myśl na pamięć. względem wynalezienia prędkiego dowódcy woyska, w czasie Rewolucyi — Powinno się rozgłosić o poddanie wyprawy — tą myśl szerzey rozebrać.

— Trzeba po skończeniu dziełka ryssować Plany sytuacyjne niwelacyjne i architektoniczne — ażeby ubocznym sposobem wyżyć.

4/III *Niedziela*

Ieden iegomość uwiadomił mnie, że dwóch polskich officerów iedzie z Quebeck do Bostonu.

6/III *Wtorek*

Rano będąc u P. Snelling — ten człowiek kiedy mu dyktuie o niektórych zwycięstwach naszych, następuiących iedne za drugiemi — zaczął się śmiać — oburzyło mnie to wyszedłem powiedziawszy mu ,,ieżeli podoba mu się śmiać, to niech się wyśmieye, ia zaś niemam tu nic do roboty wychodzę —

7/III *Środa*

.... — tego wieczora prosiłem p. Cheron, który mnie przyniósł wiadomość o 2-óch Kolegach i rodaków — żeby napisał do swego przyjaciela do Hartford — życzę obszerniey bydź uświadomiony.

8/III *Czwartek*

— Pan Cheron uwiadomił mnie, że powtórnie odebrał list, gdzie wątpią w Hartford że będą Polacy — Przedsięwziąłem pisać do gazet względem tego mały artykuł.

(11) Dziennik Hordyńskiego był przerwany od 20 stycznia do 22 lutego 1832 roku albo też ta część zaginęła i nie przechowała się w zbiorach rapperswylskich. Niepraktykowana dotąd forma wpisanej daty dn. 22 lutego przemawia jednak raczej za pierwszą hipotezą iż przez miesiąc Hordyński pochłonięty pisaniem historii Powstania Listopadowego nie robił żadnych zapisków w swym Dzienniku. W korespondencji Hordyńskiego z tego okresu przechował się natomiast ciekawy list z Nowego Jorku z dn. 2 lutego 1832, pisany przez jakiegoś Francuza przyjaciela Polski, zapraszający Hordyńskiego by skończywszy pisanie swej książki spotkał się z autorem listu w Nowym Jorku.

9/III *Piątek*

Pan Gretter odradził mi napisać względem Polaków do gazet. Odebrałem próbę drukowaną dziełka — zmieniłem w przedmowie — wiersze trzeba zmienić — Amerykanie nic dla mnie nie zrobiły — Co wycierpiałem u M. Tabot żadne wygody — chciwość nadzwyczayna.

13/III *Wtorek*

....Rano gospodyni Domu mówiła mi, że Amerykanie dobre maią o mnie wyobrażenie — .... o moim dziele powiedział mu P. Child — że iest bardzo piękne —

15/III *Czwartek*

Popołudniu skończyłem dzieło moie o godz. 3-ey. Jest ieszcze zakończenie do którego zbieram myśli.

16/III *Piątek*

— .... byłem u Oyca Wilhelma mówiłem żywo względem mey Oyczyzny. — Nie można tego u nich robić — nie są oni do tego — na dole u gospodyni toż samo dużo mówiłem — Iakiś osobliwy dzień.

19/III *Poniedziałek*

Rano zacząłem znowu tłumaczyć z P. Snellingiem — odebrałem .... list od P. Cairon z Stratford względem mniemanych Polaków — wpół godziny potem oni nadchodzą. — Są to prości ludzie Włochy zwiące się Cezar i Jan Zenoni — którzy byli w Polsce, w służbie — jeden z nich mówił trochę po polsku — dałem im radę, żeby się nie mianowali Polakami, to może im bydź szkodliwym — zresztą delikatnie się z nimi obszedłem (12) — Pan Gretter przyniósł mi plany — niedużo ieszcze zaczął. Dziś podać myśl obszerniey względem obrania Dowódcy w czasie Rewolucyi (13)...

21/III *Środa*

Pisałem list do Gen. Kniaziewicza — Wieczór tego dnia czytałem w gazetach o odkrytym spisku między Rossyiskiemi officerami Gwardyi — Pomału nadchodzą rzeczy — od dziś trzeba każdy dzień pisać listy — przez różne okręty, które do Europy odpływaią. (14)

---

(12) Obaj ci Włosi podający się za powstańców polskich celem dodania sobie chwały i wyzyskania propolskich uczuć narodu amerykańskiego byli tematem licznych notatek w prasie amerykańskiej w owym czasie wyjaśniających iż emigracja polska nie może ponosić odpowiedzialności za ich postępki.

(13) Hordyński przypisywał klęskę powstania w dużej mierze brakowi należytego dowództwa, szukał więc teoretycznego rozwiązania tego problemu jak w przyszłości zapewnić akcji rewolucyjnej powodzenie przez właściwy dobór osoby Naczelnego Wodza.

(14) W swoim liście o Ameryce Północnej do Komitetu Polskiego w Paryżu z dn. 20 marca 1832 roku daje Hordyński niezmiernie ciekawą choć mocno zabarwioną pochopnymi, subjektywnymi emocjami ocenę :

,,....Amerykanie wogóle są narodem kupieckim i można powiedzieć, najpierwszym w świecie co do przewrotności i sposobów używanych w interesach handlowych. Podobny, przeciwny polskiemu, sposób życia sprawia,

22/III *Czwartek*

Podałem do gazet względem osób którzy chciałyby wydać się za Polaków. — Gazettę iak wyidzie zachowam — powtarzam bydź grzecznym z tuteyszymi.

---

iż mało tu są cenione nasze wyższe uczucia, na wszystko patrzą obojętnie. Zdaje się, że dosyć powiem iż Polak tu kontent być nie może. Naród nasz, który w miłości Ojczyzny i obronę jej całą swą sławę zasadza, musi być dziwnym dla Amerykanów, którzy wcale nie znają co to jest miłość Ojczyzny, bo kraj w którym mieszkają nie jest ich Ojczyzną, wreszcie może dlatego, że Kraj ten jest sam z siebie ubogi, mieszkańcy nie mają do niego przywiązania. Nic z niego nie mają i byłby najnędzniejszy, gdyby nie miał stosunków handlowych z Europą: tam się zwracają jeszcze ich myśli, bo stamtąd byt swój mają.

Amerykanie wogóle nie cierpią Europejczyków lecz w tej mierze powoduje nimi zazdrość; myślą że każdy przybywający do nich Europejczyk przez zaprowadzenie jakich nowych spekulacji odbierze im zyski . . . .

O naszym narodzie różne są opinie; niektórzy nas szanują i przywiązani są do naszej sprawy, inni znowu niewiedzieć dlaczego nas niecierpią.

Co się tyczy mnie, to jest przyjęcia mego, to było niezmiernie zimne, chociaż mieli wszelkie dowody, choć przybyłem z więzienia prosto z własnymi ich rodakami, wszystko to nic nie znaczyło. Cała publiczność prawie ciekawa była widzieć mnie, ale nikt z ciekawych nie pomyślał, że przybyły jest oficer polski, który za pomyślność równie własnej Ojczyzny, jak i wszystkich ludów niósł swe życie w ofierze, i że temu człowiekowi trzeba znaleźć sposób do życia, stosowny jego usposobieniu i charakterowi. Krótko mówiąc, przyjęto mnie tak, że gdybym nieznalazł jednego domu francuskiego, który zaspokoił najpierwsze i nieodzowne potrzeby, byłbym w najnędzniejszym stanie.

Przybywszy tu chciałem się honorowo zatrudnić, będąc biegłym inżynierem tak wojskowym, jak i cywilnym i pisałem do rządu to jest do prezydenta generała Jacksona, żeby mi dał stosowne jakie miejsce przez czas bytności mojej w tym kraju; ale do dziś dnia żadnej nieodebrałem odpowiedzi. Słowem najmniejszej niemiano nademną opieki.

Muszę jednak dodać na usprawiedliwienie Amerykanów, że w tej mierze sami Europejczycy są winni; przybywają tu bowiem ludzie z najgorszą konduitą i szkodzą tym sposobem reputacji wszystkich.

Na uzupełnienie wyobrażenia o Amerykanach wspomnę, że Polak tu nie jest rozumiany, a uczucia polskie są dla tego ludu spekulantów zagadką. Nasze poezje narodowe byłyby tu powszechnie wyśmiane. Wszystko to nudzi Polaka, cały kraj zdaje się być starym i tutejsza młodość jest naszą starością; osoby w dwudziestym roku, w najpiękniejszej porze młodzieńczego wieku, są poważne jak u nas ci co mają lat 40 lub więcej. Wszystko w jakiejś masce hipokryzji. A nie chodzą tu ludzie ale pełzają. Zdaje mi się, że nie utrzymałby tu Polaka nawet na łańcuchu, tak nieznośna ta kraina wolności.

Teraz wspomnę o moich zatrudnieniach. Przybywszy tu, gdy nie mogłem, jak chciałem, nazad do Europy odpłynąć, zająłem się uskutecznieniem mojego projektu wydania opisu naszych ostatnich zdarzeń, które tu fałszywie są wystawiane, tym bardziej, że Amerykanie niemają żadnego wyobrażenia o naszym narodzie. Biorąc na uwagę, że wydawszy pismo na jakie się zdobyć mogę niemając z sobą potrzebnych materiałów, wypłaca się z długu Ojczyźnie mojej, wziąłem się do dzieła z ochoty, bez względu na tysiączne przeszkody i trudności. Pracując od 4 miesięcy prawie, zupełnie już skończyłem rys naszych cierpień i nieszczęść od 1815 roku; potem daję krótki opis powstania w Rosji w 1826 roku. Wykładam przyczyny, które nas zmusiły do

26/III *Poniedziałek* (15)

Popołudniu Pan Grund daie bal u pani Talbot — z początku Anglik ieden o Polakach mówił. — Grund go burczy — lecz potem przekonywam się że to nie....

28/III *Środa*

Odesłałem List do Komitetu Polskiego w Paryżu i na ręce tego List do N.W. Skrzyneckiego (odchodzi iutro dn. 29 -3) Skoner Kap Dawis w biórach nad portem W. 56 — Brat P. Cunigham widząc mnie na poczcie proponuie mi czy nie chcę zaprowadzić szkołę ieżdżenia. —Śmieszny głupi człowiek — odpowiedziałem — Panowie niepotrzebuiecie ieździć więcey potrzebuiecie okrętów — Kupiłem historyię Polską (Chodźki) francuskie książki....

29/3 *Czwartek*

Rano u P. Snelling, mówił mi że ten Doktór który odchodzi dla zbioru na dzieło ma iechać daley do głównych miast — Oświadczyłem, że w tym trzeba się zastanowić — późniey mówiłem mu, że tylko iestem tego funduszu

---

podniesienia oręża i opisuję noc 29-go, następujące pierwsze dni, dyktaturę, wreszcie wypadki wojenne, z dołączeniem planów do 15 naszych bitew. Dzieło moje, które z polskiego na francuzkie sam tłumaczę ustnie przed Amerykanami, umiejącymi po francuzku, wyjdzie w języku angielskim; znaczna część jego jest już wydrukowana, a to co poddałem pod sąd tutejszych uczonych, dość dobrem im się wydało. Ogółem będzie 400 stron in 12° a przytem 20 małych planów. Tym sposobem zostanie w Ameryce pamiątka epoki, która wzniosła nasz naród nad wszystkie inne.

Jak tylko ukończę pracę, natychmiast porzucę ten Kraj

Hordyński, major 10-go pułku ułanów litewskich."

Powyższy tekst opublikowany został w broszurze „Kazimierz I" w Paryżu dn. 24 sierpnia 1832 r. Ujemna ocena Stanów Zjednoczonych jako kraju osiedlenia emigracji politycznej oparta na przeżyciach i wnioskach Hordyńskiego na podstawie pięciu miesięcy pobytu w jednym mieście — Bostonie używana była przez Lelewela do odstraszenia innych emigrantów przed decyzją wyjazdu do Ameryki. cf. Helena Więckowska, *Listy Emigracyjne Joachima Lelewela* (Kraków. Polska Akademia Umiejętności, 1948), Tom I, str. 65-67, List nr 41 do pułk. Felixa Breańskiego w Avignon oraz List nr 42 do pułk. Władysława Podczaszyńskiego w Burges.

(15) Pod datą 2 marca 1832 roku przechował się polski tekst listu Hordyńskiego do jego francuskiego wierzyciela, który przyszedł mu z pomocą materialną w pierwszym dniu jego pobytu w Ameryce. Zwracając dług Hordyński z typową dla siebie „honornością" pisze:

„Panie Dobrodzieiu! Dnia 8-go Listopada wieczór mego przybycia zaprowadzony przez P. Fascial Stury do teatru. W roztargnieniu w którym na tenczas się znaydowałem oraz raptowne skoncentrowanie się okoliczności zrobiło, że ich przyiąłem w czem naywięcey to działało, żeby P. nie obrazić odmówieniem, zresztą my Polacy iesteśmy w takich rzeczach małoznaczni gdy między nami koledze braknie, on bez naymnieyszego skrupułu prosi drugiego, wiedząc że mu odda, to i tu miało mieysce, gdyż ieżeli wziąłem to zawsze w chęci oddania. Iednak możesz P. bydź przekonanym, że mocno ubolewałem nad tym moim lekko myślnym postępowaniem — że tak długo przeciągnąłem zwrot wspomnianey kwoty, to przyczyna aktualna dotąd niemożność. —

Panie Dobrodz. racz więc przyiąć ode-mnie zwrot tey sumy i przebacz mey nieuwadze — pozatym bądź Pan przekonanym że aż nadto będzie mi w pamięci iego dobroć i szlachetne postępowanie...."

zachowywaczem — który oddam w ręce naszego zgromadzenia sumienny daiąc z iego rachunek. — Trzeba bardzo bydź w tey rzeczy punktualnym — nie pozwolić na to żeby było podane w gazetach wogóle zrobiłem raz, komedyi z siebie robić nie chcę — Niech mam to ukontentowanie, że sam to daię moim braciom — Nawet i dla nich to będzie przyiemne. — .... dobrze idzie tu oto żeby dostać dużo osób podpisujących się na te dzieło — w większych miastach Ameryki — wpadam na myśl sam iechać do nich.

30/III *Piątek*

Rano z tą poczwarą Sn. u P. Ch. narada. Żądałem wiedzieć wiele będzie egzemplarzy — żebym mógł kalkulować na zostanie — poczwara o robotnikach nazywa ich zdraycami (chłopi nasi pod górę użyci do roboty co dyktowałem) — pogadałem z nimi popolsku — poczwara to ameryk. .... proszono mnie śpiewać — Śpiewałem pieśń — Ieszcze Polska nie zginęła. Panna ta mnie zaięła, powtórzyłem iednak nie polka.

3/IV *Wtorek*

Dziś liczyłem to co iest tłumaczonym po obrachowaniu Pana Snel, uczyniło jego stronic — 394. — Kalkulowaliśmy że te robią iuż dzieło które in duodecimo do 300 stron iest naznaczone — to co od dziś robić daley aż do Bitwy Ostrołęckiey iest dodane — skończyłem dziś list do kolegów w Avignon. — ....

4/IV *Środa* ..

Rano u mnie dałem mu 3 listy — do N. Wodza Skrzyneckiego, do Lelewela i do Kolegów w Avignon —

.... smutny Wciąż krew wypluwam. *Myśli o wynalezieniu prętko dowódcy siły zbroyney w czasie Rewolucyi.*

10/IV - 11/IV *Wtorek Środa*

Dostałem francuskie gazetty, wspomina o przechodzie Polaków przez Francyię — Rzecz nie do opisania — w moim dziele umieszczę — przez te dwa dni ciągle chodzę do Wende względem Kontraktu — przeszkoda iest że Pan Szutman który nosił Papier do Subskrypcyi chce za drogo — w to wszytko P. Snel, mnie wciągnął (16).

12/IV *Czwartek*

Wieczór u P. Gretters, chodziłem z nim, śpiewałem, wieczór na przechadzce — Przypomniałem Oyczyznę —

P. Józefie bądź grzecznym, lecz nie wychodź z rutiny, utrzymania powagi — nie można się oddać temu ludowi który to niezrozumie, — widziałem P. Otis fanfaron naypierwszey klassy. — Trzeba pogardzać tym osłem — Spotkawszy na Ulicy trzeba grzecznie lecz krótko z nim konwersować —

(16) Wśród rękopisów korespondencji Hordyńskiego przechował się protokół sądu arbitrażowego w sprawie nieporozumień w umowie pomiędzy D Chapmanem i naszym Majorem. Protokół ów podpisany przez T. Gordon'a I. Wilkins'a i Cę. Ewen'a ustala stawki jakie Dr Champan ma prawo pobierać, sprzedając książkę Hordyńskiego.

14/IV *Sobota*

Popołudniu był u mnie Pan Wende — dałem mu upoważnienie żeby zapłacił Panu Szutman po 25 sous za każdą osobą Subskrypcyi — iest to tak dużo, że niepodobno — czyni to ósmą część — P. Smith (oyciec) mówił, e to iest okropnym oszukaństwem — podły ten Szutman chciał 50 sous od kopyi — 1/4 część całego zysku ....

15/IV *Niedziela*

Pisałem do sekretarza Stanów Ameryki o zwrot mego listu, który prezydentowi pisałem w listopadzie 1831, kiedy przybyłem na ręce Doktora Hooper dałem list dzisieyszy — kopię mam — (17) P. Gretter u mnie — mówiłem głośno na oszukaństwo amerykanów — są to żydzi — Polak temi kreaturami się brzydzi — te niegodziwe ludzie chcą skórę zedrzeć z mnie Bądź cierpliwym — iednak prosić o wszystko żeby dali rachunek — dziś przychodzi mi na myśl, żeby się starać — z naypięknieyszą opinią ze wszystkich tych interesów wyjść — wszakże to żąda Honor Polski — Nayhonorniey — Byłem dziś u P. Per. .... ieden z naypierwszych domów — dobrze mnie przyjął. —

17/IV *Wtorek*

.... — przyszło mi na myśl nie myśleć o żadnych zakochaniach — Polacy, którzy pozbawieni są widoków lubey Oyczyzny nie mogą nigdzie indzeiy bydź spokoynymi — Ich życie kończyć się musi awanturniczo w Boiu za wolność przynaymniey innych ludów — całe ich życie powinno bydź iedną myślą o drogiey Oyczyźnie, zawsze spoyrzenia tam winne bydź zwrócone — Starać się utrzymywać korespondencyie — ciągle działać na narodowość i żeby nie dać się ani zniemczyć lub zmoskwić — Napisać proiekt iak Polacy dziś uiarzmieni żyć powinni. ....

18/IV *Środa*

Przy obiedzie gospodyni domu oświadczyła mi, że P. Hagefud bardzo mnie chwalił. — To okazuie, że potrafiłem u tych ludzi wznieść dla Polaków szacunek — przed odiazdem chcę podać do gazett pożegnanie do Bostoniaków — trzeba bardzo delikatnie dać uczuć, że byli nie bardzo osobliwemi w moim przyjęciu — iednak że zawsze będę o nich z przyiemnością wspominać sobie. — W tym bydź ostrożnym —

19/IV *Czwartek*

..... Byłem u P. Pikering, on chce uczyć się po polsku — obiecałem mu dać początki — XXX tak okropna że zbliża śmierć — Smutny iestem — bardzo smutny.

20/IV *Piątek*

.... Zacząłem uważać, że P. Sn., którego z początku miałem wielkie powody nie cierpieć, teraz się zmienił i zrobił się więcey naturalnym — Ia przyiąłem z nim metodę żartuiącą grzecznie — temi memi żartobliwemi adnotacyami dochodzę z nim dość szczęśliwie do końca — ta metoda którą iednak w granicach utrzymać potrzeba — doprowadzi mnie do celu, że będzie

(17) Kopia tego krótkiego urzędowego listu przechowała się w rappersvilskim zbiorze korespondencji Hordyńskiego.

dzieło ukończone — i że ten człowiek będzie miał o nas dobre wyobrażenie to iest że nie iesteśmy surowi w obcowaniu —

24/IV *Sobota*

Ieździłem do fortu Independence — poznałem 3 officerów tam — podpułkownika — dwóch poruczników dali mi swoie karty ia im moie dałem — Wszyscy officerowie przyięły mnie z wielką uprzejmością i dużo mówili o Polsce — tak niema zakątka ziemi, gdzie nasz naród nie byłby chwalonym nie byłby lubionym taki naród nie może zaginąć — Polska będzie ! Polska będzie ! . . . . Garnizon fortu Independence składa się tylko z kompanyi artyleryi — oni są buraczkowo ubrani — officerowie mieli granatowe tużurki prawie ich polskie — osobliwie —

22/IV *Niedziela*

Popołudniu byłem u Pułk. Loring. . . . . Był tam Niemiec, P. Blumdaum z Stralsund — prosiłem go, żeby wziął list do Lille obiecał. Była mowa, że może w Ameryce półn.. będzie woyna cywilna dałem tę opinię — „że dziwi mnie to mocno, że tu gdzie można wytłumaczyć się, gdzie wolno każdemu mówić co mu się tylko podoba woyna bydź może." — Ieżeli Polacy maią woynę to dlatego, że będąc tyranizowani nie mogą się o krzywdy swe upomnąć cóż zatem robić, nie mogąc ani mówić ani pisać, trzeba w końcu się bić" podobało się to bardzo —

23/IV *Poniedziałek*

XXX — Dotąd uważałem to letko lecz teraz biorę to sobie na Sumienie i iako człowiek staraiący się żyć dla ocalenia ieszcze Oyczyzny swoiey, powiadam że uciekać będę — Wydane słowo uciekać będę — Boże day mi opuścić ten Kray, w którym bym zginął. — . . . .

24/IV *Wtorek*

. . . .*Dziś skończyłem tłumaczenie dzieła* o godz. wpół do 2-giey Byłem kupić pałasz i parę pistoletów — Zgodziłem wszystko za 24 talarów. . . . .

25/IV *Środa*

Zimno — Byłem u P. Wendy względem kontraktu — żądał wykaz wydatku na druk — Byłem u Drukarza Low z P. Snel. Obiecał mi podać to — W drukarniach naywięcej pracuią panny —

Ostatnie dni moie w Bostonie uważać postęp drukowania dzieła nieustannie prosić P. Snelling i Gretter kończenia ich robót — starania się zawarcia kontraktu. . . . . Zawsze mieć Oyczyznę na myśli —

W Gazetach dzisiay że Polska zostanie przy dawnych swych prawach, że podzieloną będzie na 3 prowincje, iest to dobra wróżba przyszłego bytu Polski — Rosyia musi mieć obawę podzielenia iey na rossyiskie prowincye — Boże day ! Boże day !

26/IV *Czwartek*

— . . . . Przy obiedzie na dole P. Snell. przyprowadził z sobą P. Pikering — ten, który chce się uczyć po polsku — Człowiek bardzo uczony — maiący iednak blisko 50 lat — nie wiem czy mógłby teraz uczyć się. . . . . Nudy, nudy, wieczne nudy — O Polsko luba !!! — Widziałem piękny gatunek krów — śpiew podobny do naszych. . . . .

27/IV *Piątek*

. . . . Czytałem w gazetach niemieckich z Filadelfii — że nasi Generałowie posłane zostałe wgłąb Rossyi — Krukowiecki toż samo — do Orenburg . . . . przypominaiąc sobie smutny stan ukochaney Oyczyzny moiey nie mogłem iak bardzo bydź smutnym o Boże kiedyż nasze skończą się nieszczęścia — byłem u siebie wieczór. — . . . .

29/IV *Niedziela*

X X X — Cierpliwość wytrwałość — może Bóg odwróci — dla lepszey rachuby. Nieszczęście, — Nieszczęście — wciąż śmierć przychodzi mi na myśl, którą życzę — Jestem kontent, że pamiątka po mnie zostaie — Pan Burdet przysłał mi 2 tomy Zielińskiego — Niby to prezent — przyiąłem lecz zapłacę (18) Anioły na myśli — Iakaż mnie dzieli od niey przestrzeń Oyczyznę i Ciebie straciłem, czegoż więcey trzeba ażeby życzyć końca ? Prawdziwie więdnięcie — Okropnie — Otóż życie, w całym życiu niewiem czy kilkanaście dni zliczyłbym szczęśliwych. . . . . P. Sn. obiecał się zaiąć, mym interesem mówił że przynaymniey powinno bydź 5000 wydanych to by robiło — iutro ma bydź o 4tey popołudn. . . . .

30/IV *Poniedziałek*

Gospodyni domu pożyczyła mi 60 talarów. — Iestem iey winien pożyczonych pieniędzy w ogóle 110 tal. — Za stancyię Wikt — w wszystkim — zapłaciłem 41 dol. P. Monroe za czerwony frak — pantalony — koszulę wełnianą etc. . . . . .

1/V *Wtorek*

Dziś był P. Gretter u mnie i doniósł, że inni są którzy by były taniey przedsięwzięły drukowanie — 340 talarów darmo płacę z przyczyny P. Sn. Nie można gorzey bydź wmieszanym — to są poprostu łaydaki — a niech bóg zachowa, żeby ieden z naszych braci tu przybył. — Popołudniu był P. Smith u mnie — Przy nim skończyłem kontrakt z P. Wend. Iest to straszna rzecz co cierpiałem — Nakoniec ten gałgan narachowawszy co mu się podołało skończył. — Okazuiąc mi Sumę 1315 Dol. co dla mnie zostaie — trzeba się starać żeby ta liczba zaraz odeszła w Boston — i na 2-gą Edycyią drugi zawrzeć kontrakt.

2/V *Środa*

Wziąłem od P. Gospod. 25 tal. W wszystkiem — zatem pożyczyłem 105 do dziś tal. Kupiłem pałasz — 10 tal. parę pistol. — 14 tal. . . . . Wieczór u P. Sn. ten pan iest tak iak drudzy — dość iednym słowem niech bóg zachowa Polaków tu przybydź — Nie bydź tylko raz przed wyiazdem u nich — potem dać podarunek i odiechać. —

3/V *Czwartek*

. . . . chciałbym mieć moy ubiór Krakusa, przybywszy do Paryża —

---

(18) List podpisany przez J. Burdett zawiadamiający Hordyńskiego o wysłaniu Historii Polski Zielińskiego zachował się w rapperswilskim zbiorze listów i pism Majora Hordyńskiego.

6/V *Niedziela*

.... Raportowałem Komitetowi że iestem tu i że przybędę do Paryża — iest zatem rzeczą właściwą stąd udać się do Paryża. — podać się pod Rozkazy tey władzy i wypełnić to co rozkaże. .... Ułożyłem proiekt dziś iechać w przyszły czwartek do większych miast Ameryki — zarazem ułatwić swe Interessa.

7/V *Poniedziałek*

Korekcyię skończyłem z P. Snell — teraz wszystko Plany i dzieło tylko drukowane — wieczór zachorowałem.

11/V *Piątek*

.... P. Gospodyni 100 dol. pożyczy na drogę, zatem wszystkiego pożyczy pieniędzy 210 Doll. — dałem zadatek na dyliżans (Stejdż) — iutro o godz. 5 rano odieżdżam do Providence.

Ostatnia wiadomość jaką posiadamy o pobycie Hordyńskiego na terenie Stanów Zjednoczonych pochodzi z ciekawego listu pisanego doń dnia 1 czerwca 1832 roku z Filadelfii przez nowoprzybyłego do Ameryki z Francji emigranta polistopadowego Niedzielskiego, który w następujący sposób ostrzegał Hordyńskiego przed skłóconą emigracją polską we Francji :

„Szanowny Rodaku !

Ja przybyłem tu dn. 6bm prosto z Marsylii, list zaś Twój jest pod dn. 4bm. niemogłeś więc wiedzieć o moiem przybyciu, tu zaś zastałem z ziomków i towarzyszów ostatniey naszey walki iednego tylko p. Marcinkowskiego, przybył do Filadelfii kilkoma dniami przedemną z N. Yorku i list Twój przez niego mi zakomunikowany został. Brak mi wyrazów, bym mógł opisać uczucia jakie ogernęły serce moie, gdym czytał list Twóy kreślony oyczystemi wyrazami. Przyimiey nayczulsze dziękczynienia za to, żeś choć mimowolnie sprawił chwilę naywiększey rozkoszy, równie iako Ty nieszczęśliwemu bratu Twemu. Biegłbym chętnie do New-Yorku uściskać Cię i ustnie podziękować, lecz interesa moie ieszcze mi tego nie dozwalaią i przybądź do Filadelfii a tu pomówimy ze sobą. Drogi Ziomku, donosisz w Twoim liście, iż postanowiłeś wkrótce odpłynąć do Francyi, nie myślę Ci żadnych dawać w tym względzie rad, lub czynić uwag, możeś w wieku, a nawet w doświadczeniu starszym odemnie, wiesz dobrze co przedsiębierasz. Jeżeli iednak przybędziesz do Filadelfii opowiem Ci obszernie co mnie skłoniło do opuszczenia rodaków oraz Francyi po dwumiesięcznym w niey z niemi pobycie. Niestety ! względem naszych rodaków to Ci tylko powiem że zawsze Ci sami zawsze Polacy, znasz zapewne dobrze ducha naszego narodu, domyślisz się co chcę przez to powiedzieć. .....

Ja stoie pod Nr. 155 Second Street teraz przyimiey zapewnienie moiego dla Ciecie szacunku oraz prawdziwe polskie uściśnienie

Niedzielski"

Horodyński niezrażony przestrogą życzliwego rodaka natychmiast po załatwieniu niezbędnych spraw związanych z wydaniem swej książki wyjechał do Francji gdzie z miejsca nawiązał kontakt z radykalno-węglarskim skrzydłem emigracji. Koła te posta-

nowiły wykorzystać jego ideowy zapał i gotowość czynnej walki z okupantem rosyjskim. Mimo złego stanu zdrowia major Hordyński wysłany został do kraju jako jeden z czołowych emisariuszy tragicznie nierozumnej wyprawy Zaliwskiego. Bezpośrednio po przekroczeniu granicy zaboru rosyjskiego schwytany został przez Moskali. Co do jego dalszych kolei istnieją dwie różne wersje. Według wspomnień Stupnickiego cytowanych przez Hieronima Kunaszowskiego w *Życiorysach Uczestników Powstania Listopadowego* (Lwów, 1880) major Hordyński został pojmany przy przekraczaniu granicy w 1833 roku i deportowany na Syberię, gdzie zmarł na zesłaniu w Irkucku dnia 13 kwietnia 1840 roku. Józef Białynia Chołodecki w swych *Banialukach Rolińskiego* (Lwów, 1918) pisze iż Hordyński był wyznaczony przez Zaliwskiego na okręgowego dowódcę zamierzonej akcji powstańczej lecz schwytany przez Moskali bezpośrednio po przejściu kordonu granicznego zabity został przez nich w tym samym miejscu. Historyk Wielkiej Emigracji sekretarz osobisty księcia Adama Czartoryskiego, Lubomir Gadon, w tomie III swego podstawowego dzieła *Emigracja Polska: Pierwsze Lata po Upadku Powstania Listopadowego* (Kraków: Spółka Wydawnicza Polska, 1902) podaje iż Hordyński został powieszony przez Rosjan za udział w wyprawie Zaliwskiego. Współcześni historycy początków Wielkiej Emigracji, Michał Sokolnicki i Adam Lewak, nic natomiast o Hordyńskim nie wspominają.

Hordyński był rasowym emigrantem politycznym, niosącym w daleki, obcy świat tęsknoty, bunty i nadzieje żołnierza, którego klęska 1831 roku wyrzuciła poza granice Polski. Przeczulony, śmiertelnie poważny i zasadniczy znalazł się nagle w ultra-anglosaskim Bostonie z jedynym bagażem: — wrażliwym poczuciem honoru polskiego oficera i żarliwą świadomością służby, która się dla niego jeszcze nie dopełniła.

Pamiętnik Hordyńskiego jest niebywale plastyczną, pierwszą kroniką styku barwnej osobowości polskiego rewolucjonisty z twardą rzeczywistością Nowego Świata w okresie dynamicznej „Jacksonowskiej Demokracji" (19). Gdy nadchodziły opóźnione, posępne wieści o paskiewiczowskich rządach w pokonanym kraju; gdy notował „okropnie cały dzień smutny" lub „smutny, wciąż krew wypluwam" musiała w nim powstać świadomość nierozwiązalności konfliktu z otoczeniem. Jego zaś postać była zapewne ewenementem nielada w uregulowanym życiu sytej i dostatniej burżuazji Bostonu. Oryginał, który za pierwsze zarobione pieniądze kupuje dwa pistolety i pałasz, który nostalgię swą wyśpiewuje w patriotycznych polskich pieśniach na towarzyskich zebraniach na pewno był częstym tematem zadziwionych komentarzy i wielu rzewnych westchnień bostońskich panien.

Źródłowa rozprawa Hordyńskiego o Listopadowym Powsta-

(19) Następne relacje emigrantów polskich z Ameryki pióra Juliana Juźwikiewicza i Wojciecha Konarzewskiego drukowane były w *Kronice Emigracji Polskiej w Paryżu*. Pisane były one w roku 1834.

niu cieszyła się w Stanach Zjednoczonych wielkim powodzeniem i była z uznaniem przyjęta przez krytykę i prasę. Wydana została już po wyjeździe autora z Ameryki w roku 1833 przez firmę Carter and Hendee pod tytułem *History of The Late Polish Revolution and The Events of the Campaign.* Liczy ona blisko 500 stron w ósemce. Pierwsze wydanie rozeszło się z miejsca w ilości 5 tysięcy egzemplarzy. Opis walk ilustrowany był planami sytuacyjnymi głównych bitew a na wstępie znajdowały się portrety polsko-amerykańskich bohaterów Wojny o Niepodległość — Kościuszki i Pułaskiego. Kolportażem książki zajmowali się między innymi polscy emigranci. Tak np. według informacji zebranych przez Haimana w Buffalo kolportował ją major Mogilski (20).

Wbrew pierwotnym zastrzeżeniom i utyskiwaniom na Amerykanów Hordyński uładził się z tym trudnym obcym światem do którego przywiódł go los. Książkę swą zadedykował ,,Wielkiemu i Wolnemu Narodowi Stanów Zjednoczonych''. W przedmowie po męsku wyciągnął rękę do ludzi których miał opuścić na zawsze. I tu bezstronnie już, z rozwagą i spokojnie, dziękował za udzielony mu azyl i życzliwość z jaką się wielokrotnie spotykał; wyrażał jednocześnie swój niekłamany podziw i szacunek dla młodej, demokratycznej republiki amerykańskiej. W prostych słowach, które łatwo trafią do każdego Amerykanina, tłumaczył jak dalece krzywdzący i wypaczony jest obraz Powstania zaszczepiony w ich umysłach przez antypolską propagandę. Szczerze i bez pozy podkreślał:

,,Nie jestem z zawodu ani pisarzem, ani uczonym, lecz tylko prostym republikaninem i żołnierzem. . . . . Nie oceniajcie mnie więc jako pisarza, lecz jako nieszczęsnego Polaka, który postanowił zaapelować do Waszej sympatii, przedstawiając Wam obraz tragicznych klęsk swego biednego kraju i sposobu w jaki kraj ten walczył o odzyskanie utraconej wolności, owego podstawowego i najważniejszego narodowego błogosławieństwa. Pokładając nadzieje w Waszej wyrozumiałości proszę Was przeto o przyjęcie niniejszego dzieła, jako zadatku mej wdzięczności i jako pamiątkę mego krótkiego pobytu między Wami, oraz jako wyraz mego wysokiego dla Was szacunku (21).

Entuzjasta Polski autor amerykański Robin Carver wykorzystał w swej uroczej książeczce dla dzieci pt. *Stories of Poland* (Boston: Carter, Hendee and Co, 1833) relacje Hordyńskiego o Powstaniu Listopadowym poświęcając mu pięć ostatnich rozdziałów swego popularnego dziełka.

Wzorem Hordyńskiego poszli i inni emigranci polistopadowi w Stanach Zjednoczonych.

Do roku 1836 przybyło do Ameryki ogółem około 400 powstańców, co stanowiło trzy do pięciu procent całej ówczesnej

(20) Haiman, *op. cit.*, pp. 193-194.

(21) Józef Hordyński, *History of The Late Polish Revolution and The Events of The Campaign.* (Boston: Printed for Subscribers, 1833), p. iv.

,,Wielkiej Emigracji''. Pozbawieni wybitnych przywódców w jakiejkolwiek dziedzinie, oderwani od central paryskich londyńskich, rozproszeni w nieznanym kraju emigranci ci potrafili wydać w owym okresie siedem poważnych książek i rozpraw na tematy Powstania i tragicznej sytuacji w kraju.

Tak więc w roku 1834 ukazało się w Bostonie, dzięki inicjatywie i zabiegom Ignacego S. Szymańskiego, pożyteczne tłumaczenie barwnych, obiektywnych wspomnień z okupowanej Polski młodego autora fryzyjskiego w służbie rosyjskiej Harro Harringa pt. ,,Polska pod panowaniem Rosji'' — *Poland under the Dominion of Russia.* Niezależnie od wstępu i posłowia pióra Szymańskiego wspaniałą długą przedmowę napisał najaktywniejszy przyjaciel Polski, były przewodniczący Amerykańsko-Polskiego Komitetu w Paryżu, młody, energiczny filantrop bostoński Dr Samuel Gridley Howe.

234 emigrantów polskich deportowanych przez Austrię, po wyprawie Zaliwskiego, do Stanów Zjednoczonych na fregatach *Hebe* i *Guerriera* natychmiast po przybyciu do Nowego Jorku, wczesną wiosną 1834 roku, przystąpiło do opracowania historii ostatniej rewolucji polskiej i represji oraz okrucieństw rosyjskich w okupowanym kraju. W 1834 roku firma wydawnicza J. and W. Day w Nowym Jorku opublikowała małą rozprawkę pt. *History of the Polish Revolution with the latest atrocities of the Russian Conquerors, compiled upon authority of personal sufferers.*

Młody poeta August A. Jakubowski, syn naturalny autora *Marii,* Malczewskiego, wydał w Albany w roku 1836 swe wspomnienia oraz małą antologię poezji polskiej i zbiór swoich wierszy pt. *The Remembrances of a Polish Exile.* Książka ta poprzedzona jest entuzjastyczną przedmową przyjaciela Polski pastora William Buel Sprague'a z Albany, N.Y.

Lekarz węgierski, Dr Charles Kraitsir, który brał udział w Powstaniu Listopadowym, a potem w pracach politycznych i organizacyjnych polskiej emigracji we Francji i Ameryce wydał w 1837 roku w Filadelfii małą książkę pt. ,,*The Poles in the United States: proceeded by the Earliest History of the Slavonians and by the History of Poland* (Philadelphia: Kindrelein and Stallmeyer, 1837). Dziesięć lat później inny powstaniec Jan N. Kryczyński wydał również w Filadelfii wespół ze swym towarzyszem Wasilewskim książkę pt. *The Recovery of Poland: by a Polish Exile.* Wreszcie później przybyły do Ameryki powstaniec, Julian Allen, opublikował w 1854 roku w Nowym Jorku ciekawą rozprawę antyrosyjską pt. *Autocracy in Poland and Russia: or a Description of Russian misrule in Poland, and an account of the surveillance of Russian spies at Home and Abroad, including ,,the Experience of an Exile''* New York: John Wiley, 1854.

Jerzy J. LERSKI

Kronika kulturalna

W poszukiwaniu człowieka szczęśliwego

Zagadnienie szczęścia i ideał człowieka szczęśliwego nie stanowi więcej niż cienką nić wątku, wijącą się pół-jawnie, pół-skrycie, poprzez twórczość poetów i pisarzy. Nie znaczy to abyśmy nie byli zdolni śledzić jej przebiegu i deseniu jeżeli się na to uweźmiemy, ale jej ton nie dominuje w ogólnej barwie twórczości artystycznej i filozoficznej. (W obserwacji azjatyckiego filozofa jest to cecha uderzająca. Lin-Yutang w książce ,,On the Wisdom of America'' (1950) powiada, że szczęście jest ,,najstaranniej omijanym tematem w filozofii Zachodu''). Częściej może nić ta dostaje się na warsztat pisarski polityków, demagogów i innych ,,społeczników'', ale wtedy łatwo przeobraża się w postronek, którego kolor i przeznaczenie odbiega, niekiedy bardzo daleko, od oryginalnych cech poetyckiego czy filozoficznego ideału szczęścia.

Kiedy jednak wątek szczęścia nasyca myśli, tęsknoty i dążenia ludzkie tak, że zwykły serendybizm (*) zamienia się w gorączkowe szukanie przepisów na szczęście, to skromna nić wątku pęcznieje w gorący strumień, napełniając całą pojemność poezji lirycznej, całą zawartość fantazji twórczej. Możemy wtedy z całą pewnością uważać to za symptom, który zdradza że jakiś intelektualny system wartości moralnych załamał się w świadomości kulturalnej bezpowrotnie.

Oczywista, szczęścia nie utożsamiamy z radością. Radość, nawet ta, wyniesiona ponad zwykły sensualizm, dotyczy zawsze

(*) Z baśni arabskiej ,,O trzech książętach z Serendyb'' (Cejlon po arabsku), gdzie opisana jest właściwość niespodziewanego znajdowania szczęśliwych przypadków rozwiązujących kłopoty i trudności, angielski pisarz Horace Walpole utworzył termin *serendybizm* (serendipity, po angielsku), określający tę właściwość. Zdumiewać się można iż ten termin, tak przecież Polakom potrzebny, dotychczas nie był przyswojony.

jakiegoś określonego, jednostkowego zakresu zainteresowań. Nie uznajemy radości płynącej wyłącznie z poezji czy miłości, muzyki czy władzy za szczęście. Co najwyżej za czynnik zdolny prowadzić do szczęścia. Szczęście bowiem jest atrybutem pełnej osobowości, jej wszystkich zainteresowań. Kiedy poeta mówi, że nikt nie może być doskonale szczęśliwy, to znaczy że zainteresowania każdego ,,pełnego'' człowieka są tak liczne i różnorodne, a nawet odleglejsze zainteresowania tak natarczywe, że pełna harmonia cząstkowych radości nie jest możliwa i zawsze istnieje jakieś poczucie rozdźwięku.

Szczęście staje się ,,płytkie'' gdy ślepota lub tchórzliwość ograniczają zakres zainteresowań, które człowiek odważa się dopuścić do świadomości, aby uniknąć musu konfrontacji z trudną rzeczywistością. Dlatego szczęście jest nieosiągalne przy pomocy narkotyzujących — czy to środków chemicznych, czy też działalności. Człowiek, który przecież ceni życie, nie może być szczęśliwy gdy zagłusza w sobie świadomość nieuniknionej śmierci, lecz jedynie gdy potrafi się z jej koniecznością pogodzić, to znaczy jej perspektywę sharmonizować z całą gamą okoliczności i zjawisk osobistych i społecznych.

Akord zainteresowań człowieka wraz z aspektami rzeczywistości z nimi związanych stanowi środowisko cywilizacyjne, zorganizowane w system kulturalny. Harmonizowanie się zainteresowań może być niekiedy uniemożliwiane przez konflikty wynikające z chaosu środowiska cywilizacyjnego, rozłamującego system kulturalny. Wtedy indywidualne poczucie nieosiągalności szczęścia krystalizuje się w pesymizm, bądź filozoficzny, jak u Schopenhauera, bądź metafizyczny, jak w niektórych religiach orientalnych, bądź wreszcie intelektualny. Obrazem tego ostatniego jest, na przykład, nowoczesny egzystencjalizm, który zakłada że istotą życia jest niepokój i lęk. Niepokój w podejmowaniu decyzji i lęk w groźbie klęski. Człowiek przyjmując zobowiązania i wypełniając czynności jedynie potwierdza własne prawo egzystencji, ale nie rozwiązuje żadnych zagadnień społecznych czy kulturalnych. Iluzją szczęścia stać się może wtedy paradoks zaprzeczenia i wyrzeczenia, jak w opowieści o Diogenesie, czy bajce o człowieku szczęśliwym, pozbawionym koszuli.

W takich etapach rzeczywistości siły samozachowawcze rodzić mogą przeświadczenie, że człowiek musi próbować szukania szczęścia w środowisku ograniczonym, sztucznie stworzonym, czy odosobnionym, do którego może wpasować swój własny, indywidualny system poczucia kulturalnego. Wtedy rodzi się pojęcie *sztuki* życia szczęśliwego.

Taki okres przechodziła Europa w wieku siedemnastym.

Znalazł się wtedy poeta, który zdołał w pełni wyrazić tęsknoty i potrzeby intelektualnej warstwy społecznej Europy. Połączył on w natchnionej syntezie koncepcję człowieka szczęśliwego, śmiało przyjętą z Horacjańskiego obrazu *beatus vir* z ideałami chrześcijaństwa, oraz intelektualnymi prądami systemów filozoficznych. Poetą tym był ksiądz, nauczyciel szkoły jezuic-

kiej, potem ozdoba uniwersytetu w Rzymie, a wreszcie nadworny kaznodzieja Władysława IV, Maciej Kaźmierz Sarbiewski.

Sarbiewski stał się geniuszem poetyckim Europy, czytanym, przeżywanym, komentowanym i naśladowanym przez wiele następnych pokoleń. Pierwszy zbiór jego poezji (Ody), wydany w 1625 roku w Kolonii, a rozszerzony do czterech ksiąg w wydaniu Lejdejskim z roku 1631, przedrukowywany był niezliczoną ilość razy. Poza tym, niemal równocześnie zaczęły ukazywać się przekłady: niemieckie, flamandzkie, francuskie, włoskie, czeskie, angielskie. (Pierwszy polski przekład ukazał się dopiero w dwieście z górą lat po oryginale. Przekład ten, pióra Syrokomli, jest raczej parafrazą niż spolszczeniem Sarbiewskiego).

W Anglii wpływ i znaczenie Sarbiewskiego osiągnęły wyżyny rekordowe. Pierwszy angielski przekład wydał, skądinąd nieznany autor G. Hills w roku 1646 pt. *„Odes of Casimire"*. Dalszymi tłumaczami byli H. Vaughan (1651), E. Sherburn (1651) i różni oksfordcy poeci w zbiorowym wydaniu z 1685 roku. W osiemnastym stuleciu Sarbiewskiego tłumaczą: Isaac Watts, J. Hughes, S.T. Coleridge, a jeszcze w dziewiętnastym stulecia wybory ód tłumaczą J. Kitchener (1821), J. Bowring (1827) i R.C. Coxe (1848). Motywy i obrazy poetyckie, oraz filozoficzne koncepcje Sarbiewskiego przewijają się jak nić nieprzerwana, wyraźna i wyrazista poprzez angielską tematykę poetycką niemal dwóch stuleci. Zjawisku temu poświęcone jest, wydane niedawno studium o poezji angielskiej pióra pani Roestvig, gdzie znaczenie i wpływ Sarbiewskiego uwidocznione są w całej pełni (**).

Pani Roestvig poprzedza swą rozprawę podmalowaniem tła kulturalno-społecznego. Stwierdziwszy na wstępie, że żadne wątki i motywy poetyckie nie rodzą się w próżni, co znaczy że żaden poeta nie jest wolny od wpływów historycznych i intelektualnych swej epoki, autorka zadowala się spostrzeżeniem, iż początek siedemnastego stulecia był świadkiem dwóch zjawisk, głęboko poruszających umysły i postawy emocjonalne ludzi owych czasów. Pierwszym było rozbicie Ptolomeuszowego obrazu świata przez Galileusza oraz nadanie impulsu rozwojowi nauki ścisłej. Drugim był wzrost natężenia w konfliktach pomiędzy Kościołem, władzą świecką, parlamentaryzmem i totalizmem sekciarskim. Z tych przesłanek autorka stara się wypro-

---

(**) Studia z zakresu angielskiej poezji siedemnastego i osiemnastego stulecia, prowadzone przez dr Maren-Sofie Roestvig z rozmachem imponującym, a umożliwionym przez dotacje Marsden Foundation (California), Research Fellowship uniwersytetu w Oslo i subsydium rządu Stanów Zjednoczonych, wydane zostały (w języku angielskim) z pomocą finansową Norweskiej Rady Badań Naukowych i Humanistycznych pt. „*The Happy Man. Studies in the metamorphosis of a classical ideal,* 1600-1700". Akademisk Forlaag, Oslo and Basil Blackwell, Oxford. 1954, str. 496. Kr. 12,50.

wadzić całą podbudowę społeczno-intelektualną, warunkującą genezę i popularność idełów poetyckich, wykrystalizowanych najdoskonalej w twórczości Sarbiewskiego.

Nie ujmuje to bynajmniej znaczeniu sumiennych i wnikliwych studiów p. Roestvig, że jej przesłanki kulturalno-historyczne, stanowiące jedynie wprowadzenie ale nie integralną część jej imponującej analizy poetyckiej, są wąskie i niedostateczne. Stwierdzenia takie są zupełnie niezadowalające, budząc tylko wiele nowych pytań, a nie rozwiązując żadnego zagadnienia. Dlaczego spopularyzowanie koncepcji Kopernika przez Galileusza rozbiło Ptolomeuszowy obraz świata, a nie dokonała tego oryginalna praca Kopernika? Dlaczego seria konfliktów Kościoła z władzami świeckimi i sekciarstwem wywołała przewrót postawy intelektualnej w wieku XVII, ale nie w wiekach poprzednich, gdy podobne konflikty były nie mniej gwałtowne? Odpowiedź wydaje się jasna : oba te zjawiska kulturalno-społeczne nie są pierwotnym, podstawowym prądem kulturalnym. Są one w istocie symptomami, tak samo jak równoległe do nich zjawiska tęsknot intelektualnych w twórczości poetyckiej, a wszystkie te symptomy mają wspólną przyczynę w głębszym, bardziej podstawowym procesie rozpadu struktury kulturalnej Europy i gorączkowych, mniej lub więcej chaotycznych bo nieuświadomionych odruchach samozachowawczych, wywołujących w organizmie społecznym, już rozczłonkowującym się ale jeszcze nie rozdartym, wysiłki stworzenia nowych prądów całkujących, nowych konstrukcji kulturalnych, zdolnych powstrzymać i odwrócić proces rozłamywania się życia intelektualnego, artystycznego, religijnego i cywilizacyjnego.

Tego podstawowego procesu szukać należy zatem głębiej, a więc i wcześniej. Trzeba czasu przynajmniej paru pokoleń, aby takie głębokie prądy przedostały się na powierzchnię przemian intelektualnych jako szerokie nurty społeczne. Wzrok się tu zwraca poniewoli ku początkom poprzedniego, szesnastego stulecia kiedy to inny autor, nie poeta lecz filozof i myśliciel religijny zabłysnął ogromnym światłem, zdobywając dla swych koncepcji posłuch i uwagę intelektualnej Europy w skali niebywałej. Mimo to nie zdołał on powstrzymać sił już wtedy podważających fundamenty jedności kulturalnej i zginął w burzy intelektualnej tak gruntownie, że poza niejasnym wspomnieniem, nic prawie z dzieła jego życia nie pozostało. Mowa tu o Erazmie, zwanym Desiderius albo ,,z Rotterdamu'', mimo że z tym miastem niewiele miał wspólnego. Urodzony w Gouda, ponoć jako naturalny syn wiejskiego proboszcza, został zakonnikiem w klasztorze augustyńskim w Steyn koło Goudy, gdzie też otrzymał święcenia kapłańskie. Odznaczając się bystrością umysłową i łatwością wysłowienia w piśmie po łacinie, został sekretarzem biskupa z Cambrai, po czym, gdy projektowana podróż dyplomatyczna biskupa nie doszła do skutku i nowy sekretarz okazał się zbyteczny, otrzymał on niewielki zasiłek i pozwolenie na studia uniwersyteckie. Zasiłek był skromny,

w paryskim uniwersytecie Erazm mieszkał w kolegium „pauprów" i zmuszony był zarabiać na życie lekcjami prywatnymi. Prowadząc studia często zmienia uniwersytety w poszukiwaniu wykładowców, odpowiednich do swych, rozwijających się zainteresowań i potrzeb naukowych. Wszędzie ma gromadki uczniów, których „obkuwa" do egzaminów, aby zarobić na utrzymanie. Wiele z nawiązanych tak znajomości zacieśniają się w dozgonne przyjaźnie. W ten sposób po Paryżu studiuje w Oksfordzie, znów w Paryżu, gdzie wraca do jedynego dostępnego mu nauczyciela greki, zdecydowawszy że musi opanować ten język, potem w Cambridge, wreszcie w Turynie, gdzie otrzymuje doktorat. Po tym studiuje i wykłada w Bolonii, Rzymie, Oksfordzie i Cambridge, a wreszcie, zbliżając się do pięćdziesiątego roku życia, zrywa z trybem wędrownego uczonego i osiada w Bazylei jako kierownik literacki oficyny drukarskiej Johanna Frobena.

Erazm był pierwszym chyba w dziejach Europy całkowicie niezależnym pisarzem, to znaczy takim, który nie wszedł na służbę żadnego dworu, magnata czy uniwersytetu. Rezolutnie odrzucał on liczne propozycje beneficjów i patronów, a utrzymywał się wyłącznie z owoców swej pracy pisarskiej, choć niepewnych i kapryśnych. W owych czasach nie było systemu honorariów autorskich. Dochody Erazma pochodziły głównie z prezentów przysyłanych mu wzamian za dedykacje, którymi opatrywał swe dzieła, a o które to dedykacje różne wybitne osobistości ubiegały się w drodze dyplomatycznych zabiegów. Przyjmował on też, w potrzebie, wsparcia finansowe od licznych swych zamożniejszych zwolenników i przyjaciół, głównie swych byłych uczniów. Natomiast stanowczo odrzucał propozycje beneficjów i stanowisk, któreby uzależniały go od kogokolwiek i krępowały w swobodzie wypowiadania opinii. Odmówił więc zaproszeniu króla Bawarii do objęcia stanowiska w nowo-utworzonym królewskim uniwersytecie w Ingolstadt, odrzucił wezwanie arcyksięcia Ferdynanda na dobrze płatną funkcję w Wiedniu, wymawiał się systematycznie od przyjęcia różnych ofert, jak biskupa Bayeux, króla Franciszka I. itd., a nawet, jeszcze na rok przed śmiercią uchylił się od przyjęcia znacznego beneficjum (dziekanat Deventer) ofiarowanego mu przez papieża Pawła III, jako wstęp do zapewnienia mu dochodu 3.000 dukatów rocznie, koniecznej wówczas kwalifikacji dla nadania mu godności kardynała.

Fenomenalny wpływ intelektualny Erazma jest dziś nie łatwy do zrozumienia i oceny. Był on pierwszym, który komentarze do Biblii oparł na greckich tekstach. Był on też pierwszym wydawcą wielu dzieł Ojców Kościoła, które opatrzył komentarzami, a przede wszystkim przedmowami. Choć wydania te dalekie są od dzisiejszych wymagań krytycznych, naukowych wydań tekstów, nie mniej, jako pierwsze, były one dla ówczesnej intelektualnej Europy rewelacją, a obszerne przedmowy Erazma, publicystyką filozoficzną i społeczną, otwierającą nowe

światy myśli. Teraz dopiero naprawdę szeroką popularność uzyskało jedno z wcześniejszych dzieł Erazma: *Enchiridion Militis Christiani* jako uzupełnienie, wyjaśnienie i streszczenie filozoficznych koncepcji erazmiańskich w system filozoficzny, nazwany przez autora Philosophia Christi — filozofia Chrystusowa. Teraz ,,Enchiridion'' jako generalny komentarz do innych dzieł i pism Erazma rozchodził się w licznych wydaniach, tak w oryginale łacińskim jak i w tłumaczeniach na liczne języki europejskie.

Wpływ Erazma opierał się w dużym stopniu na ogromnej prywatnej korespondencji, jaką prowadził ze swymi przyjaciółmi, uczniami i zwolennikami we wszystkich krajach i we wszystkich sferach społecznych. W pewnym okresie czasu, w Bazylei, korespondencja ta była tak olbrzymia, że otrzymywał on i wysyłał do stu listów tygodniowo (!). Wśród korespondentów Erazma znajdował się kwiat intelektualnej sfery europejskiej, na czele z kardynałami, cesarzem, królami Francji, Portugalii, Anglii, Danii i Polski (Zygmunt I). Kanclerz Anglii, Tomasz More, był jego serdecznym przyjacielem, w którego domu w Bucklesbury Erazm mieszkał, przebywając w Anglii i gdzie napisał swą głośną satyrę *Moriae encomium* (przedrukowywaną i czytaną jeszcze w bieżącym stuleciu). Można przypuszczać, że ,,Utopia'' More'a była owocem rozmów autora z Erazmem — w każdym razie odzwierciadla ona wiele z erazmiańskich koncepcji. Z olbrzymiej korespondencji Erazma ocalały tylko fragmenty, ale i one stanowią około 3.000 listów, do dziś bezcennych jako źródło do historii tej epoki.

Popularność i znaczenie Erazma były przede wszystkiem wynikiem swobody z jaką mógł wypowiadać swe opinie, odzwierciadlające prawdziwe nastroje i dążenia ogromnej większości intelektualistów owej doby. Ponadto wypowiadał on te opinie stylem prostym i łatwym, językiem giętkim i potoczystym, choć daleko odbiegającym od wzorów klasycznej łaciny. Łacina pod piórem Erazma była wciąż jeszcze prawdziwym, *żywym* językiem myślącej Europy. Językiem sztucznym i kultywowanym zacznie się ona stawać dopiero w następnych pokoleniach.

W tym okresie rozwój kultury europejskiej, zasadniczo i gruntownie chrześcijańskiej, osiągać zaczął poziom, zdolny uczynić z niej istotny czynnik mogący zcałkować europejską *polity* i wydobyć ją z ustrojowego i społecznego chaosu. W tym jednak okresie ujawniły się też jaskrawo wewnętrzne cechy ustroju administracyjnego Kościoła, hamujące rozwój głębszych studiów i prawdziwej głębokiej wiary — czynników niezbędnych dla dalszego postępu kultury chrześcijańskiej. Główną cechą wsteczności ustroju stały się wpływy zakonów. Rola zakonów, jako propagatorów cywilizacji i religii w barbarzyńskich krajach Europy dobiegła końca, zostawiając Europę nawpół-ucywilizowaną, a zakony nawpół zbarbaryzowane. Od dwóch niemal wieków zakony nie przyczyniały się w niczym do rozwoju

wiedzy, religii, czy urządzeń społecznych. Przeciwnie, stały się one ośrodkami ambicji władzy, gromadzenia środków finansowych i zagarniania wpływów przy pomocy armii nieokrzesanych mnichów, zajętych rozpowszechnianiem zabobonnych a pustych dewocji, handlowaniem odpustami i zbieraniem zapisów, legatów i beneficjów. Powszechna opinia warstw oświeconych domagała się coraz natarczywiej gruntownej reformy Kościoła. Zadanie to było wielce skomplikowane, gdyż potęga zakonów sięgała już bardzo wysoko — aż do dworów biskupich, papieskich i królewskich. Uczony papież Adrian VI przystąpił do systematycznej reformy ustroju kościelnego, niestety krótki, zaledwie jednoroczny pontyfikat nie doprowadził do niczego poza ujawnieniem olbrzymich przeszkód i trudności w tym kierunku. Następca jego Klemens VII uwikłany został odrazu w tak wiele kłopotów politycznych, że nie mógł myśleć o zadzieraniu z potężnymi i bogatymi zakonami. Dopiero panujący po nim Paweł III, choć z tradycji i temperamentu raczej władca świeckiego królestwa, niż Pontyf Kościoła (a może właśnie dlatego) żywo rozumiał konieczność reformy i powołał specjalną komisję kardynałów dla zbadania sytuacji i opracowania wniosków. Komisja ta jednogłośnie zadecydowała stopniowe ale szybkie i całkowite zniesienie zakonów na całym świecie. Wyjątek uczyniono dla zakonów czysto kontemplacyjnych (jak np. kartuzów).

To właśnie był jeden z punktów od dawna a z wielką mocą argumentacji głoszony przez Erazma, a propagowany przez humanistów całej Europy, wraz z Tomaszem More na czele.

Niestety, teraz, gdy komisja kardynałów nareszcie wydała swój wyrok, było już za późno. Akcja była ostatecznie pogrzebana. Rozstrzygnął ją na korzyść mnichów Marcin Luter, były mnich z zakonu augustynów, przez rozpoczęcie rozłupywania Kościoła i Europy na sprzeczne, skłócone i obce frakcje. Głoszenie reformy Kościoła stawało się teraz automatycznie popieraniem schizmy, zaś walka z herezją oznaczała popieranie zakonów. Trzeciego stanowiska nie było, gdyż zakony zdołały wmanewrować się na pozycję centralnego czynnika walki z odszczepieństwem. To stanowisko, które przyjął Erazm — nie przyłączenia się do żadnej z tych grup, dla zachowania postawy zgodnej z dyktandem rozsądku — oznaczało wypadnięcie z nurtu zdarzeń, nad którymi nie było już kontroli.

Mnisi nie zapomnieli o swym przeciwniku. Erazm nie został wprawdzie otwarcie oskarżony o herezję — jego wpływ intelektualny i moralny był wciąż jeszcze zbyt wielki, ale wkrótce po jego zgonie pisma Erazma zostały umieszczone na indeksie, a gorliwsi, czy bardziej eksponowani ,,erazmiści'' szczuci i tępieni po całej Europie. Z głośniejszych wyznawców Erazma tylko More uniknął prześladowań, ale tylko dlatego, że tymczasem został męczennikiem za wiarę. Na kanonizację jednak musiał czekać niemal trzy stulecia.

Okres ten zamknięty i ostatecznie przypieczętowany ciągnącym się latami, trzykrotnie przerywanym soborem trydenckim,

zadecydował o dalszych kolejach losu naszej, europejskiej, kulturalnej spuścizny. Tendencje odśrodkowe rozdzierają ją coraz głębiej. Niezależny rozwój poszczególnych części sprawia, że będą one coraz gorzej do siebie przystawać, coraz mniej pasować. Tendencje całkujące nie znikły, ale ich formy stają się coraz bardziej dziwaczne, nierealne, wynaturzone. Nie znaczy to aby intelekty, nawet najbardziej bystre zdawały sobie sprawę z istoty sytuacji, choćby w mglistych zarysach. Na to trzeba perspektywy wieków. I dziś jeszcze nie jesteśmy może zdolni ocenić w pełni wzajemny stosunek ówczesnych prądów i sił kulturalnych. Ale inteligencje wrażliwsze zaczęły coraz silniej odczuwać brak jakichś ,,hormonów'' kulturalnych, nacisk jakiejś ,,dewitaminozy'' intelektualnej, obsunięcie się jakichś fundamentów zadowolenia i radości życia społecznego.

Stąd rodziły się gorączkowe poszukiwania, niepokój myślowy i niedosyt uczuciowy. Literacka spuścizna klasycyzmu była znana i podziwiana już dawniej, ale dopiero teraz zaczęto ją przeżuwać z gorliwością rozpaczy, szukając elementów zapładniających intelektualnie. Potrzeba było nowej postawy filozoficznej, której próbowano doszukiwać się wszędzie, gdzie jakiekolwiek iskry, czy błędne ognie zdawały się przeświecać. W stoicyzmie i epikureizmie wyłuskiwanym z pism klasycznych autorów, w alchemicznych spekulacjach poszukiwań kamienia filozoficznego i eliksiru życia, w mechanicznych manipulacjach doświadczeń nowych dziedzin filozofii naturalnej: rzucaniu kul z wieży pizańskiej, szlifowaniu soczewek ujawniających jowiszowe księżyce, lub oswajaniu trwożliwej natury z próżnią Toricellego. Albo znów w filozofii hermetycznej, czy też zagłębianiu się w mistycyzmach, mniej lub więcej chrześcijańskich.

Jednym z tych prądów, wytworzonych przez instynktowne dążenia do warunków w których równowaga czynników kulturalnych może być, choćby sztucznie przywrócona i spokój intelektualny osiągnięty — była metoda szukania indywidualnego szczęścia w odsunięciu się od gromady i zbliżeniu do natury: ideał człowieka szczęśliwego w samotności wiejskiej. Ten to ideał, którego siła atrakcyjna zdawała się dosięgać szczytów w siedemnastym stuleciu, zanim zdążył on zwyrodnieć w szablon barokowej sielanki, wyśpiewał w sposób dla swych współczesnych najzupełniejszy, czy najbardziej wzruszający, Maciej Sarbiewski, stając się przez to jednym z najbardziej reprezentacyjnych poetów swego stulecia.

Naturalnie, było w Sarbiewskim dużo więcej, niż tylko rezonacja doskonałego instrumentu muzycznego, chwytającego wibracje tęsknot intelektualnych do szczęścia i przetwarzającego je na harmonię tonów lirycznych. Była w nim jeszcze bogata, wrażliwa inteligencja, która tak wyróżniała młodego księdza-jezuitę, nauczyciela zakonnej szkoły w Krożach, że dostaje on stypendium na studia w sławnych uniwersytetach włoskich. Tu wchłania on owoczesne prądy intelektualne, a między innymi filozofię hermetyczną, której najwyższa popularność, choć na-

wpół ezoteryczna, na ten właśnie okres pierwszej ćwierci siedemnastowiecza przypada. Intelektualiści tego okresu, nawet tacy jak Sarbiewski, którzy nie stali się wyznawcami hermetyzmu, kształtują swe myśli czy wrażenia w formę obrazów i modeli hermetycznych, oczywistych i zrozumiałych dla wszystkich kulturalnych czytelników. P. Roestvig, analizując odę *E Rebus Humanis Excessus,* wykazuje, że jej część opisująca szaleństwa ludzkości, przedstawia je w formie astralnych wpływów sfer planetarnych hermetyzmu. Analiza ta zresztą prowadzi również do wniosku, że oda ta odznacza się tak skończenie doskonałą formą poetycką, że niewiele wzorów w poezji świata ją przewyższa. Stanowi to, niestety, również ogromną przeszkodę dla tłumacza: przekład Syrokomli zamienia tę barwną, tęczową bańkę w kroplę mętnej wody.

A wreszcie koncepcje i wizje filozoficzne Erazma, choć relegowane na indeks, potępione i tępione, bynajmniej nie wygasły. Stanowiły one wciąż jeszcze gorący żar w podziemiu intelektu europejskiego. Do nich też nawiązuje Sarbiewski. Prawda, dzieła Erazma są już trudno dostępne, napewno niedozwolone młodemu księdzu i nie szukane przezeń ale... główne filozoficzne credo Erazma — „Enchiridion" jest niemal całkowicie włączone przez Inigo Lopez de Recalde, bardziej znanego pod imieniem Ignacego Loyoli, do dzieła jego *Exercitia spiritualis,* stanowiącego podstawowy, obowiązujący podręcznik w zakonie jezuitów. W tych czasach jezuici byli też wciąż jeszcze oskarżani przez dominikanów o uprawianie i rozpowszechnianie „modlitwy myślowej", „iluminizmu" oraz innych erazmiańskich „herezji". W tym też okresie, kiedy ich tradycja i wysiłki osiągnięć intelektualnych (w przeciwieństwie do późniejszych, czysto szkolarskich) nie zostały jeszcze stłumione i wyeliminowane, co stało się dopiero w końcu XVII stulecia — jezuici wywierali niedoceniany dziś wpływ na utrzymanie, kultywowanie i rozpowszechnianie kulturalnej tradycji europejskiej.

Ten prąd kulturalny i intelektualny znalazł swego wyraziciela w polskim poecie. Zaczynamy teraz łatwiej odgadywać tajemnicę popularności i znaczenia Sarbiewskiego w środowisku intelektualnej Europy. Był on jakby poetycką soczewką skupiającą w sobie wszystkie najistotniejsze prądy kulturalne ówczesnego wieku. Był Europejczykiem w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, może jedynym polskim poetą, o którym to można z pełnym uzasadnieniem powiedzieć. Rozumiemy też, lub zaczynamy się domyślać, dlaczego w Polsce, która już wtedy wycofuje się na boczne trakty ruchów społeczno-kulturalnych, Sarbiewski pozostaje nieodczuty i nieznany.

J. HORZELSKI

Kronika białoruska

Dwa pierwsze tomy przeglądu ,,Biełaruski Zbornik" wydawanego przez Instytut badania historii i kultury Z.S.S.R. w Monachium poświęcone są głównie sprawom kultury białoruskiej w Sowietach. Jak słusznie stwierdzają wydawcy, problem narodowy jest kluczem do poznania wszystkich problemów ,,republik" nierosyjskich w Sowietach. Po Ukrainie, Białoruś jest największą z tych republik, a dla czytelnika polskiego jest czy też powinna być najbardziej interesującą — obok Ukrainy i Litwy — choć trzeba przyznać z pewnym zażenowaniem, że mimo tylowiekową wspólną historię sprawami białoruskimi w okresie naszej krótkotrwałej niepodległości zbytnio się nie interesowano. A szkoda, bo była to być może ostatnia okazja, że w granicach Polski znalazła się tak wielka ilość Białorusinów. A okazja była tym jedyna, że w owym czasie po wschodniej stronie granicy ryskiej, która rozcięła ten kraj na dwoje, komuniści rozpoczęli gwałtowną akcję rusyfikacyjną.

Ramy polityczne tej akcji, którą prowadzono po krótkotrwałej ,,pieredyszce" w okresie NEP'u, nakreślone były przez pseudo-marksistowską terminologię ówczesnych teoretyków i aktywistów partyjnych, na Białorusi: była to walka o ,,socjalistyczną" Białoruś a przeciw tak zwanym ,,nacjonał-demokratom" (to jest przeciw białoruskim niepodległościowcom). W rezultacie wszystko co białoruskie nazywane było ,,nacjonał-demokratyzmem". Prace St. Stankiewicza, H. Niamihy, Ant. Adamowicza, J. Stankiewicza i M. Kulikowicza poświęcone są różnym aspektom tej walki.

Aby ją zrozumieć, trzeba się cofnąć do lat 1918-1920, kiedy to rosyjscy komuniści nie mieli jeszcze wyraźnych planów co do przyszłości Białorusi. Do tego stopnia, że stworzyli nawet w 1919 wspólną ,,litewsko-białoruską" republikę w nadziei zapewne, że uda się w ten sposób zagarnąć i Litwę (do tej republiki wchodziła zresztą tylko Wileńszczyzna i Mińszczyzna). Popularność białoruskiego ruchu niepodległościowego w latach 1918-1920, między innymi powstanie słuckie, podczas którego 10.000 Białorusinów stawiało przez miesiąc czoło przeważającym siłom sowieckim, otworzyła oczy bolszewikom na konieczność wysunięcia kwestii narodowej na pierwszy plan. Po zawarciu pokoju ryskiego rozpoczyna się więc okres ,,białorusyzacji", przechodzenia republiki na język białoruski. Problem nie był łatwy, jako że w 1917 nie istniała ani jedna szkoła z białoruskim językiem nauczania. Szkoły białoruskie, które istniały do powstania listopadowego przy klasztorach unickich, zostały pozamykane razem z tymi klasztorami; w 1834 na przykład ilość szkół spadła do połowy. Zamiast nich zaczęto otwierać, a i to niechętnie, szkoły rosyjskie. Podobnie jak w Polsce uczono tam dzieci w języku, którego nie rozumiały. Nic dziwnego, że w 1917 było na Białorusi ponad 80 procent analfabetów. Ci, którzy umieli pisać, znali przeważnie tylko język rosyjski. Nie tylko więc nie było szkół, ale nie było kadr do tych szkół nauczycielskich, a nawet nie bardzo było komu

szkolić te kadry. Mimo to, w krótkim okresie NEP'u osiągnięto poważne rezultaty i zdołano nawet założyć białoruski uniwersytet w Mińsku i białoruską Akademię Nauk.

Akcją ,,białorusyzacji" kierowali w dobrej wierze komuniści Białorusini, którzy skorzystali z NEP'u dla uświadomienia narodowego mas, marząc o ,,własnej drodze do komunizmu" jakbyśmy powiedzieli dzisiaj. Ale do współpracy w nowoutworzonych organizacjach kulturalnych przyciągnięto szereg nie-komunistów, a nawet dawnych niepodległościowców, wśród nich nawet uczonych i pisarzy przebywających na emigracji. Tak wybitny poeta Wł. Żyłka, W. Łastowski, premier niepodległej Białorusi, i wielu innych powrócili w 1925 z zagranicy i wzięli czynny udział w pracy. Nie jest wykluczone, że niektórzy ,,nacjonał-demokraci" (jak ich nazywała później sowiecka prasa) wrócili bez złudzeń, a jedynie w nadziei, że da się przez kilka lat pracować na polu kultury czy języka. Niewątpliwie, ortodoksyjni członkowie partii nie zrezygnowali z hasła ,,narodowa formą, komunistyczna treścią", ale tu właśnie spotkali się z tym, co komuniści chętnie nazywają ,,wewnętrznymi sprzecznościami systemu". Jak pisał wówczas jeden z uczonych białoruskich: ,,Dla nas... język stanowi wszystko: nasz naród jest ograbiony z kultury i z historii i jeśli teraz mówimy o narodzie białoruskim, to przede wszystkim mamy na myśli język. Język to nasz jedyny skarb". Tak więc, komuniści byli zmuszeni do popierania języka białoruskiego (podobnie jak na Ukrainie ukraińskiego), ale popieranie języka równoznaczne było ze wzmacnianiem poczucia narodowego tym bardziej, że ta ,,białorusyzacja" prowadzona była — jak wspomnieliśmy — przez kadry białoruskie i to nie koniecznie komunistyczne.

Jeśli głównym skarbem narodu był język, nic dziwnego że okres NEP'u był przede wszystkim okresem bujnego rozwoju literatury białoruskiej, białoruskich szkół i wreszcie studiów nad językiem ludowym (jedynym jaki istniał) i folklorem.

Likwidacja NEP'u i nadejście stalinizmu przyniosło tu zupełny zwrot. Skoro literatura białoruska jest szkodliwa, bo nawiązuje do tradycji starobiałoruskich (XVI-XVII wiek), to należy ją zlikwidować, a nowa literatura powinna nawiązywać do tradycji literatury rosyjskiej, która *par définition* nie może być antysowiecka. Skoro język białoruski jest szkodliwy z wyżej wymienionych powodów (a także dlatego, że opiera się na języku antysowieckiej wsi), to należy przerobić i język. Przedsięwzięcie może się wprawdzie wydawać na miarę gigantyczną, niewykonalną, ale rozumowaniu powyższemu nie można odmówić pewnej logiki. Do likwidacji literatury znalazła się pewna ilość literatów, którzy bądź to z przekonania bądź ze strachu oskarżali swych kolegów o ,,nacjonal-demokratyczne" uchylenia. Na polu językoznawstwa nie znaleziono wprawdzie językoznawcy, który by się podjął podobnego zadania (może dlatego, że językoznawców było wiele mniej), ale użyto do tego celu specjalnej ,,brygady" marksistów-leninistów.

Nieszczęśni białoruscy uczeni oskarżani byli o najbardziej oryginalne zbrodnie. Tak na przykład białoruskie muzeum państwowe ,,zbierało stare ikony i ewangelie, fotografie drewnianych kościołów i cerkwi", a nawet... ,,wzięło gorący udział w restauracji kościoła w Mińsku w roku 1928-1929"! (a wszystko to zamiast się zajmować propagandą antyreligijną). Specjalnie

za złe miano muzeum, że wykluczyło ze swych zbiorów „wzory szczeciny świń różnego rodzaju” (brak zainteresowania socjalistyczną gospodarką rolną) oraz „aparat do pędzenia samogonu otrzymany z ludowego Komisariatu sprawiedliwości” (brak zainteresowania techniką czy też niedocenianie osiągnięć sprawiedliwości socjalistycznej?).

Etnografów oskarżano o wydawanie albumów poświęconych białoruskim tkaninom ludowym, budownictwu itd. Językoznawcom zarzucano (i słusznie, zgodnie z tym, co pisaliśmy wyżej) najwięcej zbrodni. Wśród nich były znowu zarzuty świadczące o zupełnym prostactwie autorów, „pryszczatych” jak powiedzielibyśmy dzisiaj (kierownik brygady, profesor marksizmu-leninizmu nie umiał nawet po białorusku). Ale cel polityczny był jasny. Tak więc oskarżano komisję słownikową, że zebrała 24.000 słów ze starych tekstów, a zaledwie 57 słów z dzieł Lenina. Szczególnie zarzucano lingwistom studiowanie starych tekstów religijnych. Oto próbka stylu brygady: „Komisja historii języka białoruskiego postanowiła ‘wykorzystać najwybitniejsze pomniki starego języka białoruskiego jak Statut Litewski z 1588, Ewangelia Ciapinskiego z 1570-1580 itd.’ Wszystkie te średniowieczne, przeważnie religijne dokumenty dokładnie studiowano, analizowano, badano... Akademik Lesik wystąpił nawet z projektem wydania gramatyki XVI wieku”.

Z drugiej strony zarzucano językoznawcom zbytnie „wulgaryzowanie” języka to jest opieranie go na zbyt czysto białoruskim języku ludowym. Zarzuty te, mimo cały analfabetyzm ich autorów, były wcale konsekwentne: jeżeli nie wolno się wzorować ani na starej wytwornej białoruszczyźnie ani na żywym języku ludowym (ani oczywiście na polskim), to pozostaje tylko jeden wzór, język rosyjski. Tutaj wszystko jest dobre, nawet arystokratyczni i burżuazyjni pisarze XIX wieku. Ukoronowaniem tej polityki był wydany w 1933 dekret o zmianie ortografii białoruskiej jako „nacjonal-demokratycznej”. Ortografię zmieniono nie w kierunku uproszczenia a w jedynym kierunku zbliżenia do rosyjskiej. Zresztą nie chodziło tylko o ortografię, dekret zmieniał sam język. Wystarczy jeden drobny przykład. Zamiast *klasa, kilo, blok, plan* trzeba teraz pisać (a więc zapewne i mówić): *kłas, kiło, błok, płan,* itd. W rezultacie wszystkie słowa białoruskie, których nie ma w rosyjskim, są uważane albo za archaiczne albo za wulgarne albo wreszcie za polonizmy (wśród nich takie „polonizmy” nieznane zapewne żadnemu Polakowi jak *baćkauszczyna, siabryna, busawańnie*).

Analogiczna likwidacja miała miejsce również w literaturze, która do 1928 — w atmosferze względnej swobody — starała się powetować wiekowe opóźnienie (jedna z organizacji literackich miała wówczas 500 członków, wcale sporo jak na pięciomilionowy kraj z 80 procent analfabetów). Likwidacja literatury zakończyła się ostatecznie w latach 1932-1936. Zostali tylko nieliczni (jak poeta Janka Kupała, który popełnił następnie samobójstwo w Moskwie). Także i likwidatorzy zostali w odpowiednim czasie zlikwidowani. Najnowszy podręcznik sowiecki zmuszony jest na przykład zacząć historię białoruskiej literatury sowieckiej o kilka lat później, bo twórca tej literatury został rozstrzelany w latach trzydziestych.

Byłoby ciekawe dowiedzieć się jakie ślady zostawił okres rozkwitu literatury i języka podczas NEP'u, a zwłaszcza jak dalece masy białoruskie zachowały świadomość narodową. Oczywiście, studiowanie stosunków sowieckich jest w ogóle ciężkie, ale tego rodzaju badania byłyby szczególnie

trudne. Można jednak przypomnieć, że pokolenie, które przeszło przez szkołę białoruską ma obecnie od 30 do 40 lat. Jak dalece młode pokolenie wiejskie jest oporne na rusyfikację, można tylko zgadywać. Byłoby ze wszech miar pożyteczne, by któryś ze współpracowników instytutu zajął się obiektywnym zbadaniem tego problemu.

Drugi tom „Zbornika" wydany jest nieco gorzej, na powielaczu jako że Instytut wydaje jednocześnie zbiór prac po angielsku. Jak można sądzić, do zbioru angielskiego nie włączono niestety artykułu H. Niemihy o likwidacji „nacjonal-demokratów" ani St. Stankiewicza o polityce narodowościowej Kremla na Białorusi umieszczono tam natomiast artykuł o lasach białoruskiej S.S.R. (w nadziei na zainteresowanie ewentualnych wyzwolicieli?). Należy również mieć nadzieję, że ów przegląd angielski zredagowany jest staranniej pod względem językowym niż obcojęzyczne streszczenia w pierwszym tomie. Niezależnie jednak od tych drobiazgów, można pogratulować Instytutowi wydania dwu tomów prac, które udowadniają niezbicie, że polityka rusyfikacyjna jest niezależna od zmiany reżimu w Rosji i z których wysuwa się nieodparcie wniosek, że jedynym ratunkiem dla nierosyjskich narodów jest oderwanie od Rosji i zupełna niepodległość.

(*av*)

Konkursy, nagrody, subskrypcje

NAGRODA MUZYCZNA „KULTURY"

Przy współudziale ASSOCIAÇAO DE CANTO CORAL w Rio de Janeiro Redakcja „Kultury" ogłasza KONKURS na utwór chóralny „à capella".

Czas wykonania utworu — od 5 do 10 minut.

Termin nadsyłania prac — 1 kwiecień 1956 rok.

Nagroda wynosi — 150 DOLARÓW, zaś nagrodzony utwór zostanie wykonany na koncercie chóru „à capella" Associaçao de Canto Coral.

Utwory na Konkurs należy nadsyłać do *Redakcji „Kultury":* 91, Avenue de Poissy, Maisons Laffitte (S.-et-O.), France wraz z kopertą zaopatrzoną w godło i zawierającą nazwisko i adres autora.

KONKURS NA POWIEŚĆ

Komitet Obchodu Roku Mickiewiczowskiego na Obczyźnie w porozumieniu ze Związkiem Pisarzy Polskich na Obczyźnie przypomina KONKURS NA POWIEŚĆ z następującymi nagrodami:

£100 — nagroda ufundowana przez wydawnictwo ,,Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" w Londynie za powieść popularną osnutą na tle życia emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii;

£50 — nagroda ufundowana przez księgarnię wydawniczą Bolesława Świderskiego w Londynie za powieść o dowolnej tematyce;

£25 — nagroda ufundowana przez firmę księgarską i wydawniczą ,,Orbis" w Londynie za powieść 240 - 300 stron druku (małej ósemki), tematyka współczesna (okres dwudziestolecia niepodległości lub emigracji);

£25 — nagroda ufundowana przez wydawnictwo ,,Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza" za utwór beletrystyczny dowolnych rozmiarów, o dowolnej tematyce, w dowolnym ujęciu;

£25 — nagroda ufundowana przez wydawnictwo ,,Polski Wiernej" w Paryżu za powieść dającą wyraz katolickiemu poglądowi na świat.

Prace zgłoszone do konkursu należy nadsyłać na adres Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego na Obczyźnie — 18, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7, *do dnia* 31 *maja* 1956 *roku.* Powinny one być zaopatrzone *tylko godłem.* Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą imię, nazwisko i adres autora i oznaczoną tym samym godłem co powieść.

Jury konkursu stanowią: Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Zdzisław Broncel, dr Mieczysław Giergielewicz, red. Tadeusz Horko.



TRYLOGIA MELCHIORA WAŃKOWICZA

Stworzenie wolnej literatury wymaga zbiorowego wysiłku.

W tym celu w środowisku Polskich Art Clubów Ameryki powstała inicjatywa powołania międzystowarzyszeniowych ,,Komitetów Trylogii" po wszystkich polskich ośrodkach Ameryki i Kanady.

Akcja ta ma na celu umożliwić napisanie i wydanie po angielsku (przy odpowiedniej przeróbce) wielkiego dzieła Melchiora Wańkowicza, będącego niejako Panoramą Losu Polskiego.

Pierwsze dwa tomy tej monumentalnej pracy już się ukazały częściowo przy naszej pomocy. Jest to liczące 434 strony ,,Tworzywo" i 520 stronicowe ,,Drogą do Urzędowa".

Najpoważniejsze pióra (recenzje na żądanie rozsyła Komitet Wykonawczy) uważają Wańkowicza za przodującego pisarza polskiej współczesności.

Wśród nas więc i w naszych oczach powstaje wielki trud literacki. Praca pisarza usiłuje zastąpić brak Biura Historycznego.

Utworzone dotychczas Komitety — centralny w Chicago i lokalne w Boston, Buffalo, Detroit, Milwaukee, Minnesota, New Yorku, Pittsburgu, Springfield, Mass., nie mogąc z powodu Roku Mickiewiczowskiego rozwinąć szerszej akcji, zebrały blisko dwa tysiące dolarów częściowo już wydanych, częściowo zdeponowanych w Fundacji Kościuszkowskiej, która centralizuje finanse akcji.

Rok 1956 pragniemy uczynić rokiem zbiorowego czynu społecznego mającego dać Trylogii oparcie materialne i moralne. Są potrzebne znaczne

sumy, jeśli pisanie Trylogii ma być dokończone i dokonane jej przetłumaczenie, przeredagowanie i wydanie po angielsku. Pieniądze zebrane i deponowane w Fundacji Kościuszkowskiej są pod kontrolą publiczną i sprawozdania z wydatków i dochodów publikowane.

Rok Trylogii otworzyły uroczyste obchody w Bostonie w dniu 2-im października i w New Yorku 4 grudnia. Dla środowisk na Wschodzie są przewidziane daty na ostatni kwartał 1955 i pierwsze miesiące 1956. Dalej są projektowane obchody w Wilkes Barre 3 marca, Pittsburgh 4 marca, Rochester 10 marca, Buffalo 11 marca, Toledo (lub Cleveland) 17 marca, Detroit 18 marca, South Bend 21 marca, Chicago 24 marca, Milwaukee 25 marca, Minneapolis 8 kwietnia. Z wyjątkiem dwuch jeszcze w trakcie korespondencji, we wszystkich tych środowiskach powołane są już Komitety Międzystowarzyszeniowe.

W czasie tego objazdu autor będzie zbierał materiały dla swego dzieła przy pomocy miejscowych Komitetów. Kwiecień i maj poświęci na zbieranie materiałów na zachód od linii Chicago-Minnesota — w stanach środkowych i zachodnich.

Środowiska, osoby i instytucje zgłaszające współudział powinny zwracać się w sprawach zasadniczych do Sekretariatu Komitetu Centralnego (generał Ferdynand Zarzycki, 2424 No. Kedzie Blvd., Chicago 47, Ill.), w sprawach wykonawczych do sekretarza Biura Wykonawczego, p. Zb. Siekiel-Zdzienickiego (Box 52, Glen Cove, L.I.N.Y.). Biuro Wykonawcze udziela ostatnich wiadomości co do objazdu, składu i adresów poszczególnych Komitetów, przesyła sprawozdania rachunkowe, głosy prasy itd. Wpłaty z zaznaczeniem przeznaczenia należy kierować na konto ,,Kościuszko Foundation'', 15 West 65 St., New York, N.Y.

Prezes ,,Trilogy Fund'': *Jan GEMBALA,*
Prezes Związku Art-Clubów Ameryki.



KONKURS NA WIERSZ DLA DZIECI POLSKICH

Jury Nagrody Literackiej firmy Tazab Limited w Londynie ogłasza KONKURS NA WIERSZ (lub cykl wierszy) DLA DZIECI POLSKICH w wieku od lat pięciu do ośmiu, nie dłuższy niż 120 linijek tekstu, łatwy do nauczenia się na pamięć i do deklamacji.

Treść wiersza ma być — w najszerszym tego słowa znaczeniu — poetycką deklaracją dumy, że dziecko pochodzi z narodu polskiego, posiadającego własne, stare i bogate tradycje historyczne i kulturalne, nie gorsze od tych, z jakimi się styka lub zetknie w środowisku obcojęzycznym kraju swego zamieszkania. Wiersz (lub cykl wierszy) powinien zawierać tak silne akcenty polskości, by zmuszał do wspomnień przez całe życie, nawet gdyby codziennym językiem dziecka stał się później angielski czy jakikolwiek inny.

Nagroda za najlepszy utwór wynosi 50 gwinei.

Termin nadsyłania prac (tylko w maszynopisach) upływa 31. 12. 1955.

Wynik Konkursu ogłoszony będzie nie później jak 1 marca 1956.

Utwór nagrodzony staje się własnością firmy Tazab Limited i będzie na jej koszt wydany w formie pięknej broszury ozdobionej artystycznymi ilustracjami.

Skład Jury: Dr Zygmunt Nowakowski (przewodniczący), E.L. Hołdanowicz, pedagog, kierownik kursów korespondencyjnych dla młodzieży polskiej, Janusz Jasieńczyk, pisarz (sekretarz Jury), Stefania Kossowska, pisarka, Bogusław Przeradzki, pisarz.

Prace, opatrzone godłem, z dołączoną zamkniętą kopertą z nazwiskiem i adresem autora, nadsyłać należy pod adresem: *Jury Nagrody Literackiej, c/o Tazab Ltd., Tazab House, 22, Roland Gdns., London, S.W. 7, England.*

Dr Zygmunt NOWAKOWSKI, przewodniczący Jury.

◆

FRASZKA W AUSTRALII

Kabaret Literacko-Artystyczny „WESOŁA KOOKABURRA"
w Melbourne
o g ł a s z a K O N K U R S
na Fraszkę lub Utwór satyryczny
z nagrodą £A 50.

Utwory dotychczas nie drukowane wraz z zaklejoną kopertą, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora, kryjącego się pod danym godłem — nadsyłać należy do dnia 1-go czerwca 1956 roku na adres:
Mrs. Barbara Schenkel, 12 Wimbledon Ave, Melbourne S.2.
Australia

Autor każdego utworu konkursowego, wyzyskanego w programach „Wesołej Kookaburry" otrzyma nagrodę pocieszenia w postaci paczki żywnościowej.

Skład jury: Barbara Schenkel, Andrzej Gawroński, Andrzej Chciuk.

◆

W dalekim Melbourne istnieje od dziesięciu miesięcy polski kabaret literacko-artystyczny „Wesoła Kookaburra". Kookaburra — to ptak najbardziej australijski, skrzeczący i czupurny, oraz najpóźniej — z całej fauny australijskiej — chodzący spać.

Od razu trzeba podkreślić dwa przyjemne fakty: Wesoła Kookaburra 1) przynosi dochód i każde jej przedstawienie wyprzedane jest z góry; 2) ma sporo śmiertelnie przejętych sobą wrogów, niezbyt widocznie rozumiejących iż w bolesny, a często bzdurny patos życia emigracyjnego trzeba wprowadzić trochę humoru i frywolnej piosenki, po prostu trochę świeżego powietrza.

Jak pracuje i jakie ma plany zespół „Wesołej Kookaburry"? Sprawa wygląda następująco: Nie wiadomo, czy Kookaburrę nazwać kabaretem, rewią, nadsceną czy też chansonnière. Właściwie mieszaniną tego wszystkiego w połączeniu jeszcze z... dancingiem. W największym „kontynentalnym" nocnym lokalu w Melbourne „Moulin Rouge" co dwa-trzy miesiące odbywa się premiera nowego programu. 40% od dość wysokich cen biletów inkasuje właściciel lokalu. Daje on za to lokal, orkiestrę, kawę, kanapki, kelnerów itp. Zespół zatrzymuje 60% na pokrycie kosztów (dekoracje, próby, przejazdy, honoraria autorskie). Część dochodu przeznaczona jest na ufundowanie nagród w „Konkursie na Fraszkę lub Utwór satyryczny", który to konkurs z uczuciem pewnej dumy rozpisujemy w niniejszym numerze „Kultury".

Ryzyka finansowego nie ma, a każde (drugie, bo brak na więcej widzów) powtórzenie jest sprawą już tylko czystego dochodu. Około 500 osób na dwie raty, to jak na polski Melbourne — sukces.

Program składa się zwykle z dwóch lub trzech części. Połączenie tea-

trzyku z dancingiem okazało się koncepcją szczęśliwą. Publiczność się bawi, a zespół z nimi. „Wesoła Kookaburra" jest niezależna od każdego stronnictwa, związku, religii czy koterii. Z dochodów już trzykrotnie ofiarowała pokaźne datki na cele społeczne. W zapomnianej przez Boga i pisarzy polskich Australii stworzyła ośrodek oryginalnej twórczości, właśnie dobrze, że tej lżejszej. Placówkę tę chce utrzymać. Zamierza również wydać tomik — wybór własnych tekstów. To wszystko, choć wcale nie mało, zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę miejscowe warunki. Ze względu na odległości nawet w najmniejszym stanie Victoria (nie wszyscy członkowie zespołu mieszkają w Melbourne), a wszyscy pracują w najbardziej nieoczekiwanych zawodach: sprzedawczyni śledzi, komiwojażer biżuterii, urzędnik, agent ubezpieczeniowy, kucharz. Przerwy pomiędzy rewiami są, bo muszą, dość duże. Ma to i dobre strony: zespół nie przeje się szybko, ani też nie wyczerpie się zbyt gwałtownie, jeśli chce utrzymać tę placówkę satyry, humoru i bezpretensjonalnej zabawy.

W skład zespołu autorów, a zarazem wykonawców wchodzą: Barbara Schenkel (uczennica Zelwerowicza), Adam Treistmann, Tadeusz Leżoń, Andrzej Gawroński, Andrzej Chciuk, oraz artysta-malarz Zygmunt Krantz.

Andrzej CHCIUK

Książki

Ofiara

Otom Febowa Sybilla mówiąca rzeczy niezbite.

Książka Stefanii Zahorskiej przypomina ten starożytny napis z Troady. Lecz nie wieszczy, co będzie, tylko w trosce ogłasza to co *jest*.

Zdarza się czasem na Zachodzie, że gdy ukaże się książka przypominająca dzieje zagłady Żydów i tego co niedawno działo się w Europie, w szczególności w Polsce, ludzie którzy już odetchnęli, czy to rojąc, że pozbyli się brzemienia, czy tacy co tkwiąc jedynie w chwili obecnej ufają, że zmiana sytuacji politycznej naprawi to co było, bo już przeszło, pytają przykro zdziwieni i ze ściśniętym sercem, a czasem nawet bez tego: ,,Czy *to* istnieje jeszcze? Czyż nie należy wreszcie, nie tylko dla spokoju, także dla dobra wszystkich, szczególnie przyszłych pokoleń zapomnieć? Niech Letha to zatopi i uniesie! Niech spławi do Hadesu, tam gdzie miejsce dla potępieńców i dla potępieńczych wspomnień. Bo tam należą, a nie do ludzkiego świata, który chce żyć. Któż ma jeszcze ochotę pisać o tym, a któż zdrowy zechce czytać? Przecież sumienia winnych ani obojętnych już nikt teraz nie zbudzi, a jeśliby zbudził nawet, takich strat nikt nigdy nie powetuje. Niech woda to zabierze''.

Tacy i podobni ludzie zachowują się czasem jak rekonwalescenci nie bardzo ufni uważając, że proponują im by wrócili do choroby, albo jak zdrowi, których zachęca się aby chorowali na ochotnika. Propaganda zaś, która sumarycznie krzyczała tylko o milionach strat i śmierci — ale nie o ludziach i jacy byli — stawała się mimowoli trickiem niszczycieli, jakby na to, by ludzkość z oszołomienia zrzekła się wyobraźni. W ten spo-

---

Stefania Zahorska. *Ofiara.* Rysunki Feliksa Topolskiego. Str. 120. Nakł. Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie, 1955. (Skład Główny ,,Chimera'' Booksellers, Londyn, cena 13 sh. 6 d.).

sób zdążyła stępić i odstraszyć wielu ludzi od pamiętania i wspominania.

Lecz na to mamy odpowiedź w książce Stefanii Zahorskiej: To nie był przypadek, to nie była tylko wojna i Niemcy Hitlera. To musiało być możliwe skoro się stało. To *jest*. Tak właśnie mówił sobie bohater nowej ofiary, nowy a stary Abraham, mały gospodarz żydowski i piekarz z Podkarpacia, ojciec dwunastoletniego Izaaka. Choć tak indywidualnie i plastycznie narysowany, a przez to rzeczywisty, autorka identyfikuje go z patriarchą Abrahamem sprzed wieków. Dlatego gdy brzemiona wszystkich wyniszczeń, krzywd, poniżeń i obelg wiekowych, których obecność już sam zaczynał uważać za przesadzoną, wskrzesły w nowym przeraźliwym wybuchu, bo świat stał się pustynią i wszystkie drzwi dlań się zatrzasnęły, miał prawo powiedzieć: to jest. Wskrzesła także obecność ciągłego tułactwa, nieustannego exodusu, bo tylko to jedno jest pewne i trwałe. To jest. Toteż gdy na nowo wezbrały falę zagłady i tępienia, z tym, że tym razem władała nimi świadoma wola najsystematyczniejszego na świecie narodu, gdy drugą falą bezradność i obojętność, a nawet tępota uderzyły z tych zakątków, gdzie Żydzi jeszcze mogli spodziewać się schronienia, Abraham dziecię kapłańskiego narodu, w karze za kapłaństwo skazanego na los pariasów, w codziennych rozmowach z Bogiem gorzko winił Boga: że nie dotrzymuje przyrzeczeń opieki, że czyni to samo za co potępia ludzi i za co ludzie karzą ludzi. A jego mały syn, nowy Izaak, nie oczekiwał już pomocy od Boga, przeto nie znalazł już w sobie mowy i słowa do Boga, tylko nieustanny krzyk, co brzmiał jak wycie szakala na pustyni.

Dzieje narodu wybranego są tak związane z dziejami rodzin, że wini się w takich chwilach Boga jakby ojca lub przodka plemienia, że nie dość ostrzegał lub źle ostrzegał, że nie czuwał nad swoimi, a w chwili grozy, milczał zawzięcie. I cóż im pozostało? Dobrzy ludzie. Ale i ci nie wyszukali ich, nie czekali na nich, tylko Bóg przez Anioła wskazał nowemu Abrahamowi tułającemu się po nocy dokąd ma się schronić. I gdy taki „przypadek" uratował tymczasowo Abrahama z Izaakiem — który nadal krzyczał ciągle, ściągając na dom dobrych ludzi ciągłe niebezpieczeństwo ze strony prześladowców — Abraham już i tego nie mógł uważać za dobrodziejstwo, bo w sumieniu swym nie mógł pogodzić się z tym, aby zło przyszło przez niego:

— „Nie pójdę już więcej gdzie są dobrzy ludzie".

A może Żydzi czuwali za mało? Wprost przeciwnie. Pamięć tysiącletnich prześladowań i wciąż nowej tułaczki u tych „krajowych cudzoziemców" (jak wyraził się dr Judym Żeromskiego) trwała nadmiernie, niezrozumiale dla innych. Chana żona Abrahama, dzielna wiejska gospodyni, nawet nieco schłopiała „poganka", była taką samą żydowską matką jak inne w ciągu wieków. Bała się wszystkiego, przewidywała wszystko, zapobiegała nieustannie i przezornie wszystkiemu, tylko tego

jednego, tej jednej kardynalnej sytuacji Żydów nie mogła przewidzieć ani jej zapobiec.

Pozwolę sobie tutaj na jedno wspomnienie sprzed lat mniej więcej dwudziestu pięciu, w każdym razie na kilka lat przed objęciem władzy przez Hitlera. Zajeżdżałem wówczas we Lwowie do tradycyjnego hoteliku, gdzie już przedtem, może przed czterdziestu laty zajeżdżał mój ojciec. Co rano młodziutki kelner, może osiemnastoletni, imieniem Mendel, przynosił mi śniadania do pokoju. Był wesoły i rozmowny. Pewnego dnia przyniósł śniadanie z miną zatroskaną. Był uderzająco smutny i przygnębiony. ,,Co Mendlowi dziś się stało?'' — zapytałem. Z początku ociągał się, ale w końcu wypalił: ,,Nie można już wytrzymać z nimi! U nas, w rodzinie i tam, na naszej uliczce w Zamarstynowie starzy ludzie wyprawiają coś takiego, że wszystkiego się odechciewa. Mówią, lamentują wciąż, że idzie coś przeciw Żydom, że w Niemczech jest jakiś Hitler, że strach. Jestem młody, uciekłbym od nich na koniec świata, ale jak?'' Pamiętam dobrze moje wrażenie, toteż tego samego dnia na podwieczorku matematycznym u mych przyjaciół państwa Blumenfeldów, gdzie po dyskusjach matematyków odbywały się także inne dialogi, zacytowałem relację Mendla i to przyznam z troską. Obecni lubili mnie, cenili mnie także, ale tego im było za wiele. Pamiętam jak mój przyjaciel Blumenfeld, z którym łączyły mnie jeszcze inne sprawy, perswadował mi przyjacielsko: ,,Ależ, panie Stachu, pan z predylekcją słucha wszystkich pastuchów i chałaciarzy, a potem ,,nabija'' się pan nie tylko z Russella i z Freuda, lecz czasem nawet z samej nauki. Czyż nie widzi pan, że tamto przeciw Żydom *już dawno wygasło* zupełnie''. Te słowa pamiętam szczególnie dokładnie: już dawno wygasło zupełnie. Osaczony rozmaicie ze wszystkich stron, broniłem się jak mogłem, że czytam książki równie uważnie jak słucham tamtych pastuchów i chałaciarzy, przeto gdy i tamci zaczną fałszować rzeczywistość lub ślizgać się po niej obojętnie i z nich będę się nabijać, chociaż co prawda należy się im pobłażliwość. Koniec końców przyjaciele byli także wobec mnie pobłażliwi, bo zyskałem pewien patent na paradoksy w ich oczach zabawne więc nieszkodliwe.

A teraz co? Może ci którzy sami dość nacierpieli się i nie chcą już więcej się męczyć odpowiedzą: ,,Nie byliśmy przecie obojętni, ale czyż można dać i zrobić więcej?'' A gdyby im odpowiedzieć, że nigdy nie można robić zbyt wiele ludzkiego, odparliby może: ,,Ale po cóż tym co my przeżyliśmy truć i zatruwać innych, tych którzy nie mieli tych przeklętych doświadczeń co my? W jakim celu naprawdę''.

I właśnie w tym rzecz, że książka Zahorskiej jest jak zew Sybilli. Nie jest żadnym wspominaniem i tym różni się kardynalnie od takich czy innych uczciwych i cennych zresztą wspomnień. Ogarnia bowiem całość i to taką, która nie przemija. Nie wspomina prawie Niemców, mówi o nich jak o sile ciemnej, która zawsze jest. Nie ukazuje też obrazów Niemców; co naj-

wyżej błysk butów młodego człowieka w kooperatywie przeraża Abrahama, widocznie przypominając mu buty żołnierskie, a ślad auta na gościńcu przypomina mu, że to są ślady współczesnego diabła, jak dawniej były ślady kopyt. Nad każdą stroną, nad każdą linią tej autorki tak świadomej, jest mowa o tym co jest. Utrwala doświadczenie swoje i nasze podobnie jak starożytne mity utrwalały okropne przeżycia młodego człowieczeństwa. Jak mit o Medei co zwabiła Peleasa złudą odmłodzenia, by posiekać go i ugotować w kotle. Jak mit o Atreusie, co podał na uczcie Thestesowi jego własne dzieci jako potrawę. Jak dzieje Atrydów lub choćby opowiadanie o jednookim, dufnym tylko w siłę, ludożercy Cyklopie. To ostrzeżenie, to pomnik grozy wciąż obecnej i trwałej, który staje na straży człowieczeństwa. I taka jest przyszłość dla twórczości czerpiącej *z tych* okropnych doświadczeń. Nie dla wspominania tylko, nie dla zatruwania, ni dla nudzenia sumienia. Bo ,,mit'' choć nieprawdopodobny wydaje się, a przecie jest prawdą w każdym calu. Mit można objaśniać na sto sposobów, wielokrotnie i nawet ciągle inaczej, a na pierwszy rzut oka przecie odsłania od razu swe znaczenie. To skondensowany obraz doświadczeń i nauk z doświadczenia. Rośnie organicznie jak kwiat, albo ciśnie się do gardła jak nagły krzyk, ale w retorcie co chce produkować fałszywe mity-niemity wypitrasić się nie da. Ten nasz mit chce czuwać, aby nie było według słów Mickiewicza : ,,Dobry zapłakał lecz odwracał oczy''. Oprócz tych co odwracali oczy byli i są tacy co skłonni głośno jak najgłośniej oskarżać i obwiniać wszystkich, tylko nie siebie.

Nie utracić raz zdobytej a tak drogo okupionej wiedzy o tym co wciąż grozi, i czuwać — oto zadanie ,,mitu''.

Bo jeszcze raz, czy ci co obojętni, czy tylko ci ,,co mają coś lepszego do roboty'' mogą odpowiedzieć podobnie jak niegdyś ludzie homeryccy : ,,Nie my winni, Dzeus winien, bo uśpił obawy, a tamtych opętał szałem. Ananke winna, procesy dziejowe, konieczność historyczna, to nie my''. Surowy ,,mit'' Zahorskiej nie oskarża właściwie, tylko stwierdza. W takim przedsięwzięciu, choć nikt nie zaprzeczy, że książka jest napisana świetnie i nawet ponad pochwałę, forma poetycka jest czymś drugorzędnym, bo rozumie się samo przez się, że bez umiejętności i bez takiej pewności jaką wykazała Zahorska, nie ma po co porywać się na dzieła tak śmiałe. Książka pozostanie jako pomnik samowiedzy i jako wychowawca czujności.

Ale zapyta ktoś : ,,Czy pozostawi także ton krzepiący ? Czy da jakiś błysk nadziei ? To chyba wątpliwe ?'' I na to należy odpowiedzieć, że zdawien dawna zgony herosów, a także rodów i plemion, tym co przeżyli pozostawiały przede wszystkim wstrząs. Przeto pytać o nadzieje wypada wstydliwie i cicho, jak właśnie czyni autorka. Korzenie nadziei, to znaczy korzenie ofiary, ukryte głęboko. A przecież — jakież mocne afirmacje znajduje się w pytaniu nowego Abrahama : Dlaczego ukrywa mnie ten Sobol, który nie tylko naraża siebie i rodzinę, ale także swą podziemną robotę polityczną, której dom jest tajnym centrem.

Jeszcze więcej afirmacji znajdujemy w śmiechu jego córki Klary, która jak wspomina Abraham, od lat najmłodszych stanęła ponad „normalnym" podziałem świata na Żydów i nie-Żydów. Wymęczona przez prześladowców, uciekła dopiero co z kacetu i zjawiła się niespodzianie w samotnym domku górskim u ojca, a już śmiech jej rozpraszał obawy. Bo według wyrażenia jej ojca, przy jej zjawieniu niebezpieczeństwa oddalały się i jak gdyby uciekały w panice. Abraham obawiał się, że jej śmiech urwie się nagle. Ale domyślamy się intencji autorki, że taki śmiech przemoże i przemagać będzie, dopóki się go rozumie. Co więcej, sama książka jest z tych, które budzą i wzywają do przyrzeczeń mocnych. A nie ma chyba śmielszego piastuna czynów dobrych a śmiałych jak czysty śmiech i uśmiech. W naszych górach wierzą, że ufny uśmiech świętych Rachmanów, patronów naszego bytowania, ośmiela i zapala we wszelkim stworzeniu to co najlepsze.

Książka kończy się prawie skąpo w swej przejmującej wymowie. Klara starała się ratować na rękach dwunastoletniego Izaaka. Ścigana przez prześladowców ginie. Izaak jest uratowany, ale zmiażdżony Abraham chce ofiarować syna jak przed wiekami, jak gdyby płacąc ofiarą za ofiarę. Najbardziej obawia się spotkania z ojcem Klary, starym Sobolem. Lecz Sobol, pozornie fatalistycznie, w istocie z wiarą, tłumaczy, że Klara jak zawsze wiedziała co robi, i że to co się stało oszczędziło jej cierpienia i męczarni. Ożywia się wreszcie, jakby triumfując cicho: „Podczas rewizji przecie nie znaleźli stacji radiowej, bo dobrze ją ukryliśmy".

Abraham buntował się dotąd przeciw Bogu mówiąc sobie: „Nie pójdę już gdzie dobrzy ludzie, bo tylko ich narażam". Teraz znajduje lub co najmniej szuka Boga takim jakim jest. Ofiara Klary i Sobola otworzy mu oczy. Znalazł się niedaleko cichego ostrzeżenia: „Nie nazywaj mnie dobrym — człowiecze — tylko Bóg jest dobry". A nie tak dawno chasydzcy mistrzowie uczyli, że człowiek o tyle jest dobry, o ile nie gorszy się, o ile nie obraża się na Boga, tylko pomaga Mu ze wszystkich sił. Pomaga — dodajmy — ratować przede wszystkim słabych, uciśnionych, prześladowanych, ci zawsze się znajdą. Cervantes przedstawia takie aspiracje ludzkie niby to ze strony śmiesznej, ale raczej z gorzkiej: Cóż to za świat, w którym tylko rycerze z La Manczy są bezosobiści i szlachetni, a tylko Szanczo-Pansowie są wierni. Ale w tej sprawie ludzkie aspekty czy to tragiczne czy komiczne są niewspółmierne z wezwaniem szeptanym.

Dzeus władający piorunem usprawiedliwia się przed zarzutami ludzi mówiąc: „Nie my winni, nie my Niebianie, tylko ludzie sami, przecież ostrzegaliśmy ich nieraz". I to była odpowiedź, która przekonywała ludzi homeryckich. Ale cóż słyszy Abraham, on, „głowa starsza" od tych wszystkich, które go otaczają. Czegóż chce Bóg? Bóg Abrahama i Izaaka, Bóg ukryty, nie usprawiedliwia się i nie potrzebuje usprawiedliwie-

nia. Milczy. Tylko wskazuje w sumieniu: „Posłałem ci anioła, posłałem ci oczy śmiejące i ręce mężne, niezawodne. Ty uważałeś że w rachunku należy ci się coś. Oto otwieram ci oczy ponad rachunek". I to wydaje mi się wydźwiękiem „Ofiary".

Z listów i z rozmów pełnych uznania dochodzą mnie nieśmiałe zastrzeżenia, że filozofia „Ofiary" nie jest jasna, to znów, że ostatnie stronice „Ofiary" są „mistyczne". Nie jestem tego zdania. Przecie, choć na razie moje własne rozumienie wydaje mi się przekonywujące, możliwe, że w książce jest jeszcze coś takiego, czego nie wyłowiłem, a co można dostrzec jeszcze w miarę większego wysiłku. A ta książka, równocześnie tak przystępna i tak zgęszczona, zasługuje na jak największy wysiłek czytelnika.

Stanisław VINCENZ

"Polacy z Kresów"

PROSZE USZANOWAĆ WILNIANINA

„Kultura" umieściła już recenzję o „Drodze do nikąd" Józefa Mackiewicza, ale ta dziwna książka zasługuje na więcej. Obawiam się że niektóre jej warstwy mogą zostać niezauważone, stąd krótkie uwagi. Zewnętrznie rzecz wygląda tak: mrukliwy drobny szlachcic, który już mieszkał w mieście, ale nadal lubił nosić długie buty i granatową czapkę z kozyrkiem, pisze na emigracji powieść o swoim rodzinnym kraju zagarniętym i zdławionym przez sąsiednie mocarstwo. W tej powieści wykazuje zdumiewający dar operowania realiami z codziennego życia małych ludzi. Żaden z prozaików rezydujących w Polsce nie potrafi tak jak on tworzyć postaci kilkoma pociągnięciami pióra, i to bez psychologizmów, prawie bez opisu, pokazując gest, westchnienie, splunięcie. W porównaniu z nim w Związku Literatów w Warszawie nie ma ani jednego realisty. To oni są wykorzenieni, nie on. Gdzie się uczył tej sztuki? Piłując drzewo, a może czytając rosyjskich autorów dziewiętnastego wieku. Powieść jego zepsuta jest jednak przez rezonerstwo. Chce odtworzyć wiernie to co było. Jeżeli ci, którzy posłużyli mu za model, nie mówili nic — u niego nie mówią nic. Jeżeli dyskutowali — dyskutują. A ponieważ dyskutują często naiwnie, na autora spada zarzut prowincjonalnej dywagacji. Czyli nie dopisał mu artyzm, który ściąga, skraca, wyciąga ekstrakt. Tak rzecz wygląda zewnętrznie.

Istotnie jednak treścią tej powieści jest *męka myśli*. Wtedy kiedy spod piły sączy się żółty strumyczek piłowin; kiedy, ze zmarszczonymi brwiami, żuje się jodłową igłę; kiedy pociąg na linii Wilno-Jaszuny

wjeżdża między pierwsze sosny za Porubankiem. I ta męka myśli może łatwo zostać niedostrzeżona, bo przesłoni ją temat: pierwsza okupacja sowiecka na Litwie. Następuje natychmiast przeskok ku wielkiej polityce. Czytelnicy dzielą się na tych co wzruszają ramionami: „wiadomo”... i na tych co odsuwają książkę: „nie chcemy wiedzieć”. I dopiero gdyby Mackiewicz nadał zaborczemu mocarstwu nazwę np. Massagetii, a różne rodzaje policji politycznej przemianował np. na Braci Dobrej Rady, Braci Szczególnej Opieki czy Braci Powszechnego Wesela, zdołałby skierować uwagę ku temu co, wydaje mi się, leży mu na sercu. Ale to jest niemożliwe, bo jego pisarstwo opiera się na prawdzie szczegółu a ten szczegół musi brać z konkretnego miejsca i czasu. Jak na ten gatunek „anty-sowieckiej literatury” będą patrzeć ludzie za lat pięćdziesiąt? Prawdopodobnie znajdą tam zupełnie inne elementy niż czytelnik dzisiejszy. Nie trzeba zapominać, że historia literatury wyznaczyła wybitne miejsce utworom uważanym przez współczesnych jedynie za aktualne pamflety. Te pamflety były wielowarstwowe i czas odsłaniał jedną warstwę po drugiej.

Mackiewicz jest człowiekiem który natknął się na fenomen. Nie ma granic zaciekłości z jaką stara się problem ugryźć. Jest człowiekiem porażonym przez problem. I stale zdumionym. Jak wiadomo zdumienie jest matką filozofii. Zdumienie tak silne jak u niego zdarza się rzadko. Mackiewicz wszedł w najtrudniejsze sprawy dwudziestego wieku, te od których ucieczki szuka się w cytatach z Marksa czy Hegla. On wszedł naiwnie, to znaczy z doświadczeniem. Dlatego wyraził mękę myśli prostych ludzi którzy milczą. Gdzieś, daleko, żyje przecie może dotychczas Jadźka która miała guzik przy białych majtkach przyszyty czarną nitką, i może Weronika.

Fenomen o którym mowa da się wyrazić pytaniem: jeżeli nikt tego nie chce, dlaczego to jest? Z pozoru tylko chodzi o zaborczy akt Rosji. Twierdziłbym nawet, że słowo bolszewizm obejmuje zaledwie część zagadnienia. Nie, Mackiewicz spojrzał nagle na społeczeństwo ludzkie tak jakby je widział pierwszy raz. Straszliwe zapadanie się. Przepaść. To, co dotychczas było codzienne, normalne, ukazało się w gigantycznych wymiarach, które istniały zawsze, ale przykryte. Policja polityczna posłużyła tylko jako katalizator. Mrukliwy Wilnianin poczuł się jak nagi Adam. Wszystko, całe swoje myślenie, musiał zaczynać od początku.

Bohater powieści wie, że opór jest daremny i nielogiczny. Wie, że jedyna droga jaka zostaje to znaleźć się w aparacie. Jest to nie tylko jedyna droga żeby uchronić się fizycznie, ale również żeby uchronić się duchowo: ten kto ogarnia całość z góry, ze stopnia w hierarchii, zyskuje jakieś poczucie sensu, celu — albo przekonuje siebie że zyskuje. Bohater Mackiewicza chce zostać na dole. Dlaczego — sam nie wie. I to „sam nie wie” jest sednem książki. Scena sprzedaży szabli jest oczywiście symboliczna: honor szlachecki — bzdura. Ale jest również scena cudu we wsi Popiszki. Ten okrutny obraz tysięcy chłopów którzy czekają na cud, z enkagebistami którzy obok też czekają spokojnie bo wiedzą że cud nie nastąpi — i nie następuje — oznacza, ni mniej ni więcej, tylko wyrzeczenie się religijnej podstawy ludzkiego wyboru. „Jeżeli Bóg nie istnieje, wszystko jest dozwolone” czytaliśmy u Dostojewskiego. Mackiewicz przeprowadza w swojej książce stopniowe niszczenie wszelkich *racji*, tak żeby jego bohater na niczym nie mógł się wesprzeć. Gdyby stał twardo przy swojej opozycji, zacięty w jakimś kategorycznym „nie”, byłby nieludzki.

Jest ludzki — nie chce ginąć, próbuje się ratować, ale zmierza do nikąd bo nie może inaczej i czemu, sam nie wie. Dokonuje wyboru *nie powołując się na nic*. Ani na honor, ani na wierność, ani na wiarę.

Dylemat terroru: albo zabijać, albo być zabitym. Gdyby ten Paweł przyjął ofertę aranżowania tekstów literatury polskiej dla teatrzyku w myśl wymagań, nikogo by przez to nie zabijał. Pozornie tylko nikogo. Na prawdę dylematu nie da się uniknąć. Paweł pobiera decyzję nie w jakimś transie szlachetności, ale jak zwykle człowiek: z ociąganiem się, z nadzieją że może uda się i tak uniknąć nieszczęścia, a to, co jest samym aktem woli występuje *w przebraniu:* jako znużenie i wstręt. „Droga donikąd" tylko na powierzchni jest powieścią polityczną. Dyskusje (a przypuszczalnie dałoby się je skrócić, ściągnąć do ekstraktu) służą celowi autora: niszczeniu argumentów do oporu. Rok 1940-1941 w Wilnie dostarczył mu sytuacji przymusowej w stanie niemal klinicznie czystym. Znacznie trudniej byłoby to przeprowadzić na tle Polski 1945 czy 1946 roku, gdzie zasadniczym pierwiastkiem była miniona okupacja hitlerowska, a więc zniszczenie kraju, marzenie o odbudowie i „pracy organicznej", gdzie akcent był osłodzony przez fakt, że obcy ukrywali się za kulisami (stąd olbrzymia sfera dwuznaczności nieznanej w Wilnie).

Mackiewicz napisał powieść o dręczących go kwestiach etycznych które są właściwe „religijnym ateistom". Podejrzewam, że wszelkie jego miotania się w polityce są tylko wynikiem tej wewnętrznej tortury. Przez to jest „rosyjski" — nihilizm rosyjski znał tę intensywność, to drążenie. Ale w tym sensie cała wartościowa literatura współczesna stała się „rosyjska". I oto okazuje się, że można wskoczyć w najwspółcześniejszą współczesność nosząc granatową czapkę z kozyrkiem — i znacznie skuteczniej niż przez pisanie awangardowych wierszy. Kto nie dostrzega filozoficznego węzła tej powieści, krzywdzi Mackiewicza.

Jeżeli nikt tego nie chce, dlaczego to jest? Inaczej mówiąc, człowiek wobec Bestii Społecznej. Ta Bestia była zawsze, nigdy jednak dotychczas nie wystąpiła z pretensją absolutną, nigdy nie ogłaszała: oprócz mnie nic nie ma. Przeciwko niej buntuje się człowiek nie wspomagany niczym, bo wszystko zostało mu odjęte. Dlaczego chce zostać zniszczony? „Dlatego". Ani słowa więcej. To największa zagadka.

W „Dżumie" Camusa bohater powieści, lekarz walczący z epidemią (symbolem, jeżeli kto chce, hitleryzmu) akceptuje swoją śmierć bez powoływania się na jakiekolwiek racje. Jest jeszcze jedna powieść francuskiego autora którą można tu przypomnieć — „Trzecie niebo" Jean Rounault. Temat jest wzięty ze wzmianki w „Literaturnoj Gazietie" o sekcie na Ukrainie która w kilka lat po ostatniej wojnie powstała w paru tamtejszych kołchozach. Ci kołchoźnicy uważali Państwo za Antychrysta. Mniejsza o ich wyobrażenia; źródło tego ruchu to przeżycie aż do głębi problemu Zła. Tak głębokie przeżycie, że woleli umrzeć niż Złu służyć. Mieli wiarę religijną, ale tu granice są płynne, w centrum był sam nagi moralny protest.

Bestia Społeczna (a forma rosyjska jest tylko jedną z wielu jakie może przybrać) nazywa taki protest szaleństwem, głupotą, przesądem i dąży do jego likwidacji w ten sposób, że odbiera mu uznanie ze strony tych, co sami są zbyt słabi żeby płacić ale zdolni byliby czyn ocenić. Człowiek protestujący nie może więc oczekiwać żadnej aprobaty, musi zgodzić się na zohydzenie siebie i śmieszność (dlatego dzisiaj w Polsce ośmiesza się z ni

nawiścią postać Don Kichota którego Cervantes ośmieszał z miłością). Nihiliści rosyjscy wstępując na szubienicę wiedzieli że będą żyć w pamięci swoich, a być może całego ludu. Pytanie które nęka Mackiewicza brzmi: czy człowiek, bez żadnej pomocy jaką daje przejrzenie się w oczach przyjaznych nam ludzi i bez pomocy Nieba zdolny jest dobrowolnie ginąć? Przez tę redukcję do najdrobniejszego ziarna woli ludzkiej którego nie umie (i nikt nie umie) nazwać, książka Mackiewicza jest czymś nieskończenie wyższym niż świadectwa historyczno-polityczne. A żeby lojalność w redukcji była zachowana do końca, żeby nie oszczędzić sobie żadnego poniżenia, Mackiewicz każe najinteligentniejszej ze swoich postaci, Fjodorowi Mikołajewiczowi, nazwać wzgardliwie to ziarno — „pychą jednostki".

NOWE WYDANIA VINCENZA

Tom pierwszy dzieła o Karpatach Stanisława Vincenza, „Na wysokiej połoninie" ukazał się w Warszawie w roku 1936 i liczył ponad 700 stron. Książka ta jest dzisiaj prawie nie do znalezienia. Stały postęp pracy doprowadził autora do ukończenia drugiego i trzeciego tomu już w latach powojennych. Obecnie pojawiło się wydanie angielskie, stanowiące wybór z trzech tomów (*), oraz wydanie polskie będące wyborem z pierwszego (**).

Ani powieść, ani zapisy „naukowego" zbieracza jak Oskar Kolberg, dzieło Vincenza jest opowieścią, czy serią połączonych opowieści o starej cywilizacji, która istniała w Karpatach. Była to cywilizacja pasterska. Wracając wstecz, poprzez podania przekazywane z ust do ust, ku czasom kiedy tysiącletnia puszcza stała nietknięta, kiedy flecista (to znaczy grający na greckiej fłojerze) Kudil wędrując do Ziemi Świętej trafił do baśniowego kraju Syrojidów (w starych legendach litewskich powtarza się również motyw strachu przed ludożercami mieszkającymi gdzieś dalej na wschód) Vincenz odtwarza niepisaną historię tej cywilizacji, wieść o jej półbogach i bohaterach, o Hołowaczu który zabił biesa, o opryszkach walczących z panami polskimi i węgierskimi, o najsławniejszym z nich Doboszu, który grabił bogatych i opiekował się biedotą. Ale przeszłość splata się organicznie z nowszymi czasami — z drugą połową wieku dziewiętnastego, kiedy piły sprowadzonych po to Włochów (bo nikt z miejscowych nie znał tego rzemiosła) szczerbiły puszczę, a robotnicy leśni drżeli przed gniewem obrażonych bóstw lasu, kiedy śmiałość miejscowych siłaczy ćwiczyła się na spławianiu drzewa Czeremoszem. Nie tylko jednak obraz życia huculskich wiosek i kolib w górach. Występuje u Vincenza dwór polski i żydowskie miasteczko, włączone w rytm huculsko-polskiego otoczenia i natury, wskrzeszony jest obyczaj epoki kiedy nie znano rasizmu i każdy, niezależnie od języka i wyznania, był „swój". Żydowscy woźnice, „bałaguły" oddają się najzawilszym spekulacjom teologicznym, oni w kraju gdzie w górach trwa nadal silny politeizm kłopoczą się o walkę Pana Boga z Szatanem i zasta-

(*) Stanisław Vincenz. „On the high uplands". Sagas, songs and legends of the Carpathians. Traslated by H.C. Stevens. Illustrated by Z. Czermański. Roy Publishers, New York (Hamish Hamilton, London).

(**) Stanisław Vincenz. *Na wysokiej połoninie*. Nakł. Kat. Ośr. Wyd. Veritas, Londyn, 1955, cena egz. 15 sh.

nawiają się czy Szatan będzie kiedyś zbawiony. Jest to kraj chasydów, nie wygasła w nim pamięć o nauczycielu: Baal Shem Tow, który mieszkał w grocie w górach, przemawiając do ptaków jak św. Franciszek.

Vincenz należy do szczególnej formacji ,,Polaków z kresów", która zaważyła na rozwoju polskiej literatury, ale nie zdołała odwrócić klęsk. Istniała ona przez cały wiek dziewiętnasty i przez część dwudziestego, ale stopniowo usuwała się z widowni, obcy był jej nacjonalizm i pojęcia ojczyzny etnicznej. Ciągłość tej formacji jest niewątpliwa, choć zbyt wiele jest dzisiaj przeszkód, że by zobaczono ją z perspektywy. Mickiewicz, poeta sławiony w obecnej Polsce, który nie był nigdy w życiu w Warszawie ani w Krakowie, jest niemałym paradoksem. Z tego samego gatunku pochodził Apollo Korzeniowski i, ostatecznie, jego syn Józef Conrad, jednym z jego ostatnich przedstawicieli był Stanisław Stempowski. Parantela jest dobra. I tylko taki autor jak Vincenz mógł pokazać swoje rodzinne Pokucie nie wpadając w protekcjonalną ,,malowniczość" ale jako kraj w którym współistnienie języków i kultur było naturalne; przez miłość do ojczyzny jako terytorium, na którym odrębności grup powinny być szanowane bo są bogactwem, pisze wbrew tendencjom mechanicznie-unifikującym polskim ukraińskim czy żydowskim. Jeżeli tak droga jest mu cywilizacja pasterska, to dlatego chyba przede wszystkim, że rosła organicznie, nietknięta niemal przez gospodarkę folwarczną i uprzemysłowienie. Byłoby błędem, myślę, traktować jego dzieło tylko jako monument wystawiony niepowrotnej przeszłości. Nadaje mu jedność niewypowiedziana myśl o przekleństwie wykorzenienia, atomizacji ludzkiej masy, co dzisiaj w Polsce osiąga tak przerażające rozmiary. Tak więc dostarcza materiału do rozmyślań ludziom jutra, którzy nie zdołają od tych problemów uciec — chyba że zmienią się w Syrojidy, o których baśń powiada, że byli koloru zeschłych liści.

Profesor William Rose, w przedmowie do wydania angielskiego mówi o żywiole morza i żywiole gór. Conrad napisał epos morza. Okres Tatrwał w literaturze polskiej krótko, zamyka się Stanisławem Witkiewiczem i Tetmajerem. ,,Na wysokiej połoninie" jest trzecim wkładem w pieśń o żywiołach. Jest w Vincenzu coś z Walta Whitmana: upojenie ogromem życia, przyjazny, gorący stosunek do człowieka, poczucie wolności i braterstwa w wolności. To człowiek pobożny, to znaczy pełen podziwu. Słowo Vincenza jest mniej pisane niż mówione, jest jak notowana opowieść przy ognisku, stąd w jego polszczyźnie dłużyzny przez które nieraz trzeba się przebijać. Saga — to najlepsze określenie. Czytelnik angielski musi skojarzyć tę książkę z legendami indiańskimi. Niektórzy bohaterowie Vincenza są do herosów z tych legend podobni, podobna jest aura magii; ale w Ameryce nie było chasydów, nie było całej tkaniny wzajemnie na siebie oddziałujących obyczajów i wierzeń, które sięgały, poprzez góry bałkańskie, antycznej Grecji.

Dzieło Vincenza stanie się w przyszłości niewyczerpaną kopalnią motywów dla — uprzedzam zdziwienie — filmu. Ten wielkopański zamek, do którego diabeł, przebrany za lokaja, zaprasza Dobosza, okazujący się w środku hucznej zabawy, zamkiem-widmem, pustą ruiną na szczycie skali tej góry — to temat dla wielkiego artysty, który potrafiłby przy pomocy rysunku i farby przenieść to na taśmę filmową. Całe zresztą dzieje doboszowych bojów i zwycięstw. Albo bajka o krawcu Pinkasie, o tym jak dostał się na dwór króla Hiszpanii i jak o niego się tam troszczyli, bo był tam jedynym Żydem, inni zostali już wytępieni — a chrześcijanie muszą przecież kochać swoich wrogów i kogo by kochali gdyby zabrakło Pinkasa. Albo przygody Kudila. Że filmowi artyści przyszłości zwrócą się nieraz do tej książki po natchnienie — jestem prawie pewien.

Recenzja niniejsza ma cel doraźny: zasygnalizować nowe wydanie. Pwstrzymałem się dlatego od analizy, którą można by było przeprowadzi

biorąc za punkt wyjścia względne szczęście człowieka włączonego w „rok obrzędowy" i surogaty, którymi próbuje dzisiaj to zastąpić, z małym na-ogół powodzeniem.

PRACE POLONISTY

Wilnianin Zbigniew Folejewski wydaje już drugą publikację. Pierwsza, po francusku, była studium o prozie Orkana. Druga, po angielsku, jest zbiorem studiów o poezji polskiej i rosyjskiej (*). Zawiera ona cztery rozdziały: o Jeseninie i Majakowskim, o Władysławie Broniewskim („Proletariacki Prometeusz spętany"), o polskiej poezji w czasie wojny, o poezji w powojennej Polsce. Zasadniczą trudnością pracy polonisty poza granicami swego kraju jest, jak mi się zdaje, trudna do uniknięcia podwójność metody. Szczegóły, które nie są możliwe do wytłumaczenia obcemu audytorium, a które w Polsce rozumieją się same przez się, cała tkanka drobnych aluzji, stanowiąca o „życiu literackim", musi być usunięta. Potrzebna jest duża dyscyplina wyboru — raczej pożyteczna, bo przecież nie wolno uważać historii literatury za coś nieprzetłumaczalnego, coś zasadniczo zamkniętego dla cudzoziemców. Jednakże to ograniczenie może niekiedy powodować niedostateczną gęstość, która w oczach bardziej wtajemniczonego czytelnika jest popularyzacją (nie ustrzegł się tego niebezpieczeństwa profesor Weintraub w swojej książce „The poetry of Adam Mickiewicz **). Jednak popularyzacja nie może być celem badań literackich. Bardzo starannie opracowany jest u Folejewskiego antagonizm postaw dwóch poetów — chłopskiego Jesienina i rewolucyjnego Majakowskiego (ale tutaj przyznajemy się, że jesteśmy obcą publicznością). Dobrze ugruntowana bibliograficznie jest charakterystyka Broniewskiego, szczególnie w pierwszym okresie jego działalności (dyskusja o „poezji proletariackiej" w latach 1927 i 1928). Natomiast jego dalszym przemianom, zwłaszcza w ostatniej fazie po powrocie do Polski, poświęca autor mniej uwagi. Bądź co bądź, zbadanie samego mechanizmu, który doprowadził Broniewskiego do napisania „Słowa o Stalinie" byłoby ciekawe. Z pewnością to, że „he learned his lesson" we lwowskim więzieniu nie wyjaśnia jeszcze kwestii. W większym jeszcze stopniu dążności popularyzatorskie czy sprawozdawcze występują w dwóch ostatnich rozdziałach. Już sama poezja pod okupacją niemiecką zasługiwałaby na obszerne studium (ukazało się w Warszawie pięć podziemnych antologii drukiem i szereg tomów wierszy na roneo) a na emigracji opublikowano wiele ciekawych wierszy, często autorów, którzy potem całkowicie znikli z horyzontu. Poezja w kraju po wojnie — gruby tom o jej przemianach można by napisać. Nie pretensja więc do Folejewskiego, ale problem szerszy. Jest tak niewielu polonistów zagranicą, że są oni między młotem i kowadłem — między informacją o literaturze niedostępnej dla innych i potrzebą posuwania swoich badań. Folejewski w swojej pracy stara się te wymagania pogodzić, recenzent chciałby skłonić go do decyzji.

Czesław MIŁOSZ

(*) Zbigniew Folejewski. Studies in modern slavic poetry. Publications de l'Institut Slave d'Upsal. Uppsala, 1955.

(**) Leiden, 1954.

Wspomnienia Salmona

Czytanie wspomnień Salmona (1) zakończyłem z uczuciem pewnego zawodu. Książka ta jest doskonałym podmalowaniem tła epoki, zawiera ogromną ilość szczegółów i materiału anegdotycznego, daje świetny obraz stosunków literackich i życia w pierwszych latach bieżącego stulecia, ale wspomnienia te ciągną się bez końca, za dużo w nich postaci trzecioplanowych lub nawet osób, których działalność literacka nie wykroczyła poza okres obiecujących zapowiedzi. Za to pierwsze wystąpienia Apollinaire'a, Salmona i Maxa Jacoba, wieczory literackie w piwnicy ,,Le Soleil d'Or", współpraca w ,,La Plume" w ,,Le Festin d'Esope" — wypadły dość blado. Spodziewaliśmy się, że książka Salmona przyniesie więcej ciekawych materiałów i rzuci więcej światła na pierwsze poczynania tych poetów. Możliwe jest jednak, że wtedy ich postawa poetycka nie była jeszcze dostatecznie wykrystalizowana, że nastąpiło to dopiero później, w latach bezpośrednio poprzedzających wojnę, a w tym wypadku wspomnienia Salmona byłyby niezwykle cennym materiałem do badań literackich, gdyż odzwierciadlałyby rzeczywistość w prawdziwym świetle, bez fałszującego ją upiększania. Przyczyniłyby się wtedy do pewnego ,,odbronzowienia" tego okresu, odarcia go ze złudzeń, jakie wytworzyła legenda i oddalenie w czasie. Książkę Salmona czyta się z ogromnym zainteresowaniem, jest ona napisana barwnie i z dużym zacięciem, nakreślone w niej sylwetki rysują się wyraziście i często odbiegają od tego, co przynoszą utarte szablony.

Czytelnik polski zajdzie w niej wiele ciekawych szczegółów. Autor przypomina np. rolę jaką odegrała w okresie symbolistów Maria Krysińska, która po raz pierwszy użyła wolnego wiersza. Te poetka pochodzenia polskiego, miała z końcem XIX wieku dość dużą pozycję literacką, co potwierdza cytowany przez Salmona, za prof. Mondorem, wyjątek z artykułu Maurrasa : ,,Czy powiedziałem już — pisze Maurras — że pani Maria Krysińska próbowała wolnego wiersza, przed ośmiu laty, gdy jeszcze żaden z dzisiejszych poetów o tym nie myślał? Tak więc prawie wynalazła nowy rodzaj sztuki i natychmiast potrafiła temu odkryciu nadać wiele piękna". Gdy Salmon spotkał Marię Krysińską na wieczorze poetyckim w ,,Le Soleil d'Or" była ona już starszą damą. Na wieczorze tym przewodniczył jeden z prekursorów nadrealizmu Alfred Jarry, którego ,,Ubu-Roi" razi niejednokrotnie nasze uczucia narodowe, ale sylwetka tego pisarza, nakreślona przez Salmona, skłania nas do pewnej pobłażliwości. Kompleks Hamleta z dzielnicy łacińskiej, jaki cechuje Alfreda Jarry, zawierał w sobie wiele elementów tragicznych pod pozorami monstrualnej groteski. Dlatego musiał on doprowadzić autora do samobójstwa. Maria Krysińska, która miała wielu

(1) André Salmon. *Souvenirs sans fin.* Première époque (1903-1908) nrf — Gallimard, Paris, 1955.

wrogów, była w sferach literackich nazywana Marpha Bableuska (Bas Bleu, francuskie określenie kobiety uczonej i pretensjonalnej). Drukując swe utwory w czasopismach francuskich obok Verlaine'a i Catulle Mendesa musiała ona wzbudzać dużo zawiści — nic dziwnego, że obok pochlebnych głosów można znaleźć także niechętne opinie, niepozbawione nawet brutalnej złośliwości.



Z wielką nieufnością odnoszę się do tłumaczeń poezji na języki obce. Najczęściej bowiem traduttore okazuje się tradittore i rzadko spotkałem się z dobrymi przekładami. Można tu wymienić zaledwie kilka pozycji tłumaczenia Ważyka niektórych wierszy Apollinaire'a, Bieńkowskiego przekłady Supervielle'a, Pablo Neruda w tłumaczeniu Miłosza, wreszcie ostatnie przekłady poezji litewskiej w ,,Kulturze'', które budzą chęć bliższego poznania twórczości tych młodych poetów. Nie chciałbym być posądzony przez p. Girniusa o zamiar anektowania pisarzy litewskich, ale trudno mi pominąć milczeniem wspomnienie Salmona o O.-W. Miłoszu (którego nie należy utożsamiać z Czesławem), ,,szlachcicu litewskim, który mienił się po prostu Polakiem'', ,,przyszłym ambasadorze i poecie francuskim''. Należy dodać, iż O.W. Milosz nie był nigdy ambasadorem, chociaż w pewnym momencie pełnił funkcje litewskiego chargé d'affaires. Do ,,odkrycia'' Miłosza, jako poety, przyczynił się głównie Jean Lorrain. Salmon odnosi się dość krytycznie do Miłosza, zarzucając mu pewną skłonność do ,,epatowania'' i nazywając go ,,kawiarnianym lordem Byronem''. W gronie przyjaciół nosił on jednak miano ,,O.-W.'', od pierwszych liter jego dwóch imion.



Oprócz kilku epizodycznie wspomnianych postaci polskich (malarz baron de Ostoya Sochinsky (?), Cypa Godebski, Missia Sert) przewija się przez dłuższy czas we wspomnieniach Salmona Żyd pochodzenia polskiego, były anarchista Mécislas Golberg, któremu poświęcił autor cały rozdział. Jest to bodaj najbardziej plastycznie nakreślona sylwetka. ,,Cahiers de Mécislas Golberg'' i jego filozoficzne eseje są dziś dla nas niedostępne — nie można więc zdać sobie sprawy z wartości tych pism. Jest zresztą prawdopodobne, że wpływ jaki wywierał on na Salmona i na grupkę związanych z nich ludzi był nie tyle wynikiem filozoficzno-literackiej zawartości jego pism, ile raczej osobistego kontaktu.

A Apollinaire? Co nowego przynoszą wspomnienia Salmona? Wiele materiału anegdotycznego, częściowo znanego, garść interesujących szczegółów o jego pierwszych wystąpieniach w ,,Soleil d'Or'' i współpracy poety w ,,La Plume'' i w ,,Le Festin d'Esope'', i przede wszystkim — o stosunku Apollinaire'a do matki i jego charakterze. Pani Kostrowicka miała słabość do swego drugiego syna, Alberta, i traktowała poetę bardzo surowo. Guillaume Apollinaire żywił paniczny strach przed matką, której nie śmiał się sprzeciwiać. Na szczególną uwagę zasługuje jego skłonność do mistyfikatorstwa, występująca nawet w stosunku do przyjaciół i towarzyszy. W życiu codziennym nie był on pozbawiony pewnej trywialności, wyrażającej się

między innymi, w skłonności do skatologii. Element mistyfikacji odegrał dużą rolę także w wytworzeniu się legendy dotyczącej urodzin poety. Czy był on istotnie synem rzymskiego prałata lub włoskiego biskupa? Dzisiaj legenta ta została już rozwiana, ale — jak się zdaje — tajemnica urodzin Apollinaire'a nie została jeszcze dostatecznie wyświetlona. Dziadek-generał, biorący udział w kampanii krymskiej — o którym wspomina Salmon — jest może także wytworem fantazji opartym na drobnym fakcie. Miałem sposobność zetknięcia się z kilku osobami, które znały Apollinaire'a i jego matkę, i nikt nie potrafił mi udzielić na to pytanie zadowalniającej odpowiedzi. Nie wiem, czy ostatnio podjęte przez panią Moulin i p. Adema poważniejsze badania tego problemu, istotnie wyjaśniły tę sprawę. Raczej byłbym skłonny do przypuszczenia, że tajemnica urodzin Apollinaire'a przez długie lata będzie się jeszcze przyczyniać do utrzymania aureoli otaczającej poetę.

J. B.

Zagadnienia azjatyckie

Południowo-wschodnia Azja demonstruje nieomal że codziennie swoją aktualność na łamach prasy. Oswajamy się z urywkami problemów, a raczej jedynie z ostrością poniektórych zagadnień. Jakże mogłoby być inaczej skoro cały ten rejon dopiero ostatnio wyłamuje się spod kurateli zachodnich państw kolonialnych i przestaje być zagadnieniem wewnętrznym Holandii, Francji czy Wielkiej Brytanii. Cały ten potężny rejon jest jednak w stanie płynnym. Zresztą nie tylko ten. Państwowość narodów azjatyckich, ich oblicze jest — mimo pozorów — kruche, zamglone. Wielka konferencja w Bandung uwidoczniła, że, jak dotychczas, brak jest owej solidarności, wspólnej wytycznej o której tyle się mówi. Teza antykolonialna łączy wprawdzie wszystkie narody Azji i Afryki ale już definicja kolonializmu rozdziela je. Jeśli stara Europa posiada szereg skomplikowanych problemów, które wydają się np. Amerykanom przeżytkami, a mimo to odgrywają one wielką rolę i nie sposób przejść nad nimi do porządku dziennego, to znajdziemy i podobne sprawy w Azji.

Jakżeż dalekie są np. dla Amerykanów zagadnienia mniejszości narodowych? Ileż to „doskonałych" recept sugerowali państwom europejskim; recept które oczywiście nie nadawały się nawet do prób. Nie inaczej ustosunkowuje się Azja do europejskich rad i zaleceń. Niejednokrotnie to samo zagadnienie wymaga innego podejścia, odmiennego rozwiązania, pod jednym i tym samym pojęciem kryje się całkowicie inna treść.

W.W. Kulski. *The Soviet Regime-Communism in Practice,* Syracuse University Press 1954, XIV., 807 pp.

Wysoce interesująca praca Tibor Mende: *L'Asie du sud-est entre deux mondes* (Ed. du Seuil, 1954, str. 522) jest relacją inteligentnego, bacznego podróżnika i obserwatora z Indonezji, Burmy i Pakistanu. Nie obejmuje ona więc całego rejonu południowo-wschodniego Azji, ani też nie jest szczegółowym studium specjalnym. Autor nie reprezentując żadnego państwa, zainteresowanego w omawianym rejonie, mógł zdobyć się na daleko posuniętą obiektywność. Stosuje metodę dobrego dziennikarskiego reportażu, pogłębiając swoje dane poważnymi źródłami naukowymi. Z jednej strony przytacza informacje i poglądy przywódców i przedstawicieli miejscowej ludności, z drugiej konfrontuje je własnymi, krytycznymi obserwacjami.

Mende rejestruje wypowiedzi polityków i zwykłych, prostych ludzi, które zgodne są w jednym: odrzuceniu przeszłości kolonialnej. Nie pozostawiła ona niczego prócz głębokiej wrogości. Wprawdzie dla milionów nowa rzeczywistość, pod względem materialnym niczym nie różni się od dawnej, jednakże wszyscy przestali być obywatelami drugiej kategorii. Nie neguje się, że pod względem administracyjnym jest nawet gorzej, nie zamyka się oczu na trudności, własną nieudolność, brak dostatecznego aparatu wykwalifikowanych pracowników technicznych, gospodarczych, administracyjnych itp., jednakże poczucie niezależności państwowej, samodzielności narodowej jest wyższe ponadto. Za to trzeba płacić bardzo wysoką cenę i ludność czyni to chętnie. Umocnienie świadomości narodowej, polityczna stabilizacja dominują nad wszystkimi innymi problemami. Na nich skoncentrowana jest uwaga przywódców politycznych.

Tibor Mende przedstawia proces formowania się oblicza politycznego łącznie z wszystkimi komplikacjami i trudnościami. Masa społeczeństwa żyje nie tylko w biedzie, ale oderwana jest od istotnych problemów. Więcej, nie dochodzą one do jej świadomości. Prymitywizm jest doskonałą glebą dla nieodpowiedzialnych, skrajnych agitatorów. Dawne mocarstwa kolonialne nie uczyniły niczego w kierunku podniesienia stopy życiowej ludności, rozwoju gospodarczego kraju, jakoże całą uwagę ich pochłaniała gospodarka rabunkowa. Nawet Brytyjczycy w Indiach pozostawili po sobie zaledwie jedną stalownię, cóż dopiero mówić o innych państwach!

Nad zbudzonym do życia kontynentem azjatyckim dominują dwa państwa, dwie powiązane ze sobą a jednocześnie przecinające się kultury: Indie i Chiny. Skrzyżowanie to zrodziło narody i państwa: Burma, Indochiny, Indonezja, Sjam. Rola tych obu narodów ma za sobą tysiącletnie tradycje i byłoby zbytnim uproszczeniem mówić jedynie o związkach czy sprzecznościach okresu bieżącego. Mende potwierdza tylko znany pogląd, że premier Nehru jest najbardziej reprezentacyjną postacią Azji i że nikt inny nie posiada równego mu autorytetu. Oczywiście inaczej patrzą na niego ludzie prości, a inaczej przywódcy polityczni, autorytet jego jest jednak olbrzymi. Jest to jedyny przywódca, którego nie podejrzewa się o wrogie tendencje wobec innych państw.

Demokracja Azji nie jest kopią europejskiej czy amerykańskiej, podobnie zresztą jak i miejscowy nacjonalizm nie wywodzi się z pnia europejskiego. W demokracji azjatyckiej nie brak pierwiastków absolutystycznych, dyktatorskich, w nacjonalizmie natrafiamy na żyły socjalizmu względnie komunizmu. Nacjonalizm, walka wyzwoleńcza, przesłoniły zagadnienia wyznaniowe. Tylko w Pakistanie wyznaniowy czynnik kształtuje formy politycz-

ne państwa, podczas gdy wszędzie indziej tak Isłam jak Buddyzm nie mają wpływu na rządy, stosunki międzypaństwowe.

Azja, jak wspomnieliśmy jest politycznie in statu nascendi. Nowe formy, nawet tam gdzie są już dostatecznie silne, nie skostniały jeszcze. Są one nadal adaptacją dwu wielkich systemów: demokracji i komunizmu. Pierwszy jest w oczach większości tubylców obciążony kolonialną przeszłością, drugi jest praktycznie nieznany i otoczony mitem. Państwa azjatyckie są gospodarczo nierozwinięte, brak im kapitałów i fachowców. Nie są one, jak sobie niektórzy wyobrażają stracone dla Zachodu jakoże komunizm jest bardziej atrakcyjny. Zdaniem Tibor Mende jest to pogląd katastroficzny. Zachód, przede wszystkim Stany Zjednoczone, muszą jednakże zrozumieć, że aplikacja metod stosowanych w Ameryce Łacińskiej, nie da żadnego efektu, nie powstrzyma groźby komunizmu. Należy pogodzić się z tym, że toczy się tam wielka rewolucja gospodarczo-społeczna i w interesie Zachodu nie leży jej pokonanie, abstrahując od tego iż byłoby to praktycznie niemożliwe. Wszystkie siły w Azji są wrogie wobec Zachodu, jednakże jedne skłonne są do współpracy a drugie nie. Te ostatnie to oczywiście państwa względnie ruch komunistyczny. Sprawa sprowadza się więc do pierwszych. Mende jest zdania, że istnieje jeszcze możliwość uratowania tych państw, lecz nie poprzez sojusze wojskowe, nie poprzez próby nawrotu do feudalizmu, ale czynnej i hojnej pomocy dzięki której poziom życia mógłby się podnieść.

W odróżnieniu od pracy Tibora Mende, będącej studium problemów ogólnych, Virginia Thompson i Richard Adloff prezentują studium specjalne. *Minority Problems in South East Asia* (Stanford University Press, Stanford, Cal. 1955, VIII, 295 pp.), wydane pod auspicjami Institut of Pacific Relations, jako jedno z serii specjalnych opracowań. Jest to jedna z najbardziej interesujących książek politycznych, jakie się ostatnio ukazały na temat Azji. Autorzy zastosowali naukową metodę badawczą, unikając jakichkolwiek uogólnień, stawiania wniosków, wysuwania horoskopów, nie mniej jednak analiza ich jest chwilami wręcz dramatyczna.

Z doświadczeń europejskich wiemy doskonale, że mniejszości narodowe odegrać mogą rolę piątych kolumn, doprowadzić mogą do rozkładu organizmów państwowych. Taktyka komunizmu wobec mniejszości narodowych jest wysoce złożona. Mylne jest rozpatrywanie jej w świetle doświadczeń państw demokratycznych, kapitalistycznych. Próby porównania mogą łatwo zatrzeć prawdziwy, rzeczywisty obraz. „Nacjonalistyczne" tezy komunizmu różnią się tak od nacjonalizmu, jak demokracja sowiecka od demokracji europejskiej. Czy jednak bolszewicy istotnie potrafili wytępić poczucie narodowe pozostaje problemem otwartym. Podczas gdy Z.S.S.R. liczy około 50 % nierosyjskiej ludności, to w największym państwie komunistycznym — w Chinach, mniejszości narodowe nie są żadnym zagadnieniem. Według czasopisma *China Reconstructs* (Nr 3, r. 1955) spis ludności z listopada 1954 roku wykazał około 35 milionów mniejszości narodowych, należących do 44 grup narodowych, muzułmańska mniejszość wyznaniowa, w skład której wchodzi 10 narodowości, liczy ogółem, według tegoż źródła, 7.961.500. Mniejszości narodowe nie są więc problemem dla Chin, ale za to mniejszość chińska w krajach azjatyckich stanowi najbardziej kapitalny a być może i groźny problem.

Thompson i Adloff wskazują, że Chińczycy mieszkają we wszystkich

państwach południowo-wschodniej Azji i są grupą narodowościową, która absolutnie się nie asymiluje. Ogółem w rejonie tym znajduje się ponad 10 milionów Chińczyków. Od ubiegłego roku notuje się pewien nieznaczny odpływ na kontynent chiński nie zaważył on jednakże dotychczas na ogólnym obliczu tego zagadnienia. Poza Malajami największe skupienie Chińczyków, bo ponad 3 miliony, znajduje się w Indonezji. Po konferencji w Bandung rząd chiński zawarł wreszcie umowę na mocy której Chińczycy pozostający w Indonezji przyjmą miejscowe obywatelstwo tracąc opiekę Chin lub repatriują. Wybór pozostawia się zainteresowanym. Rokowania w tej sprawie toczyły się przez kilka lat i Pekin mimo demonstracyjnej życzliwości wobec Indonezji nie chciał zrezygnować z doskonałego instrumentu kształtowania wewnętrznej sytuacji w Indonezji. Czy ci Chińczycy, obywatele indonezyjscy, nie staną się zatrutym podarkiem okaże dopiero przyszłość. W Indonezji Chińczycy stanowią około 20 procent ludności i czynni są we wszystkich zawodach. Nie stosuje się wobec nich ograniczeń. Sjam walczy z napływem ludności chińskiej. Oblicza się ją na około 17 % a łącznie z małżeństwami mieszanymi dochodzą do 3 milionów. W stolicy stanowią 31 % ludności. Skupili niemal cały handel. Naiwne byłoby przypuszczać, że wszyscy Chińczycy są tam komunistami, wręcz przeciwnie znakomita większość należy do zwolenników Czang Kai Szeka, ale nie ma to wielkiego wpływu na nastawienie rządu Sjamu, który po prostu chciałby się wyzbyć mniejszości chińskiej. Wszędzie w południowo-wschodniej Azji wysuwa się pod adresem Chińczyków ten sam zarzut a mianowicie, iż stanowią zwartą i świadomą grupę narodowościową, zachowującą łączność z krajem pochodzenia i wobec tego są obcym ciałem. Dawniej Chińczycy zagranicą nie byli narzędziem politycznym, stali się nim dzięki rządom komunistycznym. Wpływy Pekinu są wśród nich bardzo silne, szczególnie w młodym pokoleniu. Jeśli dawniej ograniczenia wobec Chińczyków wypływały ze względów gospodarczych, to obecnie mają charakter przede wszystkim polityczny. Nie łatwo jednak można je stosować, gdyż posiadają potężne zaplecze Pekinu. Ustosunkowanie się więc do tej ludności, jej pozycja jest wykładnią stosunków danego państwa z Pekinem.

Drugą mniejszość, rozsianą na kontynencie azjatyckim, stanowią Indusi. I ona nie podlega procesowi asymilacji, niezależnie od czasokresu przebywania poza Indiami. Jest ona jeszcze bardziej ekskluzywna, aniżeli ludność chińska. Podczas gdy Chińczycy, ze względów taktycznych, dają np. poważne sumy na cele charytatywne to Indusi, nawet najbogatsi, trzymają się z dala od wszelkiej styczności — poza handlowej — z tubylcami. Z wyjątkiem Burmy, gdzie należeli do najzamożniejszych kategorii i trudnili się lichwą, problem ludności induskiej nie był ostry. W odróżnieniu od rządu chińskiego rząd Indii nie przystąpił do organizowania swojej mniejszości ograniczając się jedynie do akcji kulturalnej.

Te dwie mniejszości nie wyczerpują jednak problemu. W każdym bowiem państwie istnieją mniej lub bardziej rozwinięte lokalne mniejszości narodowe, szczepy tubylcze, dalej mniejszości wyznaniowe niechrześcijańskie i cienkie grupki chrześcijańskich. W stosunku do większości mają one wszystkie tendencje odśrodkowe. Tarcia i walki mają czasami ostry i gwałtowny przebieg. Ciągle odbywają się karne ekspedycje w poszczególnych państwach, jednakże informacje na ten temat rzadko przenikają na zewnątrz. Są dalej mniejszości, których świadomość narodowa jest jeszcze

uśpiona. Młode państwa południowo-wschodniej Azji mają jeszcze do rozwiązania wiele wstydliwych zagadnień. Bogata mozaika narodowościowa tego terenu stanowi niebezpieczeństwo na przyszłość, może stać się bowiem instrumentem w rękach mocarstw.

Zagadnieniem oddzielnym i całkowicie specyficznym stanowią Eurazjaci, a więc mieszkańcy europejsko-azjatyccy. Są oni produktem przeszłości kolonialnej, potomkowie mieszanych małżeństw. Są najliczniejszą grupą w Indonezji, gdzie oblicza się ich na ponad 100.000. Europejczycy uważają ich za Azjatów, Azjaci za Europejczyków. Sami poczuwają się do przynależności europejskiej, pozostając widomym znakiem epoki kolonialnej. Nowi przywódcy niepodległych państw azjatyckich nie mają do nich zaufania, gdyż byli najbardziej związani z administracją kolonialną, co jednak nie znaczy, że piastowali w niej jakieś odpowiedzialne stanowiska. Thompson i Adloff cytują za „Straits Budget" w Singapore z 3 maja 1951 roku następującą wypowiedź:

„Nie mogę oczekiwać ani awansu ani dymisji. Jestem osobnikiem wyznaczonym przez Pana Boga by zawsze być urzędnikiem jakiejś firmy angielskiej. Nie musi się mnie należycie wynagradzać, gdyż i tak nie będę mógł porzucić pracy. Nie ma bowiem dla mnie innego zajęcia. Nie muszą mnie awansować, jako że każdy wie, iż nie zasługuję na zaufanie. Kim jestem? Eurazjatą. Nigdy nie będę Europejczykiem, przynajmniej dopóty Anglicy odrzucają każdego posiadającego choćby kroplę kolorowej krwi. Nie będę nigdy Azjatą, przynajmniej dopóty rodzice wychowują nas, by naśladować białych. Jedynym wielkim moim ukojeniem jest religia. Zawsze czułem się bratem każdego katolika, gdziekolwiek by się znajdował na tym wielkim świecie..."

Eurazjatów spotykamy we wszystkich państwach kolonialnych, są potomkami Holendrów, Brytyjczyków, Francuzów. Los ich jest tragiczny. Rząd holenderski zgodził się przyjąć Eurazjatów z Indonezji, ale jednocześnie nie omieszkał sugerować pozostania na miejscu ofiarując pomoc materialną, opiekę społeczną itp. Praktycznie ta grupa ludności skazana jest na wymarcie.

B. H.

O Odrodzeniu i Średniowieczu

Dzieło sztuki jest pełniejszym i wierniejszym dokumentem epoki od kronik w których odnajdujemy imiona królów i nazwy bitew. Dzieło sztuki może nam dać o czasach minionych wiadomości których nie notowali historycy. Ale wiadomości te trzeba umieć odszyfrować. Niestety, niewielu historyków sztuki umiało wzbogacić historię. Bo nie wystarczy tu być znawcą stylów, nie wystarczy sporządzać inwentarz obrazów czy rzeźb. Trzeba umieć odczuć nie tylko styl przedmiotów, ale ducha ich twórców. Twórczy historyk sztuki winien być historykiem, filozofem, psycho-

logiem i trochę poetą. Jedynie wówczas wszechstronna erudycja staje się materiałem z którego intuicja formuje nową wizję epoki.. Spośród współczesnych historyków sztuki takimi danymi rozporządza stary Berenson, Edgar Wind, może jeszcze kilku innych. Takim właśnie twórczym historykiem sztuki jest profesor Jurgis Baltrusaitis, Litwin, były profesor uniwersytetu w Kownie, obecnie pracujący w Paryżu. Dzieła Baltrusaitisa o sztuce romańskiej i średniowiecznej należą już dziś do klasyków, są podstawowym materiałem na każdym uniwersytecie do studiów nad tymi epokami. Ale wydaje mi się że dwie książki Baltrusaitisa wydane w tym roku mają bardziej uniwersalny wydźwięk. Istotnie, pierwsza z nich rzuca nowe światło na epokę Odrodzenia, druga zaś w znacznym stopniu zmienia nasze pojęcie o Średniowieczu.

◆

W *Anamorphoses ou perspectives curieuses* (Olivier Perrin, Paris, 1955) Baltrusaitis zajmuje się dziedziną sztuki, którą długo klasyfikowano w dziale „dziwactw", „ciekawostek", na marginesie malarstwa, architektury, nauki. Chodzi tu o te obrazy anamorficzne z XVI i XVII wieku, w których głowy stają się wyspami, o antropomorficzne portrety Arcimbolda, złożone z jarzyn, ryb czy zwierząt, o postacie Bracellego, który przeczuł „Mecano", wreszcie o wszystkie sztuki i figle dokonane przez malarzy i rysowników za pomocą wydłużonej lub skróconej perspektywy. Jest to zresztą dziedzina do której współczesny smak skłania się od jakichś trzydziestu lat, gdyż owe „uczone gierki" mają liczne związki z wolnością z jaką sztuka współczesna traktuje formy. Surrealiści, którzy w sztuce jak i w literaturze doskonale sobie dobrali „przodków", powołują się na Erharda Schoen, Jamnitzera, Bracellego. Malarze abstrakcyjni z pierwszego, bojowego okresu, interesują się tą grą perspektyw, która z pewnego punktu widzenia zapowiada ich własne poszukiwania. Anamorficzne i antropomorficzne obrazy stają się „modne" — jak o tym świadczą roczniki „Vogue" czy „Connoisseura". Istotnie — wydłużone twarze Shoena, lub osiemnastowieczne plansze oparte na optycznym kalamburze mogą śmiało wisieć obok „collage'ów" kubistów.

Książka profesora Baltrusaitisa wykracza daleko poza klasyfikacje tej gry perspektyw, form i promieni, która w ciągu trzech wieków miała ciągłość świadomą i prawie ezoteryczną. Baltrusaitis stwierdza, że perspektywa jest pozornie tylko czynnikiem realizmu przywracającym trzeci wymiar. Jest ona w pierwszym rzędzie „sztuką", „sztucznością", „podstępem", a przez to samo dowodem że świat zewnętrzny jest iluzją. Ta świadomość pozwala Baltrusaitisowi na powiązanie tych gier perspektyw i form z tradycją magiczną, filozoficzną i naukową. Jesteśmy przyzwyczajeni, poprzez gimnazjalne uproszczenia, do traktowania Renesansu jako wieku humanizmu, postępu, swoistego „pozytywizmu". Baltrusaitis przeczy tej legendzie. W chwili swego pierwszego rozwoju, nauka zachodnia już kuje broń zwróconą przeciw samej sobie. Rozdział z książki Baltrusaitisa poświęcony „Ambasadorom" Holbeina stanowi piękny esej o dialektyce pozytywnej i negatywnej — czy naukowej i romantycznej — całej epoki. Obaj ambasadorowie, których zapowiada Cornelius Agrippa, którzy sami zapowiadają Descartes'a, „stoją przed nami, jak heraldyczne podpory herbu Śmierci, otoczeni symbolami nicości życia".

Dzieło Baltrusaitisa kończy się krótkim rozdziałem o degeneracji tej tradycji: mówi on nam o optycznych „rozrywkach" z XVIII i XIX wieku. Autor nie nawiązuje do cech anamorficznych sztuki współczesnej. Oczywiście zdaje on sobie sprawę z podobieństw, ale jego zdaniem są one tylko pozorne: „geometryczne halucynacje naszej epoki powstają w spontanicznym porządku i nieporządku". Ale przecież to właśnie dzieło Baltrusaisa łączy anamorfozę i złudne perspektywy z kontekstem filozoficznym i legendarnym. Dając nam w ten sposób podwaliny „mitologii anamorfozy", czyż nie wskazuje jednocześnie na możliwość jej mniej lub więcej świadomej kontynuacji we wszystkich dziedzinach sztuki współczesnej? W każdym razie nikt nie byłby bardziej od profesora Baltrusaitisa powołany do zastanowienia się nad możliwymi powiązaniami między „Campus Anthropomorphus" Kirchera i „Twarzą Paranoji" Salvadora Dali; pewnymi rysunkami Leonarda i rysunkami Pawła Czeliczewa; „Okiem Kardynała Colonny" Bettiniego i „Okiem" René Margitte; fantazjami architektonicznymi Bracellego i architekturą fantastyczną Gaudiego; lutniami Salomona de Caus i Accoltiego i gitarami Picassa i Braque'a.



W „Anamorfozie" Baltrusaitis olśniewa nas erudycją i intuicją epoki. Ale jego druga książka zakrojona jest na o wiele większą skalę. *Le Moyen-Age Fantastique*, który ukazał się przed miesiącem u Armand Colin jest zresztą zaledwie częścią większej jeszcze pracy Baltrusaitisa nad gotykiem. Miejmy nadzieję, że całość ukaże się niedługo. Ale już ten pokaźny tom jest oszałamiający. Książka ta jest dowodem, że historyk sztuki może pracować nad jedną epoką, ale powinien znać wszystkie. Baltrusaitis ma tu dane wyjątkowe, gdyż nie tylko cała ciągłość sztuki zachodniej nie ma dla niego sekretów, ale jest on wybitnym znawcą sztuki Dalekiego Wschodu.

Przywykliśmy uważać Średniowiecze za świat zamknięty. Pomiędzy niebieską „Civitas" Św. Augustyna i obronnym, zamkniętym grodem tworzyła się w naszym wyobrażeniu średniowieczna cywilizacja. Baltrusaitis obala te obronne mury, otwiera Średniowiecze, wykazując niezliczone powinowactwa, zapożyczenia, kontynuacje zarówno w czasie jak i w przestrzeni. Dziwaczne potwory na marginesach średniowiecznych rękopisów, które rozszaleją się w fantastycznych karnawałach Boscha nie są snem własnym średniowiecznej nocy. Baltrusaitis odnajduje w nich nie tylko syreny i hipogryfy Starożytności grecko-rzymskiej, ale podwójne głowy sumeryjskie, irańskie. Z Islamu pochodzi róża witrażu. Diabły mają do XIII wieku skrzydła ptasie: dopiero z Chin dostaną swe wielkie błony nietoperze. Podróże Marca Pola i wielu innych, misjonarze franciszkańscy w Chinach — oto drogi jakimi smoki chińskie i tybetańskie przenikają do Europy. A nawet taniec śmierci tak charakterystyczna dla średniowiecza „Danse Macabre" pochodzi z Tybetu. Wreszcie konwencjonalne wyobrażenie przyrody w średniowiecznych obrazach — to Chiny. Również z Chin — aureole wokół głowy świętych.

Oto zaledwie kilka elementów tej pasjonującej książki, w której masa szczegółów toruje nową drogę. Świetnie dobrane ilustracje niezbicie dowodzą każdej tezy autora.

KAJ

Nowości poetyckie

Na to nie ma rady. Przysłowiowy ,,trud pisarza'' trudem, ale grafomaństwo grafomaństwem. Recenzentowi przypadą czasem niemiły obowiązek postawienia tej sprawy jasno i otwarcie.

Barwnie wydany, ozdobiony lekkimi i nowoczesnymi rysunkami autora tomik Zygmunta Nowaka (*) posiada wszelkie znamiona wyżej nazwanego gatunku. Jest to, powiedziałbym, grafomaństwo narodowe, i najlepiej będzie jeżeli przytoczę drobne urywki poematu tytułowego, w którym autor na swój sposób świętuje rok mickiewiczowski.

.. Jaka radość!
Znalazłem klucz!
Radości, podaj mi skrzydła!
Znalazłem klucz do nieba,
bo mi ziemia zbrzydła.

albo :

... Ty mnie przychodzisz odkupić
rozumu bezmiarem!
Ha! ha! tyś głupi.
idź precz! — i z oczu mych wara!! ...

Gdzie indziej :

... — Aha, jak ci na imię?
Czy Krystyna — — —?
Spójrz na mnie. ...

O! Kogóż widzę? — Cóż to za poczwara?! —
Precz — diable. ...

a nieco dalej :

Ja mam serce i do serca gadam.

Są jeszcze ,,Wrażenia z obrazu Picassa'' : ... *Piersi dotykasz — ostrosłup,/ nosa — trójkąt,/ włosów podmiejski* *k l ą b* (podkr. moje M. P.) *kolan romb —/ więc ząb za ząb/ damo z figur geometrii.../*

Spoza obrazu Picassa uśmiecha się do nas poczciwy ksiądz Baka, kiedy czytamy . *Słyszysz? — Melodia,/ parodia/ jęki,/ brzęki;/ chrapania,/ wycie,/ picie,/ gnicie.....*

Nie nazwę powtórnie tego co drukiem ogłosił Zygmunt Nowak, i tak powiedzą że się znęcam.

(*) *In Vino veritas*, Rytm, Londyn 1954.

Piękna obsesja spraw nieobeszłych i wiecznych jest jedynym tematem nowego zbioru (**) Józefa Bujnowskiego. Osobiście razi mnie papuzia szata tej książki, zawierającej kartki białe, zielone, piaskowe i niebieskie... po to chyba żeby było pstro. Nie posądzam bowiem Bujnowskiego o sztubacką chęć podkreślenia tytułu. Niestety, to nie wszystko. Sam tekst odbity jest wszystkimi możliwymi rodzajami czcionek. Majuskuła wyskakuje bez widocznego powodu, gdzie indziej słowa wiszą ukosem, leżą na wznak, bądź też ujęte w okienko pełnią rolę wizytówek.

Zamiast czytać, czytelnik *odczytuje* tekst, obracając tomik tak, jak sobie tego życzy autor. Na zabawie tej, mającej coś z ćwiczeń cierpliwości w zastępie wilczków, najgorzej wychodzi poezja. Musimy jej szukać *pomimo* typograficznych dziwactw. To jedna sprawa. Druga i na pewno poważniejsza dotyczy kierunku obecnych poszukiwań twórczych poety. O ile *Rysy na pustce* cechowała lapidarność i milczenie, rozrzedzone tu i ówdzie słowami, o tyle „Odsyłacz w bezsens" pisany jest jaskrawo i hałaśliwie. Po co i na co wyciągać dziś z lamusa stare sztuczki nadrealistów (które zresztą już starożytni znali jako carmina figurata)?

Ze szczerą sympatią obserwuję samotną i bezkompromisową poezję Bujnowskiego. Przeczytawszy jednak ostatni tomik, zastanawiam się, czy szukając „kwiatu nowości" nie zapomniał o nim — skupiwszy całą uwagę na „nowości", nowości za wszelką cenę.

M.P.

(**) *Odsyłacz w bezsens*, Pol. T-wo Lit., Londyn 1955.

Nadesłane nowości wydawnicze

DOKUMENTY CHWILI

QUARONI (Pietro). *Croquis d'Ambassade.* Traduit de l'italien par Louis Bonalumi. Pp. 248. (Ed. Plon, Paris, 1955, frs 690).

LAGARDELLE (Hubert). *Mission à Rome — Mussolini.* Pp. 307. (Ed. Plon, Paris, 1955).

KOSARENKO-KOSAREVYTCH (Vasyl). *Die Moskauer Sphinx.* Mythos und Macht in den Vorstellungen ueber Osteuropa. Str. 228. (Wyd. Eremiten-Presse, Niemcy, 1955).

KOROWICZ (Marek). *W Polsce pod sowieckim jarzmem.* Str. 356. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Tom XIX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej". Obwolutę projektował E. Czarnowski, Londyn, 1955, cena 15 sh.).

LITERATURA

PIETRKIEWICZ (Jerzy). *Loot and Loyalty.* Str. 190 (Wyd. William Heinemann, Ltd., Londyn, 1955, cena 12 sh. 6 d.).

MORAND (Paul). *L'eau sous les ponts.* Pp. 234. (Ed. Grasset, Paris, 1955, frs 570).

SALMON (André). *Souvenirs sans fin.* Première époque (1903-1908). Pp. 393 (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 950).

ZAJCEW (Pawło). *Żytia Tarasa Szewczenka.* Str. 400. (Wyd. Naukowe T-wa im. Szewczenki, Biblioteka Ukrainoznawstwa, Cz. 4, New York, Paryż-Monachium, 1955).

ZAWZIATYJ (Iwan). *Błudnyj syn.* Str. 295. (Wyd. „Dniprowa chwila", Monachium, 1955).

SZIRAJEW (Boris). *Nieugasimaja lampada.* Str. 405. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1955, cena dol. 3.).

JUDRIN (Roger). *Dépouille d'un serpent.* Roman. Pp. 158. (Les Editions de Minuit, Paris, 1955).

GOVY (Georges). *Le moissonneur d'épines.* Pp. 344. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1955, frs 690).

POEZJE

JANTA (Aleksander). *Bajka o cieniu.* Poemat absurdystyczny. Str. 70. Okładka i rysunki Stefana Barana. (Wyd. Oficyna poetów i malarzy, Londyn-Buffalo, 1954).

NOWAK (Zygmunt). *In vino veritas.* Wiersze. Str. 24 (Wyd. Londyn, 1955).

RÓŻNE

LECHOŃ (Jan). *Aut Caesar aut nihil.* Str. 46. (Wyd. Oficyny Poetów i Malarzy, 1955).

Program nauki w szkołach przedmiotów ojczystych na szczeblu szkoły powszechnej. Wyd. trzecie zmienione. Str. 64. (Wyd. Wydział Oświaty i Wychowania, Londyn, 1955).

MIRECKI (Wiesław). *ABC charakteryzacji teatralnej.* Biblioteczka Teatralna, Nr 11. Str. 64. (Wyd. Polska YMCA i T-wo Polskich Kombatantów, Londyn, 1955).

FREDRO (Aleksander). *Jestem zabójcą.* Biblioteczka Teatralna Nr 13. Str. 38 (Wyd. Polska YMCA i Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1955).

LISIEWICZ (Teodozja). *W sobotę po południu.* Farsa w jednym akcie. Biblioteczka Teatralna Nr 12. Str. 42 (Wyd. Polska YMCA i Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1955).

HISTORIA

BREYER (Richard). *Das deutsche Reich und Polen* 1932-1937. Aussenpolitik und Volksgruppenfragen. Str. 372. (Wyd. Holzner-Verlag, Würzburg, dla Johann-Gottfried Herder Institut w Marburgu, 1955. Cena DM 14.70).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Sądzę, iż zaproszenie ,,Kultury'', skierowane do 48-miu, wywoła burzę protestów ze strony tej części emigracji, która nigdy nie będzie w stanie przezwyciężyć prawie patologicznego kompleksu niższości stając wobec zagadnień realnych, w ramach których kształtuje się obecnie życie w kraju. Życie to gra. Gracz, który w obliczu zmiennych warunków gry z uporem opiera szanse swej wygranej na jedynym schemacie z góry skazany jest na przegraną. Nad pretensjami zaś owych graczów, z powodu niezaakceptowania taktyki prawie świadomego samobójstwa, nie pozostaje nic innego jak tylko wzruszyć ramionami.

Jaką straszliwą cenę krwi i nieszczęść płaci społeczeństwo nasze za niezrozumienie tego co Goethe wyraził w swym czterowierszu :

Und so lang du das nicht hast
dieses stirb und werde
bist du nur ein truber Gast
auf der dunklen Erde.

Schemat ubożuchnego ,,bla-bla'' antykomunistycznego, wobec problemów istotnych dla egzystencji narodu polskiego nie jest i nie będzie w stanie spowodować rozluźnienia ingerencji Z.S.S.R. w kraju, zlikwidowania i wyeliminowania systemu policyjnego z całą jego nadbudówką. Fiasko genewskie, wobec faktu, iż czas pracuje na korzyść demokracji, w tym momencie kiedy dyktaturze komunistycznej brakuje tej przewagi jaką dawała bezwzględna dyktatura stalinowska może w przyszłości być przeczyną szeregu ustępstw ze strony Z.S.S.R. Umiejmy, patrząc w przyszłość, przygotować i w skromnych naszych warunkach wykorzystać tę sytuację.

Dlatego gratulując zespołowi ,,Kultury'' inicjatywy zaproszenia 48-miu do Maisons-Laffitte wdzięczny doprawdy będę, w momencie urzeczywistnienia owego spotkania, za zaproszenie jako słuchacza.

Przekazując wyrazy pełnego poważania pozostaję z szacunkiem.

Ryszard STRUPCZEWSKI
Paryż.



Publicystyka polska, z grubsza biorąc, posługuje się dziś dwoma językami. Inny jest język oficjalnej publicystyki w kraju, inny niezależnej od administracji warszawskiej publicystyki na emigracji. Pomiędzy tymi językami istnieją zarówno krańcowe różnice jak i pewne podobieństwa.

Nad różnicami nie ma sie co rozwodzić. To co po jednej stronie nazywa się np. ,,naszym wielkim sąsiadem radzieckim'', po drugiej nosi

,,sowieckiego okupanta", tam mówi się o ,,Rządzie Republiki Ludowej", tu ,,o komunistycznym reżymie", tam o ,,wymiarze sprawiedliwości", tu o ,,terrorze bezpieki", tam o ,,towarzyszu Bolesławie Bierucie", tu o ,,agencie Kremla", tam o ,,obozach pracy" — jeśli w ogóle się o nich wspomina — tu o ,,łagrach" itd.

Podobieństwo tych dwu języków polega na tym, że i tu i tam znaczna ilość kluczowych słów i zwrotów posiada bardzo wydatną otoczkę uczuciową. To co w jednym języku ma otoczkę dodatnią, w drugim ma ujemną. Powiedzenie ,,sąsiad radziecki", choć właściwie określa tylko bezsporny fakt geograficznego sąsiedztwa Polski z Sowietami, ma przecież pewne dodatnie zabarwienie: ,,sąsiad" sugeruje, że mamy tu do czynienia z sąsiedztwem tego samego rodzaju co np. między Francją a Hiszpanią, a nie z nowym typem sąsiedztwa, w którym Polska jest pod pewnymi względami wyraźnie odgraniczona od Sowietów a pod innymi zespolona z nimi ściślej niż to między najprzyjaźniejszymi sąsiadami bywa. Przymiotnik ,,radziecki", który sam w sobie jest niczym więcej jak spolszczeniem przymiotnika ,,sowiecki", ma też pewien ładunek treści dodatkowej i dodatniej: chodzi mianowicie o odcięcie się od dawnej polskiej i powszechnej w innych językach terminologii i podkreślenie w ten sposób zmiany (na ,,lepsze") stosunku do Sowietów.

Emigracyjny odpowiednik zwrotu ,,sąsiad radziecki" jest o tyle nieścisły, że nasuwa zbyt daleko idące analogie między położeniem Polski dzisiejszym a położeniem w latach 1939 do 1945, kładzie nieuzasadniony znak równania między okupacją niemiecką a tym, co choćby nawet było groźniejsze, przecież okupacją może być nazwane tylko na mocy zupełnie nowej definicji tego słowa.

Podobnie z dalszymi przykładami. ,,Rząd" nie narzuca wprawdzie, ale podsuwa myśl, że jest to organ równie suwerenny i legalny jak np. rządy polskie w międzywojniu, ,,reżym" natomiast ma otoczkę pogardy i znów nie narzuca, ale podsuwa myśl, że zasadnicze funkcje tego organu na wewnątrz i jego stosunki zawnętrzne są inne niż normalnych rządów, co jest tylko bardzo częściowo zgodne z prawdą: inne są np. stosunki tego organu z rządem sowieckim, ale czy też z angielskim lub włoskim?...

Nad nieścisłością eufemizmów w rodzaju: ,,wymiar sprawiedliwości" czy ,,obozy pracy" nie ma co się rozwodzić, podobnie jak komentarzy nie wymaga z lekka uroczysty sposób mówienia o Bierucie (gdy się mówi o znanych osobistościach ich imieniem i nazwiskiem ma to w polszczyźnie odcień szacunku). Natomiast terminy ,,agent", ,,terror", ,,bezpieka" i ,,łagry" nie wolne są od otoczki ujemnej, podsuwającej nie koniecznie ścisłe dodatki do prostego znaczenia tych słów. I tak: ,,agent" do myśli o zależności Bieruta od Moskwy dorzuca cień bezpodstawnego zapewne podejrzenia, że głównym motywem postępowania głowy polskiego politbiura jest nie wewnętrzne przekonanie, lecz przyziemny osobisty interes. ,,Terror" przechodzi do porządku nad swoistym obrazem występowania gwałtu i zawikłanymi formami wywierania przymusu, ,,lepszymi" czy ,,gorszymi", ale w każdym razie *innymi* niż formy działania czrezwyczajki lub gestapo. ,,Bezpieka" jako lekko komiczny neologizm zawiera pewien odcień lekceważenia wobec tej zgoła na to nie zasługującej ponurej instytucji. ,,Łagry" jako wyraz rosyjski (o źródłosłowie niemieckim) mają w sobie ziarenko, które może wypuścić skojarzeniowe pędy w kierunku tezy, że obozy koncentracyjne są tworem par excellence obcym, nie do pomyślenia w polskiej Polsce (a Bereza?).

Oczywiście, publicystyka to nie matematyka i nikt nigdy nie wynajdzie dla niej języka złożonego wyłącznie z takich słów, które by nie mogły wywoływać niepożądanych skojarzeń (najczęściej zresztą są one... pożądane!). Komu by się chciało przeanalizować język tych uwag, ten z łatwością by stwierdził, że ich autor — mimo usilnych starań o suchość języka — nie

mógł się obejść bez słów i zwrotów z niepożądaną otoczką, takich jak np. nieco eufemistyczny i w ogóle niezdarny zwrot: ,,swoisty obraz występowania gwałtu i zawikłane formy wywierania przymusu'' czy ,,wewnętrzne przekonanie'' z jego niezamierzonym dodatnim zabarwieniem.

Chodzi jednak o to, żeby plewić język publicystyki z emocjonalnych kwiatków i chwastów o ile tylko się da, tam zwłaszcza, gdzie niebezpieczeństwo wykrzywienia obrazu rzeczywistości jest szczególnie wielkie, tam gdzie oczy tak nabiegają krwią i łzami, że człowiekowi grozi ślepota. Artykuł redakcyjny pt. ,,Do czterdziestu ośmiu'' w listopadowym numerze ,,Kultury'' jest, obok niektórych wypowiedzi Pawła Hostowca, jedną z nielicznych prób w tym bardzo pożądanym kierunku.

Nie wydaje mi się jednak próba udałą. Dość zwrócić uwagę na to, że wyplewiono w nim właściwie tylko jeden rodzaj chwastów. W artykule tym znalazły się przecież niemal wszystkie te zwroty (z wyjątkiem ,,sąsiada radzieckiego'' oczywiście i z zamianą ,,towarzysza'' na ,,obywatel'' które przytoczyliśmy wyżej jako typowe dla oficjalnej publicystyki warszawskiej, a bodajże ani jeden zwrot typowy dla ,,hurra-emigracyjnej''. Nazwanie dość heterogenicznej grupy ,,czterdziestu ośmiu'' *niezależnym czynnikiem społecznym* bez określenia znikomego w wielu wypadkach stopnia tej ,,niezależności'' i bez zaznaczenia, że wystąpili oni bez mandatu społecznego — quelle finesse de sentiments! W ten sposób nie powstał nowy język, otrzymaliśmy tylko ogładzoną odmianę języka ,,oficjalnego'', choć zręcznie użytego do wypowiedzenia innych niż ,,oficjalne'', rozumnych i swobodnych myśli.

Jest to niebezpieczne, bo język jako narzędzie myśli nie może pozostać bez wpływu na nią. Autorom ,,Do czterdziestu ośmiu'' w tej chwili nie grozi oczywiście dostosowanie ich jasnej myśli do przejętych od przeciwnika narzędzi, ale strach wyobrazić sobie, jaki by to mogło wywołać zamęt po dłuższym czasie i po rozszerzeniu się zasięgu takiego języka na umysły mniej wprawne.

Rzeczywiście nowy język można by chyba próbować tworzyć dwojako: Albo mozolnym budowaniem niezręcznych zrazu zwrotów nie podobnych do żadnej z dwu frazeologii: oficjalnej i emigracyjnej — albo przejęciem pewnych cech *obu*, które by się w ten sposób znosiły. Oto próbki obu rozwiązań, rzucone paru pociągnięciami pióra, nie jako wypracowane wzory, ale jako leciutki zarys linii, po której można by pójść.

Rozwiązanie pierwsze: ,,Organ sprawujący bezpośrednio władzę w Polsce'' — zamiast ,,rząd'' i zamiast ,,reżym''. Po prostu: ,,Bierut'' zamiast ,,Bolesław Bierut'' i zamiast ,,agent''. ,,Koncentracyjne obozy pracy'' — zamiast ,,obozy pracy'' i zamiast ,,łagry''. Prawnikom muszę pozostawić wynalezienie suchego a ścisłego zwrotu na ,,terror bezpieki''.

Rozwiązanie drugie: ,,Agenturalny Rząd Republiki Quasi-Ludowej'', ,,najwyższy namiestnik imperium sowieckiego na Polskę'' (o ile nie jest nim Rokossowski!), ,,terrorystyczny wymiar sprawiedliwości''...

Przepraszam za pewną żartobliwość tych ostatnich zwłaszcza przykładów. Dla zwięzłości poszedłem tu już na przełaj, ale można przecie znaleźć drogę okrężniejszą i poważniejszą. A sprawa jest poważna i wcale nie błaha. Bo jak się mówi, tak się i myśli. A od tego jak się myśli, zależy w polityce może nie wszystko, ale bardzo, bardzo wiele.

Michał SAMBOR
Monachium.

Szanowny Panie Redaktorze,

Pisałem w kwietniu w odpowiedzi na miłe zaproszenie dlaczego nie czuję się na siłach brać udziału w ankiecie „Kultury". Jeżeli dziś siadam do pisania to nie dlatego aby krytykować, jestem bowiem z pełnym podziwem dla zasobu wiadomości o obecnej sytuacji polskiej u uczestników ankiety, ale dlatego, że wydaje mi się, że parę ważnych momentów zostało pominiętych lub niewyjaśnionych.

Wszystkie odpowiedzi (do numeru październikowego włącznie) zdają się zakładać milcząco, że Polska po odzyskaniu niepodległości będzie posiadała swobodę kształtowania swego ustroju i prowadzenia polityki gospodarczej w stopniu podobnym do okresu poprzedzającego 1939 rok. Otóż, ze wszystkich niezliczonych wariantów jakie fantazja nasza może snuć na temat warunków w jakich zmiany w Polsce nastąpić mogą, przywrócenie pełnej suwerenności gospodarczej wydaje się najmniej prawdopodobne. Zważmy, że rewolucyjne, w stosunku do stanu obecnego, zmiany nastąpić mogą w Polsce najprawdopodobniej w wyniku czynnej pomocy Zachodu. Już dziś kraje Europy Zachodniej doszły w pewnych dziedzinach do gospodarczego zbliżenia i mimo znanych trudności i oporów wydaje się (przynajmniej zza oceanu), że proces ten będzie postępował. Tym bardziej pewnym wydaje się, że proces gospodarczego scalenia Europy zostałby znakomicie przyspieszony w razie nowego konfliktu zbrojnego. W każdym razie nie wydaje się możliwe aby w warunkach zbliżonych do obecnych Polska mogła pozostać po uwolnieniu poza europejską wspólnotą węgla i stali i innych tego typu porozumień ograniczających suwerenność gospodarczą. Wolno zatem założyć, przynajmniej jako jedną z hipotez, że państwowy przemysł Polski i innych krajów wyzwolonych będzie konkurował, być może na własnym rynku, z zagranicznym przemysłem prywatnym.

Poglądy polityczne czy gospodarcze wydają się podlegać pewnym „modom" lansowanym przez państwa zwycięskie. Po roku 1918 cała Europa środkowo-wschodnia wzorowała swoje instytucje polityczne na III-ej Republice; postępy socjalizacji w krajach Europy zachodniej po roku 1945 nie są bez związku ze wzrostem znaczenia potęgi sowieckiej. Wpływy zwycięzców nie wynikają zresztą wyłącznie z przyczyn natury ideowej ale miewają swoje materialne podstawy w warunkach dotyczących udzielania pomocy wojskowej i gospodarczej krajom słabszym. Wolno zatem założyć, że prądy panujące na zwycięskim Zachodzie będą miały znaczny wpływ na kształtowanie się polskiej rzeczywistości nawet gdyby formalnie — co wydaje się wysoce nieprawdopodobne — Polska uzyskała w drugiej połowie XX wieku pełną suwerenność gospodarczą.

Istnieje również inna przyczyna, dla której, z chwilą podniesienia żelaznej kurtyny, ustrój społeczno-gospodarczy Polski nie będzie mógł zbytnio odbiegać od modelu obowiązującego na Zachodzie. Jest nim dążenie do wyrównywania w górę stopy życiowej. Wiemy, wprawdzie, że pomiędzy różnymi krajami mogą istnieć znaczne różnice w stopie życiowej, tym nie mniej poziom i warunki życia krajów komunistycznych są tak niskie że nie wytrzymują porównania z krajami kapitalistycznymi. Stąd konieczność szczelnych kurtyn odgradzających Sowiety od krajów pod ich kontrolą oraz kraje te pomiędzy sobą. Wyobraźmy sobie, że kurtyna zostaje podniesiona natomiast warunki w Polsce różnią się znacznie od zagranicznych. Od kilku lat turystyka w Europie zachodniej objęła masy robotnicze, po wyzwoleniu nie powinno wśród nich zabraknąć robotników polskich. Czy po powrocie z wycieczki w czasie której korzystał on ze sprawności prywatnych przedsiębiorstw handlowych i usługowych nawet młody Polak wychowany w obecnym reżymie zadowoli się jakością usług handlu, który ma zostać „uspołeczniony" w myśl życzeń niektórych respondentów ankiety? Po wyzwoleniu

oczekuje się masowego powrotu emigracji politycznej do Polski. Sądzę, że nie tylko rozmiary tej fali będą zależne od stosunków w kraju, ale zjawisko odwrotne, to jest liczna emigracja z Polski jest wysoce prawdopodobna w razie gdyby stosunki w kraju były znacznie cięższe od zagranicznych. Możliwość tę winni brać pod uwagę planiści, którzy chcieliby przy otwartych granicach przymusowo obracać na inwestycje wysoki procent dochodu społecznego. (Oczywiście zakładam że uwolniona Polska będzie miała ustrój demokratyczny. W razie dyktatury w guście „titoizmu", sytuacja wygląda inaczej, choć nie zupełnie inaczej.)

Tadeusz SOŁOWIJ
Montreal.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Z mieszanymi uczuciami czytam interesujące skądinąd wyniki rozpisanej przez Panów ankiety pod tytułem: „Które z przemian w Polsce są odwracalne?". Przyjemność czytania psuje mi poczucie kompletnego oderwania od rzeczywistości całego zagadnienia, prawdopodobieństwo bowiem zaistnienia warunków które umożliwiłyby wprowadzenie w życie zaleceń autorów odpowiedzi jest w chwili obecnej minimalne, i co gorsza mnożą się oznaki, że niedaleka przyszłość przyniesie dalsze pogorszenie tych szans. W tych warunkach cały rezultat ankiety wygląda niestety na interesującą gimnastykę umysłową i nic więcej. Jest to tak jak gdyby nędzarzowi, który umiera z głodu postawiono pytanie: W jakim stylu zamierza pan wybudować swój pałac, gdy pan zdobędzie miliony? O ile nędzarz nie byłby Polakiem (a więc marzycielem), lecz np. Anglikiem lub Niemcem odpowiedziałby zapewne to co jest jedynie logiczne w danym wypadku, to jest: „Zanim zacznę zastanawiać się nad stylem mojego przyszłego pałacu wolę na razie pomyśleć o tym jak zdobyć środki do życia". Rozumując w ten sposób skoncentrowałby swą energię na tym najważniejszym w danej chwili celu i miałby szanse pałac swój wcześniej czy później zdobyć, Polak natomiast prawdopodobnie zacząłby i skończył na marzeniach (używam tu uogólnień, które oczywiście nie dotyczą wyjątków). I tu leży sedno sprawy! Sądzę, że byłoby znacznie bardziej na czasie rozpisać ankietę pt. „Jakie środki polityczne i propagandowe uważa pan za najwłaściwsze dla przywrócenia aktualności sprawie Polski i innych państw Europy środkowej?". Tragedią naszą bowiem jest, że podczas gdy sprawa zjednoczenia a więc i pełnej niepodległości Niemiec pozostaje problemem numer jeden polityki międzynarodowej, sprawa państw satelickich stopniowo przestaje w ogóle być problemem, a staje się faktem dokonanym, z którym wszyscy na Zachodzie zaczynają się godzić i o którym pragną jak najprędzej zapomnieć.

Ankiety takie, jak wyżej omawiana, mają tę niedobrą stronę, że odwracają uwagę opinii publicznej od aktualnej rzeczywistości a przenoszą ją w sferę „Wishfull thinking", co w dziedzinie politycznej jest niebezpieczne.

Z poważaniem

S. GINWITT
Durban.

◆

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W imieniu cierpliwych czytelników, tych nieobciążonych potrzebą pisania bez względu na to czy mają coś do powiedzenia, czy nie, jedynie odbiorców słowa drukowanego — protestuję przeciw obrażaniu nas Polaków nazywając naszą Ojczyznę „Bierutówką".

Na tę obelgę pozwolił sobie p. Zbyszewski w Nr. 10/96 1955 r. „Kultury", a redakcja to przepuściła.

Nie wiem gdzie dla p. Zbyszewskiego jest Polska, może na Earls Court, w Brighton czy Monachium, bo dla nas zwykłych Polaków, nie tych w lepszym gatunku, Polska jest mimo okupacji właśnie na tych ziemiach, które dla p. Zbyszewskiego są — „Bierutówką".

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

R. MATŁACHOWSKA
Londyn.

◆

Łaskawy Panie Redaktorze,

Pragnąłbym podzielić się z Panem i współczytelnikami następującą refleksją:

W polemice emigracyjnej utarł się termin i zarzut „immobilizmu". Dziwią mnie próby obrony przed tym zarzutem. W świetle niezliczonych szkód wyrządzonych narodowi polskiemu przez ambicyjne czy agenturowe „mobilizmy" jego czołowych emigrantów, skłonny byłbym uważać nawet postawa „immobilizmu" politycznego, w warunkach obecnych, za duży postęp! Istotnie jedynym „mobilizmem" czy taktyką która, gdyby wykonalna, mogłaby dać naszej emigracji pewne minimum wpływu i wagi *politycznej* wobec rządów *zachodnich*, byłaby próba kontaktów z reżymem warszawskim w sferze niektórych interesów zbieżnych (przetrwanie fizyczne kraju, rozwój gospodarczy kraju, zachodnie granice kraju). Ale wymagałoby to od emigracji nieosiągalnej, bo wypranej z emocji, dojrzałości politycznej i jednolitości, bez których partner warszawski, to jest jego sowiecki dysponent, wykorzystałby te próby dla zwykłej i szkodliwej dywersji (w rodzaju obecnej kampanii „powrotowej").

Pozostają Emigracji zadania które częściowo omówiłem w listach do „Kultury" Nr 6/80, 9/83, 11/85. Między innymi prócz ochrony sił fizycznych i gospodarczych uchodźctwa, edukacji, informacji etc. ważne jest rozwijanie na Zachodzie tych aspektów kultury polskiej, które w niewolnej atmosferze kraju zamierać muszą. Robią to znakomicie pańscy współpracownicy.

Uprzejme wyrazy łączę.

Jerzy KRZECZUNOWICZ
Addis Abeba.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Zanim znajdzie się ktoś bardziej kompetentny i podejmie dialog litewsko-polski, tak szczęśliwie inicjowany przez dra J. Girniusa, pragnę pod pierwszym wrażeniem skreślić parę słów o poglądach i motywach strony polskiej.

Rewelacją dla niejednego z nas jest podany przez autora stosunek opinii litewskiej do tradycji Jagiellonów, uważanej na ogół w Polsce nie tylko za złoty wiek zjednoczonego mocarstwa, ale za najcenniejsze ogniwo wspólnej przeszłości. Dźwięczy mi w uszach przejmujący wiersz Litwina-Polaka o Zygmuncie Auguście: „... wyjeżdżał na łowy Ostatni król co nosił kołpak witoldowy, Ostatni z Jagiellonów wojownik szczęśliwy, I ostatni na

Litwie monarcha myśliwy" — a więc połączenie tradycji Witolda z Jagiellonami. Zastanawia mię kwestia: w jakim stopniu nauka niemiecka i propaganda rosyjska przyczyniły się do przesadnego przeciwstawiania Witolda Jagielle.

Oczywiście strona polska wie, że niewypełnienie umowy suwalskiej wyżłobiło ciężką urazę. Ale przecież ani ta umowa, ani raid Żeligowskiego nie były początkiem zatargu o Wilno. Przedtem została zawarta, w najcięższej chwili odrodzonego państwa polskiego, umowa Litwy z Sowietami, 12 lipca. I również przedtem, w ostatnich dniach sierpnia, Wilno zostało oddane Litwie — przez uchodzące wojska sowieckie. Były to może tylko działania podstępne i nieszczere — chytrość Litwinów zarówno w stosunku do Polski, jak do Sowietów? Chytrość za chytrość: wydaje mi się, że ten rachunek można uznać za zamknięty. Pamiętam, jak Piłsudski w dobrych chwilach mówił o sobie: ,,ja, chytra Litwina".

W pięknych słowach mówi dr Girnius o Wilnie: o tym jak ,,każdy kamień tego miasta mówi o przeszłości litewskiego narodu". Uczucie — wzamian za uczucie. Osobiście, będąc Polakiem nie mającym ani jednej kropli krwi litewskiej, uważam, poza naszą stolicą, za najbardziej polskie dwa miasta: Kraków i Wilno. A więc Wilno jest nie tylko Litwą. Jest także Polską. Należy znaleźć jakieś wyjście, które byłoby wspólne. Może o takie szukanie łatwiej jest dzisiaj, gdy etnografia przestaje mieć znaczenie, i gdy zamiast Litwinów i Polaków osiedlają się w Wilnie masowo — kacapi.

Chcę w zakończeniu wyrazić drowi Girniusowi wdzięczność Polaka za głos Litwina, mogący pomóc w trudnej pracy budowania między nami mostów. Sto lat upłynęło od czasu jak Adam Czartoryski pisał: ,,nie ma tu różności, wspólna jest sprawa, jedno powinno być bratnie uczucie i jedna całemi siłami dążność oswobodzenia zarówno wszystkich".

Z prawdziwym poważaniem.

Michał SOKOLNICKI
Ankara.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Zaproszenie Litwinów na łamy ,,Kultury" jest istotnie ,,sympatycznym gestem dobrej woli", jak to określa dr Girnius. Niewątpliwie sprowokuje to reakcję rodaków stojących na straży sukni i guzika i uzbrojonych w patentowane argumenty historyczne, moralne, ekonomiczne i Bóg wie jakie.

Wydaje mi się jednak, że sam dr Girnius też nie jest bez winy. Poszukując polsko-litewskiego dialogu, nie wskazuje nam żadnych nowych dróg i rozwiązań. Jak litewski Giertych przejeżdża się po wiekach wspólnej historii i z lekkim sercem brnie w problem Wilna. Litewscy nacjonaliści nie będą mieli do niego wielkich pretensji.

Nie ma co szukać wspólnego języka, jeżeli na wstępie tematem jest spór terytorialny. Lepiej od razu chwytać za kłonice i noże, bo na szczęście nie stać nas jeszcze na bomby atomowe.

Nie widzę też powodu do grzebania się w historii. Nie zwróci Wilna ani Polakom ani Litwinom dyskusja na temat marszu Żeligowskiego. Żeligowski na starość zrobił historii psikusa i pogodził się ze Stalinem. Niech mu ziemia lekką będzie.

Nie wiadomo jak dziś wygląda mapa etnograficzna Wileńszczyzny. A jak będzie za lat dziesięć? Znając metody sowieckie, nie jest wykluczo-

ne, że nie będzie tam ani Litwinów, ani ludzi pochodzenia litewskiego. I co tu gadać o prawach historycznych, moralnych, etnicznych, co tu sobie wypominać wyrządzone krzywdy.

W poszukiwaniu dialogu polsko-litewskiego pamięć jest najgorszym doradcą i nawet najlepsza wola skończy się na ,,sympatycznych gestach''.

Tadeusz CHRUŚCIEL
Londyn.

◆

Szanowny Panie Redaktorze!

Piękne i ogromnie bliskie nam wiersze litewskie, oraz artykuł dra Girniusa w numerze 10 ,,Kultury'' musiały poruszyć tego, kto je przeczytał.

Wspólność religii i niemal identyczność kultur naszych narodów wydaje się wskazywać, że jedynym właściwym stanowiskiem jest jak najprzyjaźniejsza współpraca obu stron.

Odnośnie artykułu dra Girniusa chciałbym dodać, że nie spotkałem w życiu Polaków nienawidzących Litwinów. Znałem natomiast wielu, którzy krytycznie patrzyli na wybujałe ruchy nacjonalistyczne na Litwie, utożsamiając je z podobnymi ruchami w Niemczech dla nas bezwzględnie wrogimi. ,,Szaulisi'', jak zwano litewskich żołnierzy w okupowanej Warszawie, byli postrachem nie tylko Żydów, ale i Polaków.

Sądzę, że kwestia etnicznego pochodzenia a faktycznej narodowości, ,,intensywnych prześladowań'' oraz stosunków, na Wileńszczyźnie w okresach okupacji ostatniej wojny jest otwarta do dyskusji. Na marginesie dodam, że przypominam sobie numer ,,Tygodnika Ilustrowanego'' z lat 1905, podający, iż oficjalny spis ludności miasta Kowna z tego okresu wykazał, że 80% ludności mówi w domu po polsku.

Nie posiadam dostatecznych danych, aby móc zająć się tymi kwestiami spornymi. Co więcej sądzę, że są one całkowicie nieistotne i roztrząsać je warto tylko jako historię wzajemnych błędów. Kwestią poważną zostanie tylko Wilno, kolebka Litwy i wielkich Polaków, i od wieluset lat źródło polskiej kultury. Wydaje mi się, że tutaj tylko prawdziwa przyjaźń i jak najpełniejsza tolerancja, może nawet przy równoczesnym współzawodnictwie emocjonalnym naszych kultur, jest jedyną drogą, na której trzeba szukać rozwiązania.

Dziś, na emigracji, nasze cele są praktycznie identyczne. Oby nadszedł ten czas, aby domy polskich organizacji były do pełnej dyspozycji naszych ,,braci-Litwinów'' i pomocą w podtrzymaniu ich własnego ruchu narodowego, języka i tradycji, tak jak naszych własnych!

Znikną wtenczas może przesądy, a także będziemy mogli lepiej podziwiać, jak szczupłymi środkami i systematyczną współpracą nasi przyjaciele bronią swego Narodu.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Inż. Jan RAKOWICZ
Leicester.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W swoim pięknym artykule ,,Poezja Jewhena Małaniuka'' (,,Kultura'' nr 10, 1955), p. Józef Łobodowski przytacza moje nazwisko (jak łyżkę dziegciu w beczce miodu) dla ilustracji ,,skrajnych... najbardziej przesadzo-

nych opinii" (negatywnych) o twórczości poety emigracji ukraińskiej J. Małaniuka oraz cytuje z mojego artykułu „Literatura emigracji ukraińskiej" („Nowyj Żurnał", ks. 28) jedno ze zdań w takim kontekście: „Jurij Kosacz posunął się jeszcze dalej i zaryzykował opinię, że Małaniuk jest „*kość od kości poetą rosyjskim*", bo w jego liryce zjawia się to samo „pęknięcie, nieprzytomnie zawodząca retoryka, upozowana spiżowość, właściwe wielu rosyjskim poetom lat rewolucyjnych". Mówiąc lakoniczniej, Kosacz widzi w poezji Małaniuka „typowo rosyjską histerię".

Nie wchodząc w szczegóły zagadnień kierujących p. Łobodowskim w artykule jubileuszowym, chcę tylko sprostować zasadnicze nieporozumienie, które, moim zdaniem, ma tu miejsce. Nawiasem mówiąc, moja charakterystyka poezji J. Małaniuka we wspomnianym artykule w „Nowym Żurnale" (bynajmniej nie skierowana na zmniejszenie znaczenia tego poety), przez wielu znawców literatury emigracji ukraińskiej była uważana za „maksymalnie obiektywną i matematycznie dokładną".

Określenie „rosyjski" (w oryginale „rossijskij") nie jest identyczne z polskim czy ukraińskim określeniem „rosyjski" czyli oddaje nie to co powiedziano w oryginale (musiało by być w oryginale „russkij"). Określenie to jest szersze i przekracza językowe granice literatury rosyjskiej. Tak np. można by było powiedzieć nawet o francuskiej literatce Elzie Triolet czy o czylijskim poecie Pablo Neruda, że są w jakimś stopniu ‚rosyjskimi". Tu oczywiście nie chodziło aż o tak szeroki promień wpływów. Sam p. Łobodowski pisze że „*formacja artystyczna poety* (J. Małaniuka) *nie mogła powstać w absolutnej separacji od kręgu kultury rosyjskiej*", a więc prawie dosłownie to samo co powiedziałem i ja. Jeżeli zaś p. Łobodowski, analizując twórczość jubilata, z przesłanek pryncypowego „antyrosjanizmu" autora „Ziemi i żelaza" wyprowadza tezę o jego „profetyzmie" („słowo w i e s z c z nabiera pierwotnej świeżości"!), o jego „wizjonerstwie przyszłości", o „historiozofizmie", to ja ograniczyłem się do stwierdzenia pewnej paradoksalności zjawiska: negacji Rosji jako fenomenu politycznego i kulturalnego przy jednoczesnej zależności („niemożności absolutnej separacji" — jak pisze p. Łobodowski) od... *kultury rosyjskiej*. Jeżeli „Rosja dogniwa jak zdechły brontozaur jak wzdęty zwierz..." to czegoż warta formacja w cieniu tej zdechlizny? Np. Jurij Łypa, poeta ukraiński również totalnie zaprzeczał Rosję, ale kto by mógł znaleźć w nim chociaż odrobinę zależności od kultury rosyjskiej? Poezji rosyjskiej? Wrogość i nienawiść do Rosji jako temat centralny, budowanie „wizji przyszłości" o cechach proroczo-historiozoficznych wybitnie antyrosyjskich muszą całkiem logicznie być poprzedzone zupełnym zerwaniem ze wszystkim, co określamy jako „krąg kultury rosyjskiej", ażeby nie być niczym innym jak czczą deklaracją, blaszaną, nieprzekonywującą retoryką, właśnie owym duchowym „pęknięciem" (jak p. Łobodowski tłumaczy słowo „nadryw"). Może to jest moja odosobniona opinia, ale czy naprawdę aż tak „ryzykowna"?

O „histerii" w moim artykule nie było mowy ani z powodu J. Małaniuka ani z powodu poetów rosyjskich. „Nieprzytomnie zawodząca retoryka („istuplonnaja retorika"), upozowana spiżowość" to jeszcze nie histeria, a po prostu licha poezja, poezja międzyczasia, płaska poezja o niezrównoważonym, o nieokreślonym stylu, jaką była poezja (i proza) symbolistycznego okresu w Rosji, poza takimi odosobnionymi zjawiskami jak akmeizm, wczesny imażinizm oraz niektórzy poszczególni poeci. Pełno było w tej twórczości, chyba jeszcze na początku stulecia, wykrzyków o „ustawicznym odczuciu nasuwającej się katastrofy", o „Zachodzie krwią opływającym" (Błok), „o trupie nad życiem siedzącym", „o krwawym chrzcie" (Bjełyj), o „Wielkim Inkwizytorze" Rozanow), o „cmentarzach ruin" i o „wiatrach" (Briusow), o „posępnym lecz natchnionym średniowieczu" (tenże Briusow), o „błękitnych ogniach Zachodu" (Balmont), o „tatarskich na-

miotach", „Batuchanach" i in. (Bunin, Błok), o „bizantyjskiej miedzi" (Gippius), o Waregach, nawet o Warszawie i Wiśle (Błok) itd., jednym słowem: o wszystkim tym, co nam, a p. J. Łobodowskiemu osobliwie, wydaje się niesłychanie nowym i oryginalnym, chociaż o tym wszystkim do mdłości rozprawiano w „Wieży" W. Iwanowa, na wieczorkach literacko-filozoficznych u Mereżkowskich, w redakcjach „Wiesów", „Apollona" i „Skorpiona" aż do integralnego wkroczenia w dziedzinę banału — może już na brukach emigracyjnych, praskich i paryskich, odgrzewanych echem już zupełnie bliskich do tematu niniejszego listu — M. Wołoszyna, N. Gumiłowa i innych, aż do zupełnie tu przypadkowego, poety włościańskiej Wielkorusi N. Klujewa z jego cyklem „Ziemia i Żelazo"...

Zdaje się, że tutaj sprawa nie w histerii, a w chaotyzmie bezpłodnej frazeologii ważnej dla pewnej, minionej epoki. Przy pierwotnym jej źródle — Srebrnym Wieku literatury rosyjskiej i twórczości bezpośrednio rewolucyjnej była ona poniekąd nawet wzniosłą, świeżą i zajmującą, może nawet pozostawiła pewne wartości ponadczasowe, ale gdzie indziej jest już tylko parafrazą, epigoństwem. Sprawa tu jedynie w „correspondances", w uczniowstwie — mówiąc łagodnie, jak mówią Rosjanie — w „litieraturnom nasledstwie", z którego jednak szereg poetów ukraińskich dzięki poważnej indywidualności bez osobliwych wysiłków potrafił się wyzwolić, tworząc jak np. P. Tyczyna, M. Rylskyj, M. Bażan, J. Łypa, O. Stefanowycz i inni wartości, od „kręgu kultury rosyjskiej" zupełnie odseparowane. Zresztą w świetle literatury porównawczej i w perspektywie czasu są to problemy znane i wyjaśnione.

Rozumiejąc że *facit indignatio versum* p. Łobodowskiego, zgniewanego jak ongiś Zeus na nieszczęśliwego Phlegiasa który odważył się na rujnowanie świątyni Delfijskiej (za co też został strącony do Hadesu), nie widzę jednak zbyt wielkich podstaw do kwalifikowania mojej opinii o twórczości J. Małaniuka jako „ryzykownej, skrajnej i najbardziej przesadzonej".

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Jurij KOSACZ
New York.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Zamieszczona w 97 nr „Kultury" notatka o mojej książce pn. „1000 lat życia Żydów w Polsce", cytując żydowski tytuł tej publikacji, może — mimowoli — sugerować, jakoby zawierała ona tekst tylko w tym języku. W rzeczywistości jest to zbiór kilku tysięcy ilustracyj, z tekstem drukowanym *równolegle* w sześciu językach, a mianowicie: francuskim, żydowskim, angielskim, hebrajskim, polskim i hiszpańskim.

Z słowami prawdziwego poważania

Michał BORWICZ
Paryż.

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 4/90 „Kultury" ukazało się omówienie mego tomiku „Chłopski Poemat" pióra M. P. Z przykrością muszę stwierdzić, że niektóre cytaty z moich wierszy zostały rażąco — by nie powiedzieć: celowo — przekręcone. Trzy pierwsze przykłady na potwierdzenie tezy M. P., że

mój „wiersz nie zawsze toczy się gładko" są podane błędnie. M. P. cytuje: „gdy cię hetman zawołał/ hetman co *suknię* twą przywdział"... „Przepili ci Sasy ziemie *i* kaplice"... „aleś *schwycił* kłonice". A oto tekst poprawny: „gdy cię hetman zawołał/ hetman co *sukmanę* twą przywdział"... „Przepili ci Sasy Ziemie, kaplice"... „aleś *chwycił* kłonice". W pierwszym wypadku M. P. zmienia „sukmanę" na „suknię" i okrada mnie z jednej sylaby, w drugim chce mi to wynagrodzić i wspaniałomyślnie dorzuca do tekstu „i" — co całkowicie zmienia rytm wiersza i odbiera mu „gładkość".

Operowanie wyrwanymi zdaniami z tekstu może być wygodne ale — dla przyzwoitości — powinno być wierne.

Julian DOBROWOLSKI
Chicago.



Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z notatką w numerze 11/97 „Kultury" na stronie 81, w rubryce „Kronika angielska" — „Bilety...", w której jest wymienione moje nazwisko, uprzejmie proszę o umieszczenie następującego sprostowania w najbliższym numerze Panów miesięcznika:

Autor notatki podaje na wstępie, że na ubiegłej konferencji w Genewie byłem w charakterze obserwatora jako przedstawiciel Egzekutywy. Jest to nieścisłe, gdyż w Genewie byłem wyłącznie w charakterze dziennikarza.

Autor w dalszym ciągu robi pewne aluzje, które przez swój brak jasności mogłyby nasunąć czytelnikowi przypuszczenie, czy podejrzenie, że koszt podróży wymienionych w notatce dziennikarzy (a więc i mój), mógł być pokryty przez Egzekutywę z funduszów Skarbu Narodowego.

Tak jak dziennikarze „na całym świecie" koszty mojej podróży pokryłem wyłącznie z honorariów dziennikarskich i ażeby usunąć wszelkie niejasności, podaję ich źródła:

— „Syrena" z Paryża;
— „Dziennik Polski" z Detroit, którego jestem stałym korespondentem.
— „Polska Wierna" z Paryża;
— Sekcja Polska Radia francuskiego;
— Radio „Głos Ameryki".

Nawiasem dodam, że nie sądzę, by wymienione pisma i radia posiadały charakter specjalnie jednolity. Dodam również, ponieważ autor notatki wspomina o przyszłości, że i na ostatniej konferencji genewskiej koszty podróży pokryły mi honoraria dziennikarskie.

Łączę wyrazy należnego szacunku

Marian CZARNECKI
Paryż.



Szanowny Panie Redaktorze,

W notatce pt. „Bilety..." Londyńczyk twierdzi że na lipcowej konferencji w Genewie „obserwatorami polskimi byli następujący przedstawiciele Egzekutywy: amb. Kajetan Morawski z Paryża, konsul gen. S. Fiedler-Alberti z Genewy, dr Leszek Kirkien, naczelny dyrektor „Dziennika Polskiego" z Londynu, red. Al. Bregman, członek Rady Jedności

z Londynu i mjr. M. Czarnecki z redakcji tygodnika ,,Syrena'' w Paryżu''.

Jest to twierdzenie o tyle nieprawdziwe, że tylko pierwsi dwaj byli ,,przedstawicielami Egzekutywy''. Natomiast pozostali trzej, m. in. niżej podpisany, przyjechali jako dziennikarze. Nie stanowili wbrew twierdzeniu Londyńczyka ,,ekipy prasowej'' wysłanej przez Egzekutywę. Reprezentowali wraz z jeszcze jednym dziennikarzem polskim niewymienionym w tej notatce, wolną prasę i radio polskie.

Czy naprawdę Londyńczyk nie może zrozumieć co miał na myśli p. Wasiutyński pisząc, że ,,brakowało pieniędzy na niektóre bardzo potrzebne bilety i koszty przejazdu''? Przecież to bardzo proste. Z największym trudem wysłano amb. Morawskiego ze stosunkowo bliskiego Paryża i to tylko przy pomocy Skarbu Narodowego w Szwajcarii. Na wysłanie kogoś z Londynu Egzekutywa nie miała środków. Szczęśliwie akcja zbiórki na fundusz obrony sprawy polskiej dała, pomimo braku poparcia ze strony ,,Kultury'', takie rezultaty że na konferencję ministrów spraw zagranicznych można już było wysłać z Londynu delegację Egzekutywy, która rozwinęła tam pożyteczną działalność.

Wobec insynuacji Londyńczyka pragnę stwierdzić, że tak jak w lipcu pojechałem do Genewy wyłącznie jako dziennikarz i na koszt wydawnictwa ,,Dziennika Polskiego''.. Nie zamierzając sam korzystać z pomocy Egzekutywy i w przyszłości, pragnę jednak stwierdzić że nie widziałbym nic zdrożnego w tym by z funduszu obrony sprawy polskiej wysyłać w świat również i dziennikarzy, pomagając pismom które w warunkach emigracyjnych nie mogą sobie pozwolić na wysyłanie swych współpracowników. Nasza działalność na emigracji na rzecz sprawy polskiej ma charakter przede wszystkim propagandowy. Dziennikarze mogą więc oddać w niej usługi równie duże co dyplomaci.

Łączę wyrazy poważania.

A. BREGMAN
Londyn.

Cena ogłoszeń : cała strona 20.000 *frs.*, 1/2 *strony* 10.000 *frs.* (*w tekście* + 50 %; *okładka* + 100 %).

Wydawca : Edition et Librairie ,,LIBELLA'', 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 4e Trimestre 1955.

KULTURA REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 4, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 3, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, Vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979. Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 30 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 Queen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping Co.,** 11 Cooper St., New York 34, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-71, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5. Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

IMPRIMERIE RICHARD,
94, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 180 frs.